ADOPCJE: MAMO, KTO MNIE URODZIŁ

DEKADA FRANCISZKA: ZNIKAJĄCY PAPIEŻ

PO CO ŚWIATU OSCARY

Kraków 12 marca 2023 nr 11 (3844) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Co Wojtyła wiedział naprawdę

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Prawdziwe dziennikarstwo potrzebuje Twojego wsparcia naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

KS. ADAM

Boniecki: *Dziesięć lat Franciszka*

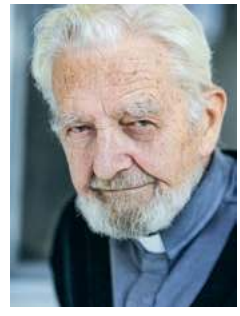

Papieże byli różni. Papieże są różni. Godzę się jakoś, nie bez żalu, na co niektórych. Byli święci i mniej święci, a może i całkiem nieświęci. Czasy były różne, nie mnie sądzić... Papież Franciszek – jak to widać w dziesięciolecie jego pontyfikatu – nie jest podobny do poprzedników. Ani do papieża Wojtyły – Jana Pawła II, ani do papieża Ratzingera – Benedykta XVI. To jest w Kościele wspaniałe i nieco przerażające: człowiek przywyka do pewnego stylu, a potem wszystko się zmienia.

Papież Bergoglio – Franciszek jest do poprzednich niepodobny. Kłopoty z nim ma kuria rzymska, co jeszcze nie byłoby największym problemem. Ale kłopot z nim ma wielu katolików.

Jak sam mówi: „Tradycja to nie muzeum, prawdziwa religia nie jest zamrażarką, a doktryna nie jest statyczna, ale rozrasta się i rozwija jak drzewo, które pozostaje takie samo, choć rośnie i wydaje coraz więcej owoców. Są tacy, którzy twierdzą, że Bóg przemówił raz i na wieki – niemal zawsze wyłącznie w sposób i w formie, którą oni znają i którą opanowali".

Kiedy „nowości" wprowadzał do Kościoła Sobór Watykański II, nowości – dodajmy – moderowane przez kolejnych papieży, nie było łatwo. Kiedy zmiany do Kościoła, który jeszcze nie całkiem pojął ostatni Sobór, wprowadza jeden człowiek – papież – jest jeszcze trudniej. A przecież jest w tym logika. Kościół był kierowany oczywiście przez Ducha Świętego, ale i przez bardzo ludzkich ludzi, przez style kolejnych epok. Do tego dodajmy rozwój nauk szczegółowych, który zmuszał do zastanowienia się nad tym, co było brane za „prawdy wiary". No i grzechy ludzi Kościoła – ujawniany dziś zasięg zła przerastającego jego tkankę.

Franciszek przyszedł z innego niż wielu ostatnich papieży kontynentu. Nie chodzi tu o odległość fizyczną, ale o dystans mentalny. Europejczykom ta mentalność wydaje się wręcz gorsza. Ale to Franciszek podjął – czyż mógł nie podjąć? – dzieło oczyszczenia Kościoła z wszelkich postaci przestępstw seksualnych popełnianych przez niektórych duchownych, ale na przerażającą skalę. Powstała cała struktura procedur i działań karzących i zapobiegawczych. Zacne i z pewnością coraz bardziej udoskonalane, nigdy nie będą to działania doskonałe, aż do czasu, w którym kapłaństwo z celibatem będą dobrowolnie wybierali ludzie rzeczywiście obdarowani takim powołaniem. Będzie ich znacznie mniej niż obecnie, z czego trzeba będzie wyciągnąć wnioski dotyczące miejsca świeckich i duchownych, a co za tym idzie – rzeczywistej roli tych ostatnich. Kościół nie może być instytucją opartą na „stanie duchownym", musi być „ludem Bożym", a nie republiką biskupów i proboszczów. Jak tego dokonać, nie mam pojęcia, choć pewne próby z konieczności już istnieją.

Wiara ogłoszona przez Jezusa Chrystusa nie jest magiczną religią formułek i praktyk. Ale nie jest też kwestią wykształcenia i intelektualnej dyscypliny, dostępnej tylko teologom. Mam wrażenie, że papież Franciszek czuje, w którym miejscu kanony wprowadzające porządek zahamowały moc ducha. Jak to zrobić, żeby nie hamowały? Nie wiem. Wiem jednak, że dotychczasowy system – może kiedyś dobry, choć w to wątpię – się wyczerpał. Nie wszędzie, nie u wszystkich, ale rozpoczęty proces wyczerpywania będzie trwał i „rzesze katolików" będą się przerzedzały nie dlatego, że zabraknie wiary, ale dlatego, że nie będziemy umieli odpowiedzieć na pytania, na które odpowiedź „mysterium fidei" (tajemnica wiary) nie wystarczy. Nie wszystko jest „tajemnicą wiary", o świecie i człowieku wiemy dziś nieco więcej niż kiedyś. Franciszek to wie. I oczywiście nie wie, jak temu wszystkiemu zaradzić.

Rzecznicy starego porządku się bronią. Papież jest chwilami znużony daremnymi wysiłkami, chwilami niesiony wizją Królestwa Bożego. Zdaje sobie sprawę, że sam Kościoła nie zmieni, że nie zmienią go wybierani w sposób specjalny, inny niż w dawnych systemach, biskupi. Kościół może uratować tylko Chrystus.

Uratuje. Jeszcze będziecie się dziwili. Wy albo wasze dzieci lub wnuki. ©℗

20 Wiedziałam, że Cię znajdę
MACIEJ ORŁOWSKI
Adoptowane jako niemowlę dziecko nie może poznać swoich korzeni, dopóki nie skończy 18 lat. Nie korzystają na tym ani rodzice adopcyjni, ani biologiczni, ani tym bardziej dzieci.

30 Papież na peryferiach
EDWARD AUGUSTYN
Czy naruszył porządek, który Kościół budował od wieków? Dlaczego mówiąc o wojnie stracił wiarygodność? Jaki jest bilans pierwszej dekady Franciszka?

40 Czarni z Czarnego Pasa
MARTA ZDZIEBORSKA Z CHICAGO
W tej metropolii miejsce zamieszkania determinuje poziom wykształcenia, zarobki i ryzyko śmierci od kuli. To jedno z najbardziej podzielonych rasowo miast w USA.

58 Wszystko dwa razy
ŁUKASZ LAMŻA
Jeżeli wszechświat jest nieskończony, to istnieje w nim nieskończenie wiele kopii Ciebie czytających te słowa. Logiczne? Sprawdźmy.

64 Na osiedlu jest impreza
MICHAŁ WALKIEWICZ
W poniedziałek dowiemy się, komu Akademia Filmowa przyznała Oscary. Na co właściwie czeka cały świat? O co toczy się gra? Kto wygra z kanapą?

78 Własne niebo
MAREK BIEŃCZYK
Mało spotkałem w życiu takich bystrzaków jak on. Kariera naukowa stała otworem, ale Wojciech Bońkowski wybrał wino. I jeszcze coś: wino.

MARCIN RUTKIEWICZ / REPORTER // VATICAN POOL / GETTY IMAGES // ADOBE STOCK // RAFAŁ MASŁOW / FERMENT // KEVIN WINTER / GETTY IMAGES // ARMANDO L. SANCHEZ / ZUMA PRESS / FORUM

6 Krajowy festiwal demografii
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Wiedziałam, że Cię znajdę
MACIEJ ORŁOWSKI

24 Męska sprawa
ROZMOWA Z PROF. MAŁGORZATĄ FUSZARĄ: *Kobiety, polityka i równouprawnienie*

27 Słodkiego, krótkiego życia
MAREK RABIJ: *Marka odzieżowa Shein podbija serca młodych konsumentów. Także w Polsce*

WIARA

30 Papież na peryferiach
EDWARD AUGUSTYN

34 Ojciec nieświęty
ROZMOWA Z KS. DARIUSZEM PIÓRKOWSKIM, JEZUITĄ: *Franciszek nie podsuwa gotowych rozwiązań*

38 Gra w obwinianie
PIOTR SIKORA: *Wielki Post i skrucha*

ŚWIAT

40 Czarni z Czarnego Pasa
MARTA ZDZIEBORSKA Z CHICAGO

44 Pole manewru
PIOTR OLEKSY: *Czy Mołdawia stanie się kolejnym celem Kremla?*

AP / EAST NEWS

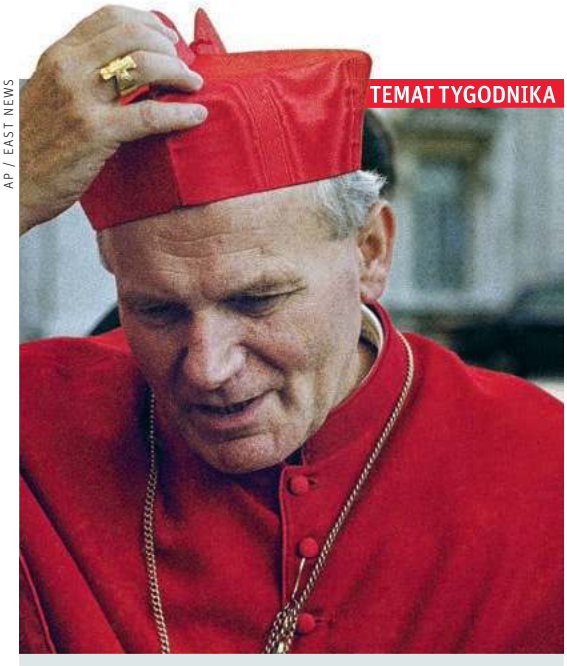

TEMAT TYGODNIKA

12 Co wiedział naprawdę
ARTUR SPORNIAK
Wyidealizowana i odklejona od rzeczywistości etyka norm, której Karol Wojtyła był krzewicielem, zmieniła jego spojrzenie. Sprawiła, że krzywda ofiar zeszła na drugi plan.

FELIETONY

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
39 WOJCIECH BONOWICZ
57 JACEK PODSIADŁO
76 OLGA DRENDA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE: MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

46 Wojna, moja codzienność
DARIUSZ KAŁAN Z SARAJEWA, MOSTARU I GRABOWICY *o przywracaniu pamięci ofiar*

49 Pierścienie władzy
PAWEŁ BRAVO: *Jak sobie radzi Giorgia Meloni*

50 Życie dla Szkocji
PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI: *Dymisja Nicoli Sturgeon to wyzwanie dla ruchu niepodległościowego*

HISTORIA

52 Powrót legend
GRZEGORZ SKRUKWA: *Do jakiej tradycji nawiązują ukraińskie jednostki wojskowe?*

NAUKA

58 Wszystko dwa razy
ŁUKASZ LAMŻA

KULTURA

64 Na osiedlu jest impreza
MICHAŁ WALKIEWICZ

68 Lament po stracie
DOROTA KOZIŃSKA: *Evelyn Waugh i upadek brytyjskiego dziedzictwa*

71 Przelotna garderoba
ROZMOWA Z DOROTĄ KOTAS, PISARKĄ: *Mam teraz poczucie winy, że kiedyś miałam poczucie winy*

74 Nowy portret Sisi
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „W gorsecie” Marie Kreutzer*

75 Noblista i bezimienna niania
LEKTOR *o książce Andrzeja Mencwela „Powieść z życia. Strona ojca”*

ZMYSŁY

78 Własne niebo
MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Antiochia przypomina pustynię
Trzęsienie ziemi na turecko-syryjskim pograniczu zniszczyło Antiochię, jedno z najwspanialszych miast starożytności – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Redan przenika na Ukrainę
W ciągu kilku dni wyrósł w Rosji i przeniósł się do Ukrainy trend, który przyciągnął uwagę polityków i służb – relacjonuje **ANNA ŁABUSZEWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

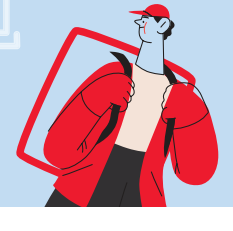

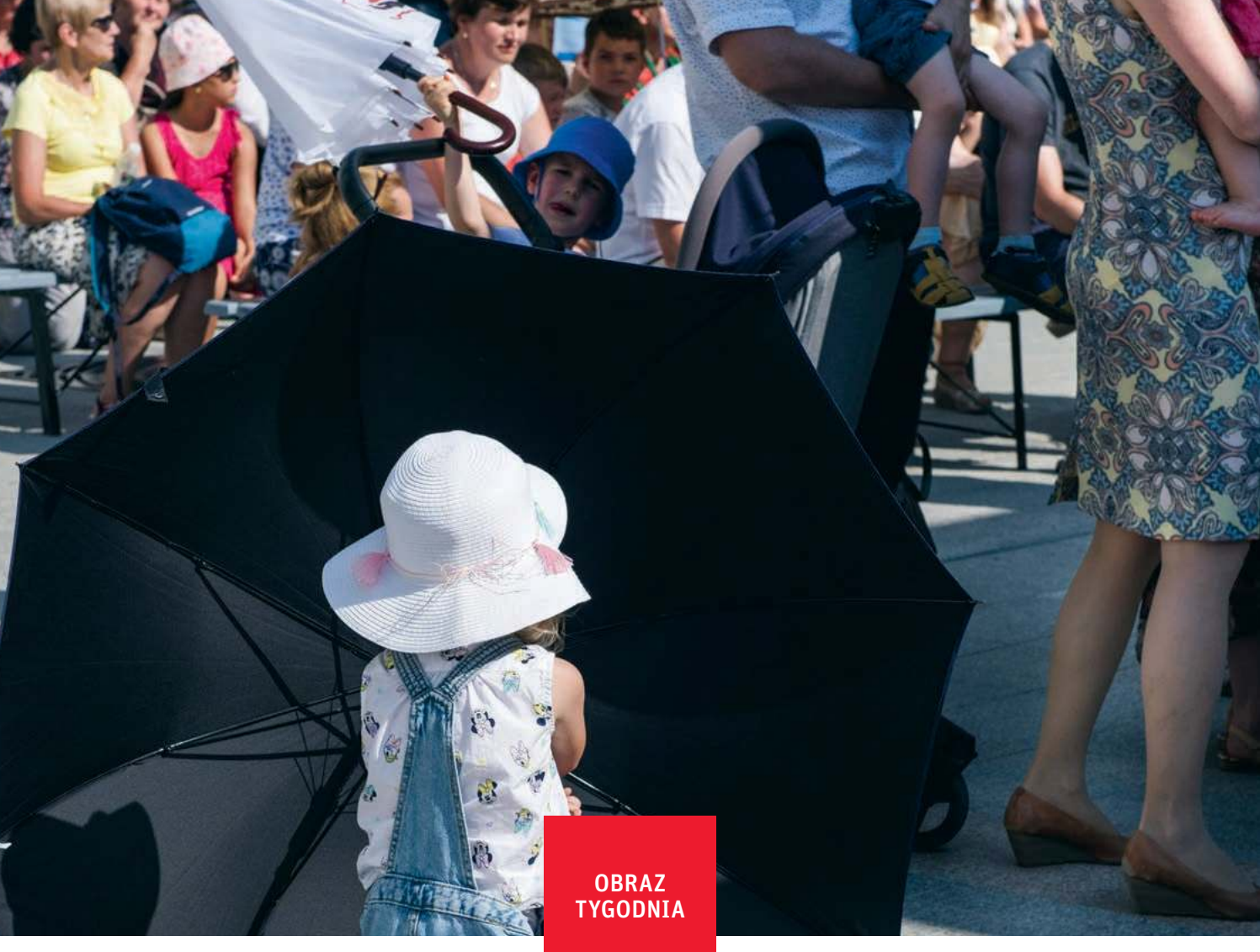

OBRAZ TYGODNIA

KRAJOWY FESTIWAL DEMOGRAFII

Arcybiskup, ministra i prezes znaleźli winnych niskiej dzietności. Są nimi media, Balcerowicz i kobiety – a nie politycy rządzący Polską od ośmiu lat pod hasłem wzmacniania rodziny.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Msza święta dla dzieci. Tuchów, 5 lipca 2021 r.

Potrzeba nam, Drodzy Siostry i Bracia, wielkiego duchowego nawrócenia" – napisał w liście pasterskim do wiernych arcybiskup Marek Jędraszewski. Nam, czyli narodowi, którego przyszłość zależy od „otwarcia na błogosławieństwo związane z płodnością". O otwarcie łatwo nie będzie, gdyż „ta dramatyczna sytuacja w dużej mierze wynika ze sposobu, w jaki we współczesnej kulturze, zwłaszcza w mediach, przedstawia się wielodzietną rodzinę, częstokroć ośmieszając ją i piętnując" – diagnozował hierarcha. W zeszłym tygodniu o własną diagnozę pokusiła się także szefowa ministerstwa rodziny i polityki społecznej. „Demografia – dowodziła w Polsat News Marlena Maląg – jest oparta na liczbach i na tym, jaka polityka prorodzinna była wprowadzana przez PO. Od momentu wprowadzania reformy przez Balcerowicza, kiedy Polacy poczuli zagrożenie, kiedy było rekordowo wysokie bez-

robocie, brak stabilizacji, młodzi ludzie bali się wtedy podejmować decyzję o tym, żeby rodziły się dzieci. Mamy pokłosie tej sytuacji". Jeśli do powyższych diagnoz dodamy tę najgłośniejszą, Jarosława Kaczyńskiego (o kobietach „dających w szyję") – dostaniemy spójny obraz wyobrażeń obozu władzy o tym, skąd w społeczeństwie biorą (lub nie biorą) się dzieci.

Inaczej wyobrażenia te wyglądały niecałą dekadę temu. W 2014 r. w programie wyborczym PiS zapowiadał, że „powstanie Ministerstwo Polityki Rodzinnej, które przejmie zadania i kompetencje innych resortów związane z wspieraniem rodziny (...) oraz z przełamywaniem niekorzystnych trendów w dziedzinie demografii". Ministerstwo o podobnie brzmiącej nazwie powstało, kieruje nim dziś Marlena Maląg – ale niekorzystne trendy się umocniły. W tamtym programie PiS autorzy dokumentu bili na alarm, że „w 2012 roku urodziło się tylko 390 tys. dzieci, tj. o 48,5 proc. mniej niż przed 20 laty". W roku 2022 na świat przyszło 305 tys. dzieci, a więc o ponad 60 proc. mniej niż przed 30 laty. W efekcie współczynnik dzietności w roku 2021 wyniósł 1,32 (oznacza to, że na sto kobiet w wieku rozrodczym na świat przychodzi 132 dzieci). Aby Polska się nie wyludniała, powinien sięgać 2,1.

Demografia to materia bardziej złożona, niż chcieliby ją widzieć partyjni politycy i ideolodzy (także ci z drugiej strony sceny politycznej, dla których słupki urodzeń to wyłącznie wypadkowa restrykcyjnego prawa aborcyjnego). Wie to na pewno Katarzyna Zarosa, architektka i projektantka wnętrz, autorka głośnego, opublikowanego na stronie Klubu Jagiellońskiego „listu matki-katoliczki" do abp. Jędraszewskiego („Słuchałam dziś listu (...), siedząc w jednym z krakowskich kościołów, w którym nie ma ogólnodostępnej toalety dla wiernych. Przewijak czy zapasowe pampersy pozostawiam już w sferze marzeń. Jak mniemam, Ksiądz Arcybiskup nie miał nigdy przyjemności uczestniczyć w Eucharystii w zaawansowanej ciąży, jako opiekun niemowlęcia czy też świeżo odpieluchowanego dwulatka"). Wie to młode pokolenie, którego większość może tylko pomarzyć – o obiecywanych także przez partię władzy – łatwo dostępnych mieszkaniach. A tym bardziej wiedzą to demografowie, którzy od lat powtarzają, że do zatrzymania niekorzystnych trendów potrzebne są działania w wielu sferach: mieszkalnictwa, zdrowia, edukacji, infrastruktury opiekuńczej oraz polityki społecznej.

Warto o tym wszystkim pamiętać, zanim w zbliżającej się kampanii wyborczej politycy – czego przedsmak mamy już teraz – uczynią z nienarodzonych dzieci amunicję do ostrzeliwania przeciwnika. I zanim partia władzy obieca „przełamanie niekorzystnych trendów w dziedzinie demografii". ©℗

TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA SN:

Test do kosza

MAREK KĘSKRAWIEC: Pięciu sędziów Izby Karnej Sądu Najwyższego uznało, że zasiadająca w tej samej izbie mocą decyzji neo-KRS Małgorzata Bednarek nie spełnia kryteriów niezawisłości. To ona skierowała do TK pytanie, czy kary TSUE są zgodne z naszą konstytucją, i kontynuowała sprawy dyscyplinarne mimo zakazu TSUE.

GRAŻYNA MAKARA

WŁODZIMIERZ WRÓBEL: To dopiero pierwszy test zakończony negatywną oceną sędziego. Składy orzekające w kwestiach testu są losowane, a że w SN zasiada pół na pół sędziów sprzed zmian w KRS i po niej, więc losowane są prawie zawsze składy mieszane. Jednak „starzy" sędziowie nie chcą zasiadać z nowymi, gdyż zgodnie z uchwałą SN sprzed roku uważają, iż zostali oni wadliwie powołani na stanowiska.

Jakie byłyby konsekwencje innej decyzji?
Dopuszczenie nominatów neo-KRS do decydowania w procedurze testów niezawisłości oznacza, że takie postanowienia byłyby zaskarżane do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i unieważniane. Jednak w sprawie Małgorzaty Bednarek wylosowano samych „starych" sędziów KRS.

Czy ona teraz przestanie orzekać?
To nie jest decyzja prawomocna. Zaskarżenie przysługuje zarówno stronom uczestniczącym w procesie, jak i samej sędzi, której postanowienie to dotyczyło. Gdyby do tego doszło, sprawę rozpatrywałby skład siedmiu sędziów SN. Prawdopodobieństwo ponownego wylosowania składu innego niż mieszany jest nikłe. Tę procedurę trudno będzie ukończyć.

Czy w takim razie test niezawisłości ma sens?
W polskim prawie istnieją od lat normalne procedury procesowe w postaci wniosku o wyłączenie sędziego albo zażalenie na orzeczenie wydane w składzie budzącym wątpliwości co do bezstronności. I to działa. Wtedy przedmiotem postępowania jest jednak sąd, a nie konkretny sędzia – jak w przypadku testu z ustawy prezydenta. Zresztą jej zapisy są wątpliwe prawnie, niejasne i skomplikowane, na co zwracał już uwagę ETPC.

O co chodzi konkretnie?
Po pierwsze założono, że w sprawach zarzutów o brak niezawisłości sędziego będą oceniać sędziowie, których ten zarzut też dotyczy. Po drugie zapisy są sprzeczne z uchwałą trzech izb Sądu Najwyższego, wedle której sędzia wadliwie powołany przez KRS nie może orzekać w SN, gdyż każdy taki wyrok będzie obarczony wadą prawną. Pamiętajmy, jest to ostatnia instancja i tu nie może być żadnych wątpliwości, gdyż od jej decyzji już nie ma odwołania, poza ETPC. A wedle tego Trybunału sam fakt wadliwej procedury powołania w KRS dyskwalifikuje orzeczenia sędziego.

Test umożliwia też sprawdzenie, jak sędzia zachowywał się po powołaniu na sędziego.
To bardzo ogólne sformułowanie. Ale jest jeszcze inny dziwny warunek: zarzut bezstronności musi mieć znaczenie w procesie, którego dotyczy decyzja sędziego. Trudno to będzie udowodnić przy sprawie, która dopiero ma być rozpoznawana. Obawiam się, że ta ustawa przyczyni się jedynie do przedłużania postępowań w ostatniej instancji, bo po złożeniu wniosku sędzia nie może w tej konkretnej sprawie orzekać. Może być nawet tak, że jeden skład SN w jakiejś sprawie uzna go za bezstronnego, a inny w innej sprawie – zdecyduje odwrotnie. Wyrzuciłbym tę ustawę do kosza. ©℗

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL *jest sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego oraz p.o. kierownika Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego.*

Uchodźcy mają płacić za pobyt. A jeśli nie zdołają?

ROZSTAWIANE polowe łóżko, niewielka szafka, jedna duża torba. Ewentualnie – ale tylko przy pojedynczych pryczach – kotara częściowo odgradzająca przestrzeń tych kilku metrów kwadratowych od dziesiątek takich samych łóżek, poustawianych w kilkudziesięciometrowe rzędy. *Ersatz* domu i intymności to nadal, rok po wybuchu wojny, rzeczywistość mieszkańców jednego ze zbiorowych miejsc pobytu uchodźców w Krakowie. Ale też dziesiątek podobnych miejsc w Polsce.

Od marca mieszkańcy takich punktów muszą częściowo płacić za swój pobyt. Zwolnieni z opłat będą seniorzy, kobiety w ciąży, matki z co najmniej trójką dzieci i osoby niepełnosprawne. A także – i właśnie na niejasność tego kryterium narzekają najbardziej samorządowcy – „osoby znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej". Co jeśli ktoś, powołując się na ów przepis, odmówi uiszczenia opłaty?

Osobny problem to brak pomysłu, co dalej z podobnymi miejscami. W takich punktach – bywa, że non stop na tych samych kilku metrach kwadratowych – przebywa nadal ponad 80 tysięcy uchodźców. Niektórzy tkwią w nich od roku. ©℗ PW

Śmierć dziecka posłanki

W TEJ SPRAWIE padło już tyle najmocniejszych słów i najcięższych oskarżeń, że wystarczy przytoczyć fakty. W sierpniu 2020 r. Krzysztof F., były działacz PO, skrzywdził dzieci. W grudniu 2021 r. został skazany na niemal pięć lat więzienia za „inne czynności seksualne z małoletnim" oraz „udzielenie narkotyków małoletniej". Pod koniec ubiegłego roku publiczne Radio Szczecin oraz TVP Info nagłośniły sprawę w sposób, który mógł ułatwić identyfikację jednej z ofiar – Mikołaja, syna posłanki PO Magdaleny Filiks. I mogły powtórnie, jak wskazują krytycy, skrzywdzić dziecko.

3 marca wieczorem Filiks poinformowała o śmierci syna. „Są momenty, gdy poglądy polityczne ustępują miejsca empatii, człowieczeństwu – napisał na Facebooku Tomasz Terlikowski, krytyk postępowania mediów publicznych. – Gdy jest się bardziej ojcem czy matką niż zwolennikiem jakichś poglądów. To jest ten moment". ©℗ PW

KRAJ W SKRÓCIE

KONIEC?
Rekonwalescencja prezesa PiS „dobiega powoli końca" i jest on „jak najbardziej w dobrej formie" – poinformował rzecznik partii Rafał Bochenek, nawiązując do zabiegu ortopedycznego Jarosława Kaczyńskiego. W marcu lider PiS ma wznowić objazd kraju, co – zdaniem podwładnego – oznaczać ma otwarcie sezonu politycznego w Polsce.

POCZĄTEK?
No chyba że wyborcy uznają za otwarcie złożoną w Pabianicach propozycję Donalda Tuska, by kupujący pierwsze mieszkanie obywatele do 45. roku życia mogli skorzystać z kredytu O procent; propozycję mającą spowodować wedle lidera PO, że „mieszkanie stanie się prawem, nie towarem".

SZCZYT?
Próbą otwarcia była z pewnością deklaracja wiceministra finansów Piotra Patkowskiego, że w lutym nastąpił szczyt inflacji (dobijającej obecnie do 20 proc.), a zatem od marca zacznie się, cytujemy, „dezinflacja".

DOŁEK?
Zapobiegliwym, a zwłaszcza mającym dobre kontakty, warto być nawet w czasach „dezinflacji": posłowie PO Dariusz Joński i Michał Szczerba przedstawili sieć powiązań łączących spółki wygrywające w konkursach dotacyjnych Narodowego Centrum Badań i Rozwoju z nadzorującymi Centrum politykami Partii Republikańskiej.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

SILVIA MANCINI Z ORGANIZACJI LEKARZE BEZ GRANIC (MSF):

Nie ma czasu na pytania

MARCIN ŻYŁA: 67 migrantów zginęło w wypadku łodzi, która 26 lutego roztrzaskała się o skały u wybrzeży Kalabrii. Co się dzieje z ocalałymi?

ARCHIWUM PRYWATNE

SILVIA MANCINI: Trafili do miejscowości Crotone, od kilku dni są tu pod naszą opieką. W zasadzie każdy z nich stracił kogoś w wypadku. Z Europy przyjeżdżają ich bliscy. Na łodzi było wielu Pakistańczyków i Afgańczyków, którzy chcieli dołączyć do swoich rodzin. To trudna sytuacja – nie ma czasu na pytanie ocalałych o samą podróż, trzeba zadbać o podstawowe potrzeby.

Łódź płynęła do Włoch z Turcji. Ta trasa jest wśród migrantów coraz bardziej popularna. Dlaczego?
Do tej pory ta trasa była mało znacząca. Teraz łodzie coraz częściej omijają Grecję, zapewne dlatego, że kraj ten stosuje na morzu tzw. pushbacki, siłą zawraca łodzie. W 2022 r. na południe Włoch, nie licząc Sycylii, dotarło dwukrotnie więcej ludzi niż rok wcześniej. Kierują się tu również łodzie wypływające z wschodniej części wybrzeża Libii.

A także te, które omijają Lampedusę. Migranci boją się, że zostaną na wyspie „uwięzieni".
Łodzi wciąż przybywa. Jako MSF w miejscowości Roccella Ionica (Kalabria) utrzymujemy mały zespół, który zajmuje się głównie triażem, segregacją rannych.

Na morzu poprawia się pogoda. Tymczasem od dwóch tygodni władze nie zezwalają na wypłynięcie z portu w Ankonie statku ratowniczego MSF.
Zatrzymanie „Geo Barents" mówi dużo o atmosferze we Włoszech. Uznajemy je za dowód, że włoskie władze chcą ograniczyć działalność organizacji pozarządowych – tym bardziej że dokonano go na podstawie nowego, obowiązującego od początku roku dekretu. Opinia publiczna jest poruszona tragedią w Kalabrii. Polityka władz wydaje się na tym tle po prostu okrutna. Uważamy, że takim wypadkom można byłoby zapobiec, gdyby Włochy i UE wróciły do operacji ratowniczych, a nie koncentrowały się na przemytnikach ludzi. Zresztą w ograniczonym zakresie włoska marynarka wciąż podejmuje z wody migrantów – oficjalnie jednak się o tym nie mówi. ©℗

SILVIA MANCINI *koordynuje pomoc humanitarną we włoskim oddziale Lekarzy bez Granic.*

COSTAS BALTAS / AFP / EAST NEWS

PRZECIW NIEMOCY PAŃSTWA – oraz wieloletnim zaniedbaniom w zakresie dużych projektów infrastrukturalnych – protestowali w ostatnich dniach Grecy. Pretekstem była tragiczna katastrofa kolejowa, do której doszło 28 lutego w pobliżu miasta Larisa. Demonstranci, głównie młodzi, dają upust złości i frustracji wobec instytucji państwowych oraz chronicznego niedoinwestowania m.in. kolei. W minioną niedzielę w Atenach wypuścili 57 czarnych balonów – po jednym ku pamięci każdej z ofiar. ©℗ MaG

Irlandia Północna: brexit do poprawki

PATRYCJA BUKALSKA Z ULSTERU

Zjednoczone Królestwo i Unia Europejska porozumiały się w sprawie uproszczenia brexitowych przepisów dotyczących Irlandii Północnej. Dotychczasowy protokół irlandzki ma zostać zastąpiony przez tzw. umowę windsorską. To właśnie w Windsorze brytyjski premier Rishi Sunak i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosili 27 lutego „nowy rozdział we wzajemnych stosunkach". Umowa rozwiązuje niektóre problemy, które trwają od brexitu. Wtedy pomiędzy Irlandią Północną a pozostałą częścią Zjednoczonego Królestwa powstała *de facto* wewnętrzna granica celna – źródło kłopotów przedsiębiorców i politycznego impasu w Belfaście, stolicy prowincji. Unioniści odmawiali wymaganego przez tzw. porozumienie wielkopiątkowe z 1998 r. współrządzenia z republikanami, dopóki protokół nie zostanie zniesiony.

Umowa windsorska zapewni płynny handel w obrębie Zjednoczonego Królestwa – towary z Anglii, Szkocji czy Walii, które mają pozostać w Irlandii Północnej, nie będą podlegać kontrolom. Te, które mają trafić dalej, do Republiki Irlandii (członka UE), będą kontrolowane. Po drugie, w Irlandii Północnej mają obowiązywać decyzje Londynu dotyczące podatku VAT i akcyzy. Po trzecie, wprowadza się tzw. hamulec Stormontu, który pozwala północnoirlandzkiemu parlamentowi blokować nowe unijne przepisy – to powinno nieco ugłaskać unionistów.

Brytyjski parlament niemal na pewno zaakceptuje umowę windsorską. Nie wiadomo jednak, czy porozumienie zyska do końca aprobatę północnoirlandzkich unionistów, a zatem, czy i kiedy impas w Belfaście zostanie przełamany. Z pewnością jest to znaczący krok w kierunku uregulowania nadszarpniętych przez spory i brak zaufania stosunków między Londynem a Brukselą. Co ciekawe, porozumienie pobudziło na nowo debatę o sensie brexitu. Zdaniem Sunaka Irlandia Północna to teraz „najbardziej ekscytująca strefa ekonomiczna na świecie", bo ma dostęp do rynku brytyjskiego i unijnego. Taką pozycję miała cała Wielka Brytania przed brexitem. Teraz podobnego statusu chciałaby też proeuropejska Szkocja. ©℗

Ukraina atakuje cele w Rosji

NIEMAL 50 TYSIĘCY żołnierzy miała stracić Rosja na Ukrainie od początku stycznia. Nawet jeśli te ukraińskie wyliczenia są zawyżone, pokazują znaczący wzrost intensywności walk. Rosjanie wciąż bezskutecznie próbują przerwać front, który stoi w miejscu od października. Szczególnie zaciekłe boje toczą się o Bachmut, który stał się jednym z symboli tej fazy wojny. Sytuacja obrońców tego niegdyś 70-tysięcznego miasta, z którego pozostały ruiny, jest coraz trudniejsza. Jeszcze w poniedziałek 6 marca wydawało się, że Rosjanie nadal będą podejmować próby pełnego otoczenia Bachmutu za cenę ogromnych strat własnych. Kreml się z ofiarami nie liczy, ale brak sukcesów na Ukrainie staje się coraz większym problemem. Rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu miał kilka dni temu odwiedzić pierwszą linię frontu, zagrzewając żołnierzy do walki – ale efektów brak.

Rosja kontynuuje ponadto ataki na ukraińską infrastrukturę energetyczną oraz na cele cywilne. Ukraińcy nie pozostają dłużni – zintensyfikowali ataki dronami na przygraniczne obwody rosyjskie oraz dokonali ataku na lotnisko w Jejsku niedaleko Rostowa. Celem jest dalsze podnoszenie kosztów wojny dla Kremla. Siły ukraińskie miałyby znacznie łatwiejsze zadanie, gdyby Zachód zdecydował się wreszcie na dostarczenie im artylerii rakietowej dalekiego zasięgu, co umożliwiłoby ataki na cele na terytorium Federacji Rosyjskiej. Jednak państwa zachodnie wciąż się boją, że doprowadzi to do eskalacji działań zbrojnych.

Kilka dni temu doszło natomiast do ataku na żołnierzy rosyjskich w obwodzie briańskim, do którego przyznał się Rosyjski Korpus Ochotniczy, złożony z obywateli Rosji walczących w szeregach ukraińskich. Kijów potwierdził incydent, ale jego szczegóły pozostają niejasne. Atak pomaga Kremlowi uzasadniać konieczność kontynuowania wojny, strona ukraińska zainteresowana jest zaś destabilizowaniem sytuacji w Rosji. Zarazem rozbudza to wśród Ukraińców nadzieje na wiosenną kontrofensywę. Jednego można być pewnym – wojna będzie trwać.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

ASAAD NIAZI / BRITISH MUSEUM / MATERIAŁY PRASOWE

SUMERYJSKIE MIASTO GIRSU w Iraku odkryto w XIX wieku, wtedy też prowadzono chaotyczne wykopaliska. Obecne prace trwają od 2015 r., a najważniejszym odkryciem jest liczący 4,5 tys. lat pałac królewski oraz świątynia boga Ningirsu. Kierujący pracami dr Sebastien Rey ocenia, że uda się dzięki nim poszerzyć wiedzę o cywilizacji Sumerów. Wśród tabliczek z pismem klinowym spodziewa się znaleźć nieznane fragmenty eposu o Gilgameszu, za czym mogą pójść odkrycia z dziedziny archeologii biblijnej. ©℗ MAM

Droga do komunii dla rozwiedzionych

PIOTR SIKORA

Dla katolików rozwiedzionych i żyjących w ponownych związkach otworzyła się instytucjonalna droga do możliwości pełnego uczestnictwa w Eucharystii. Ściślej – dla katolików z diecezji pilzneńskiej w Czechach. Tamtejszy biskup, Tomáš Holub, ogłosił zasady udzielenia „trwałego aktu miłosierdzia” – czyli procesu rozeznania, który może skutkować udzieleniem przez biskupa trwałego pozwolenia na przyjmowanie komunii.

Wejść na tę drogę mogą osoby co najmniej pięć lat po rozwodzie. Proces rozeznania ma trwać rok, podczas którego dana para powinna odbyć minimum cztery spotkania z jednym ze specjalnie ustanowionych „misjonarzy miłosierdzia”. Ksiądz ten ma ocenić, czy w życiu danych ludzi ma miejsce „otwarcie na życie w łasce Bożej, perspektywy na dalszy jego rozwój oraz pragnienie celebrowania Eucharystii”. Ostateczną decyzję – po konsultacjach z „misjonarzem miłosierdzia” i spotkaniu z daną parą – podejmuje biskup.

Pomysł bp. Holuba jest próbą wdrożenia perspektywy zarysowanej w adhortacji „Amoris laetitia” – zapewne w odpowiedzi na głosy, które pojawiły się w procesie synodalnym. Zaletą instytucjonalizacji sugestii „Amoris laetitia” jest nadanie im pewnej trwałości. Wadą – to, że decyzje, które powinny przynależeć osobistemu sumieniu wiernych, podejmowane będą przez księży i biskupa. ©℗

Kardynalska dola

OSIEMSET METRÓW KWADRATOWYCH liczy rzymska rezydencja jednego z ważniejszych urzędników watykańskiego Sekretariatu Stanu. Dorównuje jej siedmiołazienkowy apartament członka papieskiej rady kardynałów czy niewiele mniejsze mieszkanie emerytowanego prefekta kongregacji przy via Conciliazione. Inni hierarchowie zajmują lokale 300-400 metrowe, a skromniejszą powierzchnię rekompensują im widokowe tarasy, ogrody, piwnice z winem czy freski na ścianach. Niektórzy dzielą apartament z sekretarzem i kilkoma zakonnicami, zajmującymi się domem.

Watykan ma 5261 nieruchomości, z czego większość w Rzymie. W 2020 r. przyniosły one 15,2 mln euro dochodu, co daje miesięczną średnią 241 euro za każdą z nich, ponieważ tylko 14 proc. lokali wynajmowanych jest po cenach rynkowych – pozostałe udostępniane są na preferencyjnych warunkach lub nieodpłatnie.

Decyzją Franciszka (który zajmuje 70-metrowe mieszkanie w Domu św. Marty) kardynałowie i wyżsi urzędnicy kurii będą od teraz płacić czynsz ustalany przez Sekretariat Ekonomiczny. Z pewnością nie będą to ceny rynkowe, bo wtedy nie byliby w stanie opłacić go z pensji (w przypadku kardynała to 4,5-5,5 tys. euro miesięcznie), ale stawki nie mogą być niższe od tych, jakie płacą inni pracownicy Watykanu. Zmiana przepisów podyktowana jest deficytem budżetowym Stolicy Apostolskiej.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ZWROT

Na polecenie Franciszka Muzea Watykańskie zwrócą Atenom trzy fragmenty frontonu, fryzu i metopy Partenonu przetrzymywane w Rzymie od XIX wieku. Grecja od ponad 30 lat domaga się zwrotu różnych fragmentów zabytku od Brytyjczyków, Austriaków, Włochów, Duńczyków, Francuzów czy Niemców.

PRZEJĘCIE

Poznańscy dominikanie w tym roku przejmują całkowicie organizację Ogólnopolskiego Spotkania Młodych na Lednicy. Do zeszłego roku w przygotowania zaangażowani byli także świeccy współpracownicy o. Jana Góry ze Stowarzyszenia Lednica 2000. Od września dominikanie przejmują także od Stowarzyszenia ośrodek na Polach Lednickich, który pierwotnie miał być dzierżawiony do 2027 r.

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

BLOKADA

W zasadzie nie działają wprowadzone przez Franciszka w 2019 r. przepisy umożliwiające karanie biskupów za tuszowanie pedofilii – przyznał członek Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich, ks. Hans Zollner (na zdjęciu). W wirtualnej rozmowie z katolikami wykorzystanymi w dzieciństwie przez księży niemiecki jezuita mówił, że pewnym wyjątkiem jest Polska, gdzie ukaranych zostało 10 biskupów.

Lamy pomogą roślinom w zwalczaniu infekcji

DLA NICH WALKA Z ZAKAŻENIAMI jest większym wyzwaniem niż dla nas. Rośliny nie mają adaptacyjnego układu odpornościowego, więc po kontakcie z patogenem nie produkują przeciwciał. Nie mają też ruchomych komórek, które rzucałyby się na intruza i pożerały go lub ostrzeliwały toksycznymi substancjami. Opierają się na „wrodzonym" zestawie mniej wyspecjalizowanych środków. Każda roślinna komórka potrafi wykryć patogen i się mu przeciwstawić, a gdy przegrywa walkę, doprowadza do własnej śmierci.

Taki sztywny system odpornościowy stawia rośliny w niekorzystnej pozycji w obliczu szybkiej ewolucji patogenów, bo mogą paść ofiarą nowych wirusów, grzybów czy bakterii, na spotkanie z którymi nie będą przygotowane. Dlatego biotechnolodzy szukają sposobów, by roślinom – i rolnikom – ułatwić życie.

Najnowszy opisali w „Science" Jiorgos Kourelis i współpracownicy. Pierwszy krok to „zaszczepienie" lamy białkami roślinnego patogenu. Zwierzę wytworzy miniaturowe przeciwciała, na podstawie których, w kolejnym kroku, da się tak „nadpisać" geny roślin, by uwzględniały informację o nowym zagrożeniu. To metoda szybsza i bardziej precyzyjna od tradycyjnego uzyskiwania nowych odmian roślin dzięki krzyżówkom (co ludzkość mniej lub bardziej świadomie robi od tysięcy lat) albo wywoływania przypadkowych mutacji w genach odpornościowych. ©℗ ŁK / SCIENCE

KOKI KATAOKA / EAST NEWS

Wywiad, wirus, wyciek

Z NOWYCH DANYCH WYWIADOWCZYCH Departamentu Energii USA wynika, że SARS-CoV-2 wydostał się z laboratorium w chińskim Wuhan wskutek nieszczęśliwego wypadku. Przesłaną w tej sprawie do Białego Domu i kluczowych członków Kongresu USA notatkę ujawnił „Wall Street Journal". Choć brzmi to sensacyjnie, scenariusz dotyczący wycieku jest – jak podaje dziennik – obarczony „niską pewnością", a „informacje wykorzystane w analizie są ograniczone, wątpliwe, fragmentaryczne albo nie da się z nich wyciągnąć twardych, analitycznych wniosków".

Dlaczego Departament Energii w ogóle zajmuje się pandemią? To jeden z trzech amerykańskich resortów, które mają własne biura prowadzące działalność wywiadowczą (obok departamentów stanu i skarbu). Nadzoruje on także pracę sieci laboratoriów, w tym biologicznych. A odkąd Republikanie zdobyli przewagę w Kongresie, pojawiają się coraz większe naciski na służby wywiadowcze, by wyjaśniły, co było źródłem pandemii.

Teorie spiskowe dotyczące stworzenia SARS-CoV-2 w Instytucie Wirusologii w Wuhan (na zdjęciu) jako broni biologicznej pojawiły się wkrótce po wybuchu pandemii. Podejrzenia podsycało to, że Chińczycy zwlekali z wpuszczeniem tam niezależnych ekspertów, a później utrudniali im pracę. Dziś nikt poważny takiego scenariusza nie bierze pod uwagę. Zarówno służby wywiadowcze, jak i naukowcy zgadzają się też, że pandemii nie rozpętano celowo. Nikt nie wyklucza jednak wypadku. A że do takowych dochodzi, najlepszym przykładem może być wirus SARS-CoV-1, który w ciągu ostatnich 20 lat wydostał się z laboratoriów sześciokrotnie.

Pewności co do pochodzenia jego następcy jednak nie ma. Dwa badania opublikowane w 2022 r. w magazynie „Science" drobiazgowo, za pomocą danych genetycznych i lokalizacyjnych, dowodziły, że naturalna transmisja wirusa ze zwierząt sprzedawanych na bazarze w Wuhan jest najbardziej prawdopodobnym źródłem pandemii, choć nie ustalono dokładnie, o jakie zwierzęta chodzi. Światowa Organizacja Zdrowia uważa więc zarówno tę hipotezę, jak wyciek z laboratorium za prawdopodobne. Konsensusu w tej sprawie nie osiągnęli nie tylko naukowcy, ale też agencje wywiadowcze. Cztery z nich uważają – z „niską pewnością" – że za pandemię odpowiada naturalna transmisja wirusa, ale w zeszłym tygodniu dyrektor FBI przyznał, że jego agencja ze „średnią pewnością" uznaje wyciek laboratoryjny za najbardziej prawdopodobny.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden wątek. Dyskusja o potencjalnym wycieku wróciła w chwili, gdy Chiny wysyłają sygnały o możliwym wsparciu Rosji w Ukrainie. To oznacza, że próby ustalenia przyczyn pandemii, która pochłonęła 7 mln ofiar, mogły się stać przedmiotem wielkiej polityki. © MICHAŁ GIKOWSKI

KULTURA W SKRÓCIE

KACZMAREK Z ORŁEM

Kompozytor i autor muzyki do ponad 70 filmów Jan A.P. Kaczmarek został laureatem Polskiej Nagrody Filmowej Orły 2023 za osiągnięcia życia. Statuetka jest wręczana od ponad 20 lat wybitnym ludziom kina, otrzymali ją dotychczas m.in. Andrzej Wajda, Jerzy Kawalerowicz, Danuta Szaflarska, Janusz Gajos i Jerzy Skolimowski.

SZYMANOWSKI PO RAZ DRUGI

Ponad stu wykonawców zakwalifikowało się do drugiego Międzynarodowego Konkursu Muzycznego im. Karola Szymanowskiego. Uczestników wyłoniono spośród blisko 300 zgłoszeń z całego świata. Przesłuchania konkursowe rozpoczną się na początku września, gala finałowa – 23 września w sali koncertowej NOSPR.

PENDERECKI W OPERZE

Wręczono prestiżowe nagrody niemieckiego magazynu „Oper!" przyznawane co roku w dwudziestu kategoriach. Za najlepsze operowe wykonanie uhonorowana została inscenizacja „Diabłów z Loudun" Krzysztofa Pendereckiego pod batutą Władimira Jurowskiego zaprezentowana w Bawarskiej Operze Państwowej. Była to pierwsza operowa premiera dzieła Pendereckiego po śmierci kompozytora.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

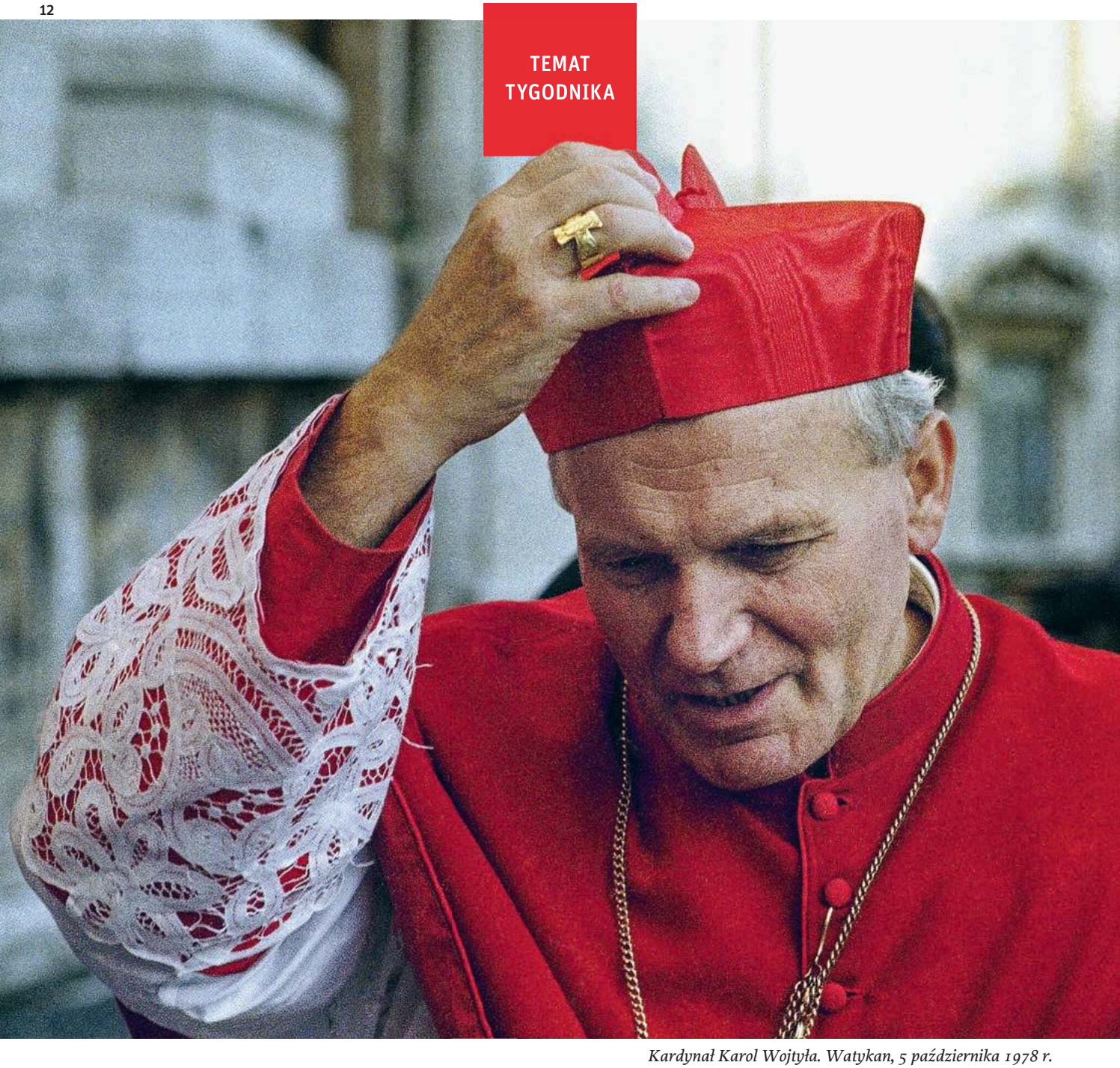

Kardynał Karol Wojtyła. Watykan, 5 października 1978 r.

CO WIEDZIAŁ NAPRAWDĘ

Wyidealizowana i odklejona od rzeczywistości etyka norm, której Karol Wojtyła był krzewicielem, zmieniła jego spojrzenie. Sprawiła, że krzywda ofiar zeszła na drugi plan.

ARTUR SPORNIAK

To było dokładnie 52 lata temu, właśnie na przełomie lutego i marca. Ponieważ miał nas odwiedzić specjalny gość, zostaliśmy zebrani przez pielęgniarki w środkowej sali „Okrąglaka" – oddziału hematologii Krakowskiego Szpitala Dziecięcego w Prokocimiu. Przyszedł ksiądz w czarnej sutannie. Od zwykłego duchownego różnił go srebrny krzyż na piersi. Pamiętam ten krzyż, bo mi się spodobał i chwyciłem go, kiedy Karol Wojtyła brał mnie na ręce. Kardynał się uśmiechnął.

Miałem wtedy pięć lat. Podczas wizytowania parafii w Prokocimiu metropolita krakowski przyszedł nie tylko do lekarzy, ale także do nas. Wiedział, że na tym oddziale większość małych pacjentów choruje na nieuleczalną wtedy białaczkę i może niedługo umrzeć.

Wraca do mnie ta scena, gdy czytam książkę Ekke Overbeeka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział" i zastanawiam się, dlaczego ówczesny arcybiskup Krakowa ani razu (przynajmniej nie ma takich świadectw) nie spotkał się z dziećmi wykorzystanymi seksualnie przez jego podwładnych. I dlaczego reagował, tak jak reagował, kiedy docierały doń wieści o podobnych przestępstwach?

Dzisiaj osoby skrzywdzone w dzieciństwie mówią o sobie „nieumarli". Niektórych starszych księży to irytuje. Nie rozumieją, jak można się tak określać. Ale również Kościół zdaje się rozumieć coraz więcej. W jednym z przemówień z maja 2021 r. papież Franciszek nazwał pedofilię „psychologicznym zabójstwem, które pozbawia dzieciństwa".

Temu procesowi rozwoju rozumienia chcę się przyjrzeć. Nie po to, by Karola Wojtyłę usprawiedliwiać, ale po to, by spróbować odtworzyć jego sposób myślenia oraz ówczesny mentalny i społeczny kontekst pedofilii.

Zresztą jest mocny argument przeciw wszelkiemu usprawiedliwianiu. Mimo niesprzyjającego kontekstu społecznego, także wtedy – w latach 60. i 70. XX w. – były osoby, które intuicyjnie wyczuwały ukryty koszmar pedofilii. Ich świadectwo stanowi wyrzut sumienia dla tych, którzy nie reagowali – z dzisiejszej perspektywy – właściwie. Mam na myśli część matek, które – wbrew panującemu tabu, presji społecznej i późniejszemu ostracyzmowi, jaki ich spotykał – stawały po stronie swoich dzieci. Szybko i zdecydowanie. One są prawdziwymi bohaterkami tamtych czasów.

Wiedza

W swojej książce Ekke Overbeek – holenderski dziennikarz od lat mieszkający w Polsce i badający problem pedofilii w Kościele katolickim – odpowiada na dwa pytania. Odpowiedź na pytanie główne, zawarta już w tytule, po bliższym przyjrzeniu się okazuje się ekwiwokacją: autor zadaje jedno pytanie, ważne i trudne, a odpowiada na inne – trywialne.

W przestrzeni publicznej od dawna podnoszona jest kwestia, czy Jan Paweł II wiedział o skali pedofilii w Kościele i systemowym jej kryciu przez biskupów. Holender zajmuje się natomiast problemem, czy Karol Wojtyła wiedział o przypadkach wykorzystywania dzieci przez księży, zanim został papieżem. Rzecz w tym, że przypadki pedofilii zdarzały się w Kościele, zdarzają i zapewne – niestety – będą się jeszcze zdarzać. Byłoby dziwne, gdyby Wojtyła jako rządca diecezji przez 14 lat (1964-1978) się z nimi nie spotykał. Overbeek odnalazł i opisał (na 528 stronach książki) cztery takie przypadki.

Nietrywialna natomiast jest odpowiedź na pytanie: jak na te przypadki kard. Wojtyła reagował?

Jest jeszcze inna sprawa: czy bardzo ostrożną reakcję Jana Pawła II na problem pedofilii w Kościele powszechnym da się przynajmniej po części usprawiedliwić tym, że do Watykanu pojechał on z wyrobionym odruchem obronnym, ponieważ za czasów komunizmu w PRL państwowy aparat przemocy wykorzystywał wiedzę o takich przypadkach do walki z Kościołem?

Overbeek pokazuje, że taka obronna argumentacja jest nie do utrzymania – i to chyba jego najbardziej oryginalny wkład w dyskusję o Karolu Wojtyle i pedofilii. Jedyna w tej sferze publiczna konfrontacja z Kościołem – przy pomocy procesu pokazowego, który w 1971 r. władze wytoczyły w Opolu ks. Henrykowi Słodkowskiemu, oskarżonemu o molestowanie chłopców – skończyła się propagandową klęską władz. Choć ostatecznie ksiądz został skazany na dwa lata więzienia (proces był możliwy dzięki postawie matek wykorzystanych dzieci), to opinia publiczna stanęła po jego stronie.

Tę manipulacyjną niemoc władz PRL potwierdza w rozmowie z „Tygodnikiem" autor książki „Donos na Wojtyłę", historyk Marek Lasota: – Gdy przegląda się archiwa IPN, można dojść do wniosku, że sprawy pedofilskie, a także dotyczące homoseksualizmu księży były raczej lekceważone przez bezpiekę – mówi. – Szukano przede wszystkim ich związków z kobietami. Znacznie bardziej prawdopodobny był szantaż – groźba ujawnienia – w przypadku związku z kobietą niż kontaktów homoseksualnych. Pedofilia i homoseksualizm były w tamtych czasach społecznymi tematami tabu i znacznie trudniej było je publicznie wykorzystywać do walki z Kościołem.

Przypadki

Overbeek opisuje czterech księży z archidiecezji krakowskiej oskarżonych o wykorzystywanie nieletnich.

Kazimierz Lenart zostaje w 1969 r. oskarżony o molestowanie nastolatek. Jest przenoszony z parafii do parafii. Ostatecznie suspenduje go w 1979 r. kard. Franciszek Macharski, następca Wojtyły.

Józef Loranc w 1970 r. w przysiółku Mutne na Żywiecczyźnie podczas katechezy w kaplicy dobiera sobie co ładniejsze dziewczynki z IV i V klasy. Kładzie nogę na ławkę. Zakrywa dzieci sutanną. Wkłada im członek do ust. Sprawę nagłaśnia heroiczna matka. Duchowny trafia do więzienia, a po odbyciu zasądzonej kary i wyjściu na wolność stopniowo wraca do pracy duszpasterskiej.

Ks. Eugeniusz Surgent zostaje w 1973 r. skazany na trzy lata więzienia za molestowanie chłopców. Gdy po niecałym roku obejmuje go amnestia, nie wraca do archidiecezji krakowskiej. Po kilku latach trafia za to do diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej.

Czwarty przypadek to ks. Bolesław Saduś. Na początku lat 60. blisko współpracuje on z bp. Wojtyłą w Wydziale Katechetycznym krakowskiej kurii. Jest dla Służby Bezpieczeństwa cennym współpracownikiem. W 1971 r. zostaje proboszczem eksponowanej parafii św. Floriana. Wkrótce parafianki oskarżają go o molestowanie ich synów. Ostatecznie Wojtyła – dzięki swej przyjaźni z wiedeńskim metropolitą kard. Franzem Königiem – przenosi go do pracy duszpasterskiej w Austrii.

Czy śledztwo Overbeeka – przeprowadzone głównie w oparciu o archiwa IPN – jest rzetelne? Przypadki Surgenta ↦

AP / EAST NEWS

Sprawa kardynała Groëra

HANS GROËR był księdzem diecezji wiedeńskiej, w latach 1946-74 prefektem niższego seminarium duchownego w Hollabrunn, duszpasterzem skautów i opiekunem sanktuarium maryjnego w Maria Roggendorf. W 1976 r., mając 55 lat, wstąpił do zakonu benedyktynów. W 1986 r. Jan Paweł II, doceniając surowe życie mnicha, a także jego pobożność maryjną, zdolności organizacyjne i konserwatywne poglądy, mianował go arcybiskupem Wiednia. W 1988 r. Groër został kardynałem.

W 1995 R. media oskarżyły Groëra o wykorzystywanie seksualne uczniów w Hollabrunn. W 1998 r. zeznania przeciwko niemu złożył też jeden z benedyktynów. Watykan zlecił wizytację opactwa (wyników nie ujawniono), a kardynał przeszedł na emeryturę. Jan Paweł II publicznie dziękował mu wówczas za „wierną posługę" i współczuł z powodu „brutalnych ataków, bez zważania na kardynalską i ludzką godność".

PAPIEŻ nie zgodził się na wszczęcie postępowania przeciwko Groërowi, o co zabiegał kard. Christoph Schönborn, jego następca w Wiedniu. Wraz z trzema innymi biskupami, którzy spotkali się z ofiarami duchownego, nowy metropolita zapewniał Jana Pawła II o „moralnej pewności" co do przestępstw poprzednika. Wyjaśnienia stawianych Groërowi zarzutów chciał kard. Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Przeciwny był sekretarz stanu, kard. Angelo Sodano.

GROËR nigdy nie został formalnie uznany za winnego. Papież wysłuchał jego wyjaśnień i prawdopodobnie uznał jego pobożne życie i wstąpienie do zakonu za wystarczającą pokutę. W czasie jego pogrzebu, w 2003 r., kard. Joachim Meisner z Kolonii porównał go do Szymona z Cyreny, który pomagał nieść krzyż Jezusowi.

©℗ EA

↦ i Lenarta opisali niedawno na łamach „Rzeczpospolitej" Tomasz Krzyżak i Piotr Litka. Jest zatem okazja, by porównać oba materiały – i to porównanie nie wypada na korzyść Holendra. Autorzy „Rzeczpospolitej" pokazali np., że dyscyplinując Lenarta Wojtyła ściśle trzymał się obowiązującego wówczas prawa kanonicznego. Overbeek nie interpretuje tego na korzyść metropolity, przeciwnie. Tak samo ignoruje sytuację prawno-kanoniczną ks. Surgenta, który przynależał do archidiecezji krakowskiej, ale formalnie podlegał pod biskupa lubaczowskiego, i to on, a nie Wojtyła, miał wobec niego ostatni głos w sprawach karnych.

Nie jest jednak tak, że „Maxima culpa" nie prowokuje trudnych pytań względem Wojtyły. Dlaczego nie wykonał żadnego gestu wobec ofiar? Był obojętny wobec ich cierpienia? Czy nie podchodził naiwnie do podległych mu księży-przestępców?

Marek Lasota uważa, że z tych czterech przypadków najbardziej wątpliwe jest postępowanie metropolity wobec Sadusia: – Wojtyła najprawdopodobniej uznał, że cel wychowawczy został osiągnięty: Sadduś żałował, obiecał poprawę. Wyjechał do Austrii, gdzie miał się ustatkować. Choć sprytny ksiądz mógł być tam po prostu dyskretniejszy.

Sprawa na pewno wymaga dalszych badań – tym razem w oparciu o archiwa kościelne, czy to w Krakowie, czy w Wiedniu (Wojtyła najprawdopodobniej ukrył przed kard. Königiem prawdziwy powód przeniesienia Sadusia).

Niewiedza

Jak w ostatnich dekadach zmieniała się wiedza o pedofilii, o sprawcach i ofiarach? Prof. Maria Beisert, psycholożka i seksuolożka z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, zauważa, że podejście do przemocy seksualnej wobec dzieci i wiedza na ten temat ewoluowały.

– Dopiero w latach 70. badacze zaczęli zastanawiać się, czym jest wykorzystanie, a dziecko i dorosłego zaczęto traktować jako dwa równorzędne podmioty – mówi badaczka. – Wcześniej, w latach 60., świadomość, na czym polega wykorzystanie, była niewielka. Tylko drastyczne czyny, jak np. wspomniany seks oralny z dzieckiem w kaplicy, były zaliczane do tej kategorii. Gwałt musiał zostawić ślady, bo samo zeznanie dziecka nie było traktowane na równi z zeznaniem sprawcy. Zakładano np., że dziecko może konfabulować. Do dziś, gdy zdarza mi się być biegłą w sprawach o wykorzystanie, słyszę więcej troski o to, żeby nie skrzywdzić dorosłego niesprawiedliwym posądzeniem, niż troski, żeby nie skrzywdzić dziecka, pozostawiając sprawę bez biegu.

Prof. Beisert zauważa, że dopiero w latach 80. zaczęto przyglądać się konsekwencjom wykorzystania. Szczegółowe zaś badania siły i częstotliwości związków między danym zespołem objawów a wykorzystaniem to dopiero przełom wieków. Dosłownie ostatnie lata to patrzenie systemowe na to, jak wydarzenie wykorzystania wpływa na środowisko, w którym dziecko funkcjonuje, w tym także na instytucję Kościoła.

– Przed latami 80. nie myślano o realnych stratach dziecka, uważano np., że ono zapomni. A dzisiaj wiemy, że nawet jak zapomni, to jest coś takiego jak pamięć ciała, która będzie dawała o sobie znać – zauważa prof. Beisert.

Nauka wymienia tu liczne zaburzenia w wielu obszarach: obrazu własnej osoby, emocjonalne (np. poczucie winy), somatyczne (np. zaburzenia snu), seksualne (np. brak satysfakcji, zaniżona ocena siebie jako partnera seksualnego, podatność na bycie ofiarą kolejnych napaści), w funkcjonowaniu społecznym.

Idealizacja

Niewiedza o skutkach wykorzystania może rzucać światło na brak zainteresowania ofiarami przez kard. Wojtyłę. Ale ten efekt mógł być wzmacniany przez jeszcze jeden czynnik, rzadko zauważany.

Według tzw. etyki norm, której Wojtyła był zwolennikiem – najpierw jako profesor KUL, a potem papież (np. ostro zwalczał inne podejścia w encyklice „Veritatis splendor") – zło moralne czynu pedofilnego nie bierze się z krzywdy, jaką sprawca wyrządza ofierze, ale z przekroczenia normy, zakazującej używania seksualności poza kontekstem heteroseksualnego małżeństwa. Ofiara o tyle trafi w pole zainteresowań takiej etyki, o ile sama zacznie przekraczać normę pod wpływem doświadczeń z dzieciństwa – to efekt tzw. zgorszenia (o którym piszę dalej).

WOJTEK LASKI / EAST NEWS

Metropolita krakowski kard. Karol Wojtyła. Kraków, maj 1971 r.

Poza tym w takim doktrynalnym ujęciu krzywda to tzw. zło materialne, które ma nieporównywalnie mniejszą wagę niż zło moralne, czyli przekroczenie normy. W „Elementarzu etycznym" Wojtyła pisał: „Wśród wszystkich dóbr jedynie dobro moralne doskonali samo człowieczeństwo: człowiek przez nie staje się po prostu lepszym człowiekiem". To w konsekwencji oznacza, że jedynie zło moralne niszczy człowieczeństwo. Wynikałoby z tego, że silna trauma działa tylko na zewnętrzną warstwę człowieka – nie dotykając jego głębi (dlatego starszych księży irytuje właśnie identyfikowanie się ofiar jako „nieumarłych"). Dla tej etyki dużo ważniejsze jest zatem przestrzeganie norm niż ochrona przed krzywdą.

Ta dualistyczna idealizacja (moralność jako sprawa czysto duchowa) jest dziś anachronizmem. Człowieczeństwo nie sprowadza się do sfery duchowej – jest nierozerwalnie zanurzone w „materii", wyłania się z niej.

Pedofil przekreśla swoje człowieczeństwo – z tym się dziś godzimy – ale na gruncie religijnym może to naprawić, „zmyć" moralne zło czynu pedofilnego. Dzieje się to przez nawrócenie, przyznanie się do winy i symboliczne odpokutowanie. Za tą łatwością znów kryje się idealizacja (nawrócenie także rozgrywa się w przestrzeni czysto duchowej), która czasem prowadzi do zaślepienia – np. do niedostrzegania, iż od pedofilii jako skłonności (zwłaszcza tzw. pedofilii preferencyjnej) jest prawie niemożliwe się uwolnić. Taką wiedzę mamy już od połowy lat 80.

Wszystko to prowadzi do wniosku wykraczającego poza samą sprawę Wojtyły: Kościół wciąż posługuje się anachronicznym dyskursem i antropologią, co utrudnia właściwe ujęcie problemu pedofilii i adekwatną nań reakcję.

Wracając do lat 70. i metropolity krakowskiego: on nie tylko mógł nie zdawać sobie sprawy ze spustoszenia, jakie w dzieciach wywoływało wykorzystanie seksualne, ale dodatkowo patrzył na rzeczywistość przez takie etyczne okulary, które paradoksalnie pomniejszały wagę ich krzywdy. Wierzył też mocno i czasem bezkrytycznie w możliwość „nawrócenia" swoich księży.

Czynienie gorszym

Przy próbie rekonstrukcji myślenia Wojtyły ważne okazuje się pojęcie „zgorszenia" (Overbeek, który także o tym wspomina, ma tu słuszną intuicję). W języku religijnym słowo „zgorszenie" nie oznacza oburzenia, jak w języku potocznym. Chodzi o uczynienie kogoś gorszym – sprowokowanie moralnego zła (wciąż jesteśmy w perspektywie wyznaczonej przez wspomnianą powyżej etykę norm). Jeśli mówimy, że czyn pedofilny gorszy, to w takim razie kogo i w jaki sposób skłania do zła?

Ważną wskazówką jest list Jana Pawła II do biskupów USA z 1993 r. w sprawie przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich przez księży. Jest to jedna z pierwszych publicznych wypowiedzi papieża na ten temat. Gdy się jej bliżej przyjrzymy, okazuje się, że słowem kluczowym jest w niej właśnie „zgorszenie".

Papież na początku przyznaje, że jest przejęty, a „grzechy duchownych wstrząsnęły wrażliwością moralną wielu i stały się okazją do grzechu dla innych". O jakiej „okazji do grzechu" Jan Paweł II właściwie mówi? Nie jest to jasne. Raczej nie chodzi mu o to, że gdy czytamy opisy gwałtów na dzieciach, odzywa się w nas chęć odwetu. Nieco dalej bowiem papież mówi o „grzechu zgorszenia popełnionym wobec niewinnych". Chodzi zatem chyba o to, że ksiądz-gwałciciel „gorszy" ofiarę, bo jako religijny autorytet swoim czynem moralnie ją dezorientuje. Ale sama dezorientacja nie jest przecież jeszcze „złem moralnym". ↦

↦ Po drugie, gdy ofiara trafi na rozsądnego terapeutę, przekona on ją, że nie jest niczemu winna, że to ona została skrzywdzona i że to, co ją spotkało, jest złe. Po trzecie, czy rzeczywiście w tej sytuacji najbardziej istotny jest mniej czy bardziej chwilowy moralny chaos? W czasie, gdy ofiara boryka się z myślami samobójczymi, depresją... Pamiętajmy jednak, że to wszystko mieści się w czymś, co etyka normy nazywa złem materialnym, a więc nie tak istotnym, jak skłonność do przekraczania norm moralnych.

Prawie połowę tego listu Jan Paweł II poświęca zagrożeniom płynącym z mediów informujących o skandalach wywołanych przez księży. Zauważa: „Uznając prawo do należytej wolności przepływu informacji, nie można zgodzić się na traktowanie moralnego zła jako okazji do propagowania sensacji i zgorszenia". Najpierw prowadzi to – jego zdaniem – do podważenia dobrego imienia księży w ogóle: „Poszukiwanie sensacji prowadzi do utraty czegoś, co jest niezbędne dla kształtowania moralności społeczeństwa. Narusza bowiem podstawowe prawa osób, które w wyniku sensacji łatwo mogą zostać narażone na ośmieszenie w świetle opinii publicznej oraz na przedstawienie zniekształconego obrazu ich życia".

Następnie papież przestrzega przed... mediami, bo demoralizują: „Istnieją już wystarczające dowody na to, że powszechność przemocy i nieobyczajności w środkach społecznego przekazu staje się źródłem skandalu i zgorszenia". Jest tu założenie, że mówienie o złu prowokuje zło. „Zło rzeczywiście może stanowić pewną sensację, lecz czynienie zeń centrum przekazu zawsze będzie zagrożeniem dla moralności". A zatem – ponieważ księża jako moralne autorytety gwałcą dzieci, zwykli ludzie, czytając o tym, będą ich naśladować? Czy taki wniosek w ogóle jest prawdziwy?

I dlaczego Jan Paweł II nie dostrzega pozytywnej – wręcz niezastąpionej – roli mediów? Wszak mówienie o złu może być przestrogą przed złem. Ujawnienie zła może przerywać jego niszczycielskie działanie. Może prowadzić do jego osądzenia, ukarania i zadośćuczynienia. Może uzdrawiać rzeczywistość – demaskować i kruszyć zamknięte systemy wykorzystujące ludzi. Może wreszcie stanowić niezbędny składnik terapii dla ofiar.

Na tę ostatnią rolę wskazuje prof. Beisert: – Ujawnienie przestępców stwarza ofierze możliwość coraz lepszego radzenia sobie z tym, co ją spotkało – tłumaczy. – JeśliKościół to blokuje odwoływaniem się do „zgorszenia", jest to działanie pokrętne.

Czy różni się czymś od przemilczenia?

Zaufanie

Fragmenty przestrzegające przed zgorszeniem stanowią w liście do biskupów USA najwyraźniej konieczne uzupełnienie głównej informacji o zamiarach zaostrzenia prawa. Papież bowiem wie (już w 1985 r. otrzymał szczegółowy raport), że biskupi nie stosują norm prawa kanonicznego do przypadków pedofilii – sprawcy zwykle unikają kary albo otrzymują ją w formie symbolicznej. W liście Jan Paweł II informuje więc o powołaniu specjalnego komitetu ekspertów „dla zbadania, jak najlepiej można zastosować uniwersalne normy kanoniczne do tej szczególnej sytuacji, która zaistniała w Stanach Zjednoczonych".

W efekcie w 1994 r. Kościół w USA otrzymał indult, czyli przepisy uzupełniające obowiązujący Kodeks Prawa Kanonicznego, które m.in. zwiększały ochronę małoletnich i domagały się, by biskupi przeprowadzali procesy i stosowali kary, aż do wydalenia ze stanu duchownego włącznie. W 1996 r. przepisy te papież rozszerzył na Irlandię, bo – dzięki pracy mediów – okazało się, że i tam jest poważny problem wykorzystania seksualnego małoletnich, a ostatecznie w 2001 r. na cały Kościół, zobowiązując dodatkowo biskupów do zgłaszania każdego badanego przypadku do Kongregacji Nauki Wiary.

To stopniowe zaostrzanie i rozszerzanie zaostrzonego prawa poczytuje się papieżowi za zasługę (choć ramka „Pedofilia w prawie kanonicznym" pokazuje, jak wprowadzając w 1983 r. nowy kodeks, Jan Paweł II zadziałał w odwrotną stronę: złagodził to prawo). Przestało mu już chodzić o osobne, oderwane od siebie przypadki. Jakby wtedy, w latach 90., dotarła do niego skala zjawiska pedofilii w Kościele.

Problem z reformą prawa jest jednak taki, że nie osiągnęła ona swojego głównego celu – w dalszym ciągu przepisy

Pedofilia w prawie kanonicznym

WEDŁUG KODEKSU Prawa Kanonicznego (KPK) z 1917 r., ksiądz dopuszczający się przestępstw pedofilskich „powinien zostać zawieszony w obowiązkach, obłożony infamią, pozbawiony jakiegokolwiek urzędu, beneficjum, godności i zadania, a w cięższych przypadkach także usunięty ze stanu duchownego" (kan. 2359). W kolejnym Kodeksie, zatwierdzonym przez Jana Pawła II w 1983 r., brzmienie przepisu zmieniono: „Duchowny, który (...) wykroczył przeciwko VI przykazaniu Dekalogu, jeśli jest to połączone z użyciem przymusu lub gróźb, albo publicznie lub z osobą małoletnią poniżej lat 16, powinien być ukarany sprawiedliwymi karami, nie wyłączając w razie potrzeby wydalenia ze stanu duchownego" (kan. 1395 § 2). Czyny pedofilskie wpisano do rozdziału „Przestępstwa przeciw specjalnym obowiązkom". Oskarżeniami wobec księdza miał zajmować się lokalny biskup.

JAN PAWEŁ II wydał w 2001 r. dekret „O ciężkich przestępstwach" i list „Ochrona świętości sakramentów". Przestępstwa wobec małoletnich zaliczono do grupy najcięższych, podwyższając wiek małoletności z 16 do 18 lat. Biskupów zobowiązano do zgłaszania spraw do Kongregacji Nauki Wiary. Termin przedawnienia podniesiono do 10 lat.

W 2021 R. wprowadzono zmianę w KPK: przestępstwa duchownych wobec małoletnich przeniesiono do rozdziału „Przestępstwa przeciwko życiu, godności i wolności osoby". „Umieszczenie danego przepisu w danym dziale kodeksu pozwala na wyciąganie odpowiednich wniosków przy wykładni. To sprawi, że na pierwszym planie nie będzie stał duchowny łamiący swoje zobowiązania, ale ofiara przestępstwa" – tłumaczył kanonista ks. prof. Piotr Majer. ©℗ MAM

były masowo ignorowane przez biskupów. Nie nałożono bowiem żadnych kar za ich niestosowanie (takie kary wprowadził dopiero Franciszek w 2019 r.). Papież po prostu bezwarunkowo ufał biskupom.

Wygląda na to, że zwyczajna roztropność tłumiona była przez przekonanie, że zło jest na zewnątrz Kościoła, a w nim – słabość. Stąd, jak się wydaje, zaufanie na wyrost, okazywane skruszonym księżom-pedofilom w latach 70., a w czasie pontyfikatu także biskupom tuszującym przypadki nadużyć seksualnych wobec małoletnich i wysoko postawionym w kościelnej hierarchii drapieżcom seksualnym, jak McCarrick czy Degollado.

Przyszłe komisje

Zbierzmy czynniki, które udało się zidentyfikować jako rzucające światło na postępowanie Karola Wojtyły.

Niewiedza o skutkach seksualnego wykorzystania dziecka nie zwalniała z ewangelicznego wymogu troski o bezbronnych. Wyidealizowana i odklejona od rzeczywistości etyka norm, której Jan Paweł II był krzewicielem, zmieniała jego spojrzenie – krzywda ofiar schodziła na drugi plan. Zapewne to oburzający dziś imperatyw unikania za wszelką cenę zgorszenia sprawił, że nikt z krakowskiej kurii nie pojawił się z przeprosinami w Mutnem, gdzie dziewczynki były gwałcone w kaplicy przez katechetę. Z kolei później w Wiedniu – gdzie metropolitą i kardynałem został drapieżca seksualny [zobacz ramka „Sprawa kardynała Groëra"] – doprowadził do paraliżu decyzyjnego papieża. Tym bardziej że „zgorszenie" po ujawnieniu prawdy o Groërze miałoby o wiele większy zasięg niż w tym pierwszym przypadku. Wreszcie mistyczno-klerykalne postrzeganie Kościoła i kleru powodowało, że papież nie dostrzegał ciemnej strony w człowieku, który nosił koloratkę, a co dopiero piuskę.

> Dogłębne zbadanie zachowań Karola Wojtyły wobec księży oskarżonych o pedofilię nie jest na razie możliwe: abp Marek Jędraszewski właśnie zamknął kurialne archiwum.

Prawdopodobnie upłynie jeszcze kilkadziesiąt lat, aż któryś z przyszłych papieży otworzy watykańskie archiwa z czasu pontyfikatu Jana Pawła II. Byłoby jednak rozsądnie zrobić to wcześniej. Podobnie najrozsądniejszą reakcją Kościoła w Polsce na książkę Overbeeka i materiały w niej przedstawione byłoby powołanie niezależnej komisji z dostępem do akt krakowskiej kurii.

Historycy związani z Kościołem nie wierzą jednak w to, by w najbliższym czasie mogła ona powstać, gdyż osobą kompetentną do jej powołania jest metropolita krakowski, a jego stanowisko w kwestii badania prawdy o pedofilii w Kościele jest znane. W przekonaniu tym utwierdzają jego niedawne działania.

Jak z dwóch źródeł dowiedział się „Tygodnik", od 1 stycznia tego roku abp Marek Jędraszewski bezterminowo wyłączył kurialne akta personalne jako zbiór zastrzeżony. Niedostępne są nawet akta osób, od których śmierci upłynęło już 50 lat (taki dostęp umożliwia prawo archiwalne). Tym zakazem objęci są nie tylko dziennikarze, także pracownicy naukowi.

Ponadto nagle, z dnia na dzień, 27 grudnia 2022 r. zwolniony został z pracy w archiwum kurialnym ks. Jarosław Raźny. Skierowano go do parafii św. Brata Alberta w Libertowie jako „pomoc duszpasterską".

Dyrektor biura prasowego kurii, ks. Łukasz Michalczewski, nie odpowiedział na nasze pytanie o powody tych decyzji. Być może jednak istotna jest tu zbieżność dat: artykuły Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki o sprawach Surgenta i Lenarta ukazały się na łamach „Rzeczpospolitej" 26 listopada i 1 grudnia 2022 r., a więc niedługo przed decyzjami metropolity. Wcześniej Litka bezskutecznie starał się o dostęp do ich teczek personalnych w archiwum kurii.

©℗ ARTUR SPORNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Dbajcie o siebie

Przed nami niemały problem teologiczny: czy mamy prawo leczyć chorego, skoro nękająca go choroba może być karą Bożą? Judaizm znajduje jednoznaczną odpowiedź w słowach: „...spowoduje, by został całkowicie wyleczony" (Wj 21, 19). Najsłynniejszy lekarz-rabin, Mojżesz Majmonides, porównuje obowiązek opanowania bólu i choroby do wlania wody w spragnione gardło. Nie pozostawia jednak cienia wątpliwości: wprawdzie lekarz aplikuje kurację, ale leczy sam Bóg: „Jam jest Bogiem, który cię uzdrawia" (Wj 15, 26).

Skoro Bóg nas uzdrawia poprzez lekarza, możemy uznać medyka za „osobę duchowną". Otrzymuje on zapłatę – podobnie jak rabin – za wkład czasu i wysiłek, gdyż obowiązek religijny jest spełniany za darmo. „Bożemu narzędziu" stawia się wysokie wymagania etyczne, jego działalność zaś sankcjonuje żydowskie prawo.

Tora nie poprzestaje na zezwoleniu na leczenie – ona wręcz zobowiązuje do niego. Niepodjęcie działań przyrównuje do rozlewu krwi, a przecież „nie będziesz stał [bezczynnie] wobec krwi twego bliźniego" (Kpł 19, 16). W Biblii znajdujemy przede wszystkim prawa dotyczące profilaktyki i utrzymywania zdrowia całego narod, jak obowiązek izolowania zakaźnie chorych i poddawania ich kwarantannie. Piecza nad zdrowiem społeczności została powierzona kapłanom. Pilnują oni przestrzegania zasad higieny, w czasie wędrówki po pustyni decydują, kiedy ozdrowieniec może powrócić do obozu. Bardziej złożone kwestie medyczne porusza Talmud – wspomina m.in. o protezach kończyn, doustnych środkach antykoncepcyjnych, cięciu cesarskim.

Judaizm i medycyna są sobie szczególnie bliskie – w obu kluczową rolę odgrywa etyka. Podbudowę biblijną stanowi koncepcja świętości i wartości ludzkiego życia wraz z obowiązkiem zachowania zdrowia. Pomostem są też rabini-lekarze.

W Talmudzie znajdujemy stwierdzenie, iż ratowanie życia i zdrowia jest ważniejsze od zachowywania szabatu. Najwyższy zwraca się do nas tymi słowami: „Będziecie przestrzegać Moich ustaw i Moich praw; jeśli człowiek je wypełnia, żyje dzięki nim" (Kpł 18, 5). Należy złamać jeden szabat, aby móc w przyszłości obchodzić jeszcze wiele następnych.

Czasy, gdy nasza choroba miała bezpośredni związek z popełnionym przez nas wykroczeniem, minęły bezpowrotnie. Miriam skomentowała postępowanie Mojżesza i została ukarana „trądem". My nie jesteśmy na takim poziomie duchowym, by za obmowę bliźniego wyskoczył nam na nosie choćby pryszcz.

Pamiętajmy, że Tora nakazuje nam troskę o własne zdrowie. Początek Pwt 4, 15 można oddać też jako: „Dbajcie o siebie".

Oby Bóg dał nam dość siły do korzystania z państwowej służby zdrowia... ©

O. WACŁAW

Oszajca:
W sercu Ewangelii

„Bóg okazuje swoją miłość do nas przez to, że Chrystus umarł za nas, kiedy byliśmy jeszcze grzesznikami" – mówi Paweł Apostoł. „Chrystus umarł za nas", ale i przez nas. Poniósł śmierć z naszej ręki, o czym nie chcemy pamiętać. To dlatego niektóre obrazy zaczęliśmy opatrywać tabliczkami, zmieniać teksty mszalnych modlitw oraz innych nabożeństw, przestaliśmy obwiniać Żydów o bogobójstwo i mordy rytualne. To my, trzeba to jasno powiedzieć, złożyliśmy Jezusa w ofierze, i to Azazelowi, uprzednio obwiniając Jezusa o zdradę „Boga i ojczyzny". Uznaliśmy, że będzie dla nas korzystniej, „jeśli jeden człowiek umrze za lud, niż gdyby miał zginąć cały naród". Owszem, kierowaliśmy się pobudkami szlachetnymi i pobożnymi, ale tak naprawdę podszytymi egoizmem, interesownością, w rezultacie ślepym i zawziętym dążeniem do samozniszczenia. Wystarczy trochę poczytać Biblię, żeby się o tym przekonać.

Ewa z Adamem, zdegustowani rajskimi rozkoszami, postanawiają pójść na swoje i po swojemu świat urządzić. Zaraz w ich ślady idzie Kain i przekraczając dokonania rodziców, zabija brata. Izaak tylko cudem uniknął śmierci z ręki ojca, który chciał go złożyć w ofierze sądząc, że tego żąda od niego odnaleziony dopiero co Nowy Bóg. Dawid, zakochany w Batszebie, zabija jej męża Uriasza, przyjaciela i generała swoich wojsk, i to cudzymi rękami. Herod, chcąc uniknąć uszczerbku na honorze, każe zabić Jana Chrzciciela, nie domyślając się czy nie wiedząc, że za tą zbrodnią stoi jego żona. Przykłady można by mnożyć.

W pierwszą rocznicę wybuchu wojny w Ukrainie papież Franciszek mówił: „Kiedy Bóg stworzył człowieka, powiedział, by człowiek wziął w posiadanie ziemię i ją uprawiał, aby była piękna. Duch wojny to przeciwieństwo takiej postawy: niszczyć, zniszczyć, żeby uniemożliwić rozwój. Zniszczyć wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci, starców, wszystkich". Czy takiej nawałnicy zła można jakoś zaradzić? Obecnie, mówi szef papieskiej delegacji abp Paul Gallagher, „kiedy Rosjanie dokonali tej straszliwej inwazji (...), trzeba się ich działaniom przeciwstawić". Ukraińska piosenkarka Anastazja Ivahnenko, zapytana, jak wyobraża sobie koniec wojny i odbudowę ze zniszczeń, odpowiada: „Myślę, że każdy musi robić to, co umie. Śpiewaniem za bardzo nie pomogę, ale umiem też gotować. Fajnie jest karmić ludzi i widzieć ich zadowolenie, więc mam w głowie takie wyobrażenie, że pojadę tam i będę ludziom gotować. Tym, co będą gruz wywozić i cegły kłaść". Kard. Konrad Krajewski, opowiadając, jak przekazywał karetkę szpitalowi w Kijowie, gdzie leczy się poranione dzieci oraz ukraińskich i rosyjskich żołnierzy, powiedział: „Byłem pośrodku Ewangelii". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Wielkie miasto Boga

Stwórca objawia się przede wszystkim umysłowi w sercu. Najpierw jako ogień oczyszczający, następnie jako światło, które oświeca umysł i upodabnia do Boga.

NICEFOR PUSTELNIK

Świadomość popełnionego błędu rodzi różne dążenia. Zawsze – potrzebę naprawy (...). Po przyznaniu sobie słuszności rachunki są zamknięte: jest bierność.

HENRYK ELZENBERG

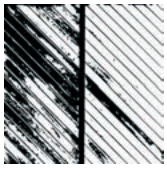

Wybrał PIOTR SIKORA

W ŚRODĘ PIERWSZEGO tygodnia Wielkiego Postu Liturgia Słowa przypomina misję Jonasza: „Pan przemówił do Jonasza po raz drugi tymi słowami: »Wstań, idź do Niniwy, wielkiego miasta, i głoś jej upomnienie, które Ja ci zlecam«" (Jon 3, 1-2). Wiemy dobrze, dlaczego „po raz drugi". Za pierwszym razem Jonasz, wezwany, by pójść do Niniwy, uciekł do Tarszisz, a więc dokładnie w przeciwnym kierunku. Bóg jednak nie odpuszcza. Powtarza: „Wstań, idź do Niniwy". Niektóre z tłumaczeń oddają dwa pierwsze słowa poleceniem: „Idź natychmiast!".

Trudno nie postawić sobie pytania, skąd bierze się owa Boża determinacja, by ocalić Niniwę. Dlaczego Bogu aż tak bardzo na niej zależy? Co takiego Bóg widzi w Niniwie, co musi być ocalone? Tekst biblijny nie udziela nam w tym względzie precyzyjnej odpowiedzi. Mówi nam jednak, w jaki sposób Bóg patrzy na Niniwę i w jaki sposób ją postrzega. Jest to ukryte w zdaniu: „Niniwa była miastem bardzo rozległym – na trzy dni drogi" (Jon 3, 3).

Dosłowne tłumaczenie tego zdania z hebrajskiego oryginału można by oddać (i w ten sposób jest publikowane w wielu nowszych wydaniach Pisma Świętego) następująco: „Niniwa była wielkim miastem przed Bogiem" (lub „dla Boga"), albo wprost i krócej: „Niniwa była wielkim miastem Boga".

Niniwa?! – mamy ochotę wykrzyknąć, zapewne w całkowitej jedności z Jonaszem. Wielkim miastem Boga?! Czyż nie jest ona syntezą wszystkiego, co jest wrogie Bogu? Bałwochwalstwa? Pychy? Przemocy? Gwałtu? Nienawiści?

Czy „wielkim miastem Boga" może być stolica największych nieprzyjaciół Bożego Ludu? Jak można w ten sposób myśleć? I mówić? Widzieć dobro w świecie ewidentnego zła? Czy to nie rozmywanie pojęć? Czy to nie niebezpieczne zacieranie granic między dobrem i złem, między cnotą a zbrodnią? Nawet w chwili, w której zapisuję te pytania, dopada mnie wrażenie, jakbym słyszał echo wątpliwości podnoszonych dziś w wielu kontekstach...

Tymczasem wszyscy jesteśmy posłani do Niniwy! Do dzisiejszego świata, w którym tak łatwo potrafimy pokazać to, co Bogu przeciwne... Czy potrafimy z równą co Bóg determinacją szukać w nim tego, co dobre i wielkie? A jeśli nie, to czy potrafimy temu światu głosić Dobrą Nowinę? Czy można wiarygodnie głosić Słowo Boga ludziom, których nie widzimy po Bożemu? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12–19 III)

3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 17, 3-7; Ps 95; Rz 5, 1-2. 5-8; J 4, 5-42;
Poniedziałek: 2 Krl 5, 1-15a; Ps 42; Łk 4, 24-30;
Wtorek: Dn 3, 25. 34-43; Ps 25; Mt 18, 21-35;
Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147B; Mt 5, 17-19;
Czwartek: Jr 7, 23-28; Ps 95; Łk 11, 14-23;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 81; Mk 12, 28b-34;
Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;
4. niedziela Wielkiego Postu:
1 Sm 16, 1b. 6-7. 10-13; Ps 23; Ef 5, 8-14; J 9, 1-41.

WIEDZIAŁAM, ŻE CIĘ ZNAJDĘ

Zgodnie z polskim prawem adoptowane jako niemowlę dziecko nie może poznać swoich korzeni, dopóki nie skończy 18 lat. Nie korzystają na tym ani rodzice adopcyjni, ani biologiczni, ani tym bardziej dzieci.

MACIEJ ORŁOWSKI

MARCIN RUTKIEWICZ / REPORTER

Od zawsze chciałam poznać swoją mamę biologiczną i od zawsze wiedziałam, że jestem przez nią kochana. I że będę jej szukać – mówi Marta.

24 lata temu matka Marty zrzekła się jej w szpitalu. Rodzina, która ją adoptowała, wiedziała tylko tyle, że kobieta była młoda i nie została zgwałcona (to ważna informacja ze względu na możliwą traumę prenatalną). Poza tym – pustka. Zgodnie z polskim prawem rodzina adopcyjna nie wie nic o biologicznej, a biologiczna – o adopcyjnej.

Rodzice Marty nie robili z adopcji tajemnicy – od małego wiedziała, że „choć nie jest z brzuszka, to z serduszka". Szybko zauważyła, że różni się od reszty rodziny. Nie tylko wyglądem, ale i sposobem myślenia czy przeżywania. – Miałam momenty, że było mi z tym ciężko – wspomina. – Czasami pytałam rodziców, czy wiedzą coś o mojej biologicznej mamie. Wtedy widziałam łzy, ale nie wzruszenia, tylko zakłopotania. Nie wiedzieli, nie chcieli albo nie umieli mi o tym opowiedzieć.

Marta skończyła 18 lat i zaczęła szukać. Dowiedziała się, że została przysposobiona za pośrednictwem ośrodka adopcyjnego w Warszawie. Adres był nieaktualny, ale przy pomocy urywków rozmów z rodzicami oraz internetu udało jej się znaleźć obecną siedzibę. – I tak któregoś razu, nie mówiąc nic nikomu, po prostu tam pojechałam.

Było inaczej, niż sobie wyobrażała. Żadnych wylewnych przywitań czy uścisków – czuła się bardziej jak intruz niż gość. Dyrektorka zaprosiła ją do gabinetu, wyjęła dokumenty. Fakty, daty. S. miała 20 lat i pochodziła spod Lublina. Ojciec był 10 lat starszy, obiecywał, że zostawi żonę. Zostawił jednak S., z Martą w brzuchu.

W teczce było nazwisko matki i adres jej rodziców sprzed 19 lat. „Droga babciu, drogi dziadku" – napisała do nich później Marta. „Wiem, że to trudne. Macie prawo się ze mną nie kontaktować". Na końcu listu zostawiła swój numer telefonu oraz maila.

Tajna i zamknięta

Od roku 2015 ośrodki adopcyjne są jedynymi w Polsce instytucjami uprawnionymi do pośredniczenia w tej kwestii. Ówczesny rząd PO-PSL przegłosował wtedy zmiany w prawie, tłumacząc to koniecznością walki z handlem dziećmi. Elementy tego zjawiska dostrzegano w tzw. adopcjach ze wskazaniem, w które zamieszani byli np. niektórzy adwokaci kontaktujący matki biologiczne z zainteresowanymi dzieckiem rodzinami i otrzymujący z tego tytułu wysokie wynagrodzenia. Bywało też, że matki biologiczne same ogłaszały, że oddadzą dziecko „w dobre ręce", natomiast rodzice zainteresowani adopcją próbowali penetrować szpitale.

Adopcja w Polsce jest dziś zamknięta i tajna. Pierwszy przymiotnik oznacza, że rodzice adopcyjni i biologiczni nie mają ze sobą żadnego kontaktu ani przed, ani po adopcji. Gdy rodzic biologiczny zrzeka się dziecka od razu po jego narodzinach, nie ma pojęcia, do kogo ono trafi.

Adopcja jest też „tajna", co oznacza, że informacje na jej temat są chronione przez tajemnicę sądową. Chronione także przed rodzicami – i samym dzieckiem. Przynajmniej do 18. roku życia. Dopiero wtedy może udać się ono do urzędu stanu cywilnego (albo ośrodka adopcyjnego, jeśli zna jego adres) i zażądać tzw. odpisu zupełnego aktu urodzenia.

To ważne, bo po adopcji tworzy się nowy akt urodzenia z „nowymi" rodzicami, a w tabelkę „imiona i nazwiska rodziców biologicznych" wpisuje się formułę: „nieznani".

Ich nazwiska – wraz z adnotacją o adopcji i sygnaturą sprawy sądowej – widnieją jednak wciąż w zupełnym akcie urodzenia. Mając taką sygnaturę, adoptowany może udać się do sądu po wgląd w akta zawierające m.in. adres rodziny biologicznej.

Przynajmniej w teorii. – W praktyce niezwykle często pracownicy sądów piętrzą trudności – mówi Bożena Łojko, założycielka Fundacji Zerwane Więzi, zapewniającej pomoc prawną i psychologiczną adoptowanym. – Kilka razy spotkałam się z sytuacją, że urzędniczka wprost powiedziała: „Po co to pani? Po co będzie pani komuś życie niszczyć?". W takich momentach czuję się bezradna i wkurzona. Wkurzona na ludzką głupotę i brak empatii.

Spotkanie po latach

Babcia zadzwoniła po kilku dniach. Nie sądziła, że kiedykolwiek usłyszy wnuczkę. Marta dowiedziała się od niej, że biologiczna matka próbowała ją odnaleźć, ale wszędzie odbijała się od zamkniętych drzwi. Dziewczynie zrobiło się cieplej na sercu. Czyli jednak o niej myślała.

Dzień później zadzwoniła sama S. – Okazała się sympatyczna, rodzinna... Trudno to wytłumaczyć, ale od małego miałam poczucie, że jest dobrą osobą i jeśli ją odnajdę, to mnie nie odrzuci. Ma fajną, szczęśliwą rodzinę. Do dziś piszę z nią i jej córką na Facebooku.

Do spotkania twarzą w twarz doszło w zeszłym roku. Marta od razu dostrzegła podobieństwa: matka adopcyjna ma mały biust, a ona sama duży. Przez to czuła się nieswojo. Jednak jej matka i babcia biologiczna mają taki sam. Podobnie z miesiączkami – Marta przechodziła je dużo boleśniej niż jej mama „z serduszka". Mama „z brzuszka" zdradziła, że też je źle znosi. – Dużo pytałam i dostawałam odpowiedzi. To było dla mnie bardzo ważne, bo okazało się, że nie jestem jakaś dziwna, tylko po prostu mam inne geny. ↦

↦ Dzięki S. Marta poznała też biologicznego ojca. O spotkaniu na Starówce w Warszawie mówi krótko: rozczarowanie. – Bardzo dużo opowiadał o sobie. Więc siedzieliśmy, a ja czekałam, aż to się skończy. Potem dzwonił do mnie jeszcze parę razy, wysyłał zdjęcia, bo często dorabia za granicą na prostych pracach. W końcu powiedziałam, żeby już nie dzwonił.

Pytania fundamentalne

Adopcja zamknięta i tajna nie jest ani jedynym, ani nawet najpopularniejszym modelem w świecie. W Polsce jednak nie ma od niego wyjątku. Daje finansowanym przez samorząd ośrodkom bardzo szerokie uprawnienia i monopol na przeprowadzanie adopcji.

– Są pytania fundamentalne, na które nie znamy odpowiedzi, i na które, co gorsza, nikt nie chce odpowiadać – mówi mi Anna Krawczak z Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem Uniwersytetu Warszawskiego. Krawczak jest zarówno mamą adopcyjną, jak i – dzięki in vitro – biologiczną. – Na przykład: jaki model adopcji się sprawdza i skąd to wiemy? Skąd przekonanie, że najlepsza jest akurat adopcja zamknięta, i dlaczego nie zgadzamy się na wzajemne poznanie swojej tożsamości przez rodziców adopcyjnych i biologicznych?

Adopcja otwarta dominuje w krajach anglosaskich, jak Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, Nowa Zelandia czy Wielka Brytania, ale też w wielu unijnych, np. w Niemczech, Holandii, Szwecji, Danii, Czechach czy na Słowacji.

W niektórych krajach, takich jak Australia, zatarcie tożsamości dziecka po adopcji jest wręcz zabronione, co ma związek z historią tzw. skradzionych pokoleń. Chodzi o dzieci rdzennych mieszkańców tego kraju, które przez większość XIX i XX wieku były odbierane rodzicom biologicznym i przekazywane prowadzonym przez kolonizatorów placówkom bądź białym rodzinom adopcyjnym. Pod płaszczykiem akcji edukacyjnej prowadzono w ten sposób przymusową asymilację kulturową.

– Adopcja otwarta to zupełne odwrócenie polskiego paradygmatu – mówi Krawczak.

Stopnie „otwartości" mogą być różne. Np. rodzina adopcyjna jest w stałym, bezpośrednim kontakcie z biologiczną. Albo kontakt ogranicza się do listów i zdjęć, wysyłanych raz w roku. – To, że nie rozmawiamy o tym, jak wiele jest możliwości, i jak różne mogą być potrzeby dzieci oraz rodzin, jest dla mnie niezrozumiałe – zżyma się Krawczak. – Utrzymujemy pewien system, uważamy, że jest świetny, a ośrodki nam mówią, że działa. Ale nawet nie wiemy, o co pytać, żeby się o tym przekonać. I właściwie kto ma nam udzielić tej odpowiedzi? Powinny to być dzieci. Ale ich też nie pytamy.

> Jaka matka oddaje swoje dziecko? Np. taka, która urodziła z gwałtu. Albo ze zdrady. Albo taka, która ma już kilkoro dzieci i nie pracuje. **Nie oznacza to braku miłości.**

Tymczasem z wielu badań wynika, że to właśnie adopcja otwarta jest najlepsza, jeśli chodzi o ochronę zdrowia psychicznego dzieci. Z danych amerykańskiej organizacji pozarządowej Search Institute wynika, że aż dwie trzecie adoptowanych nastolatków chciałoby poznać swoich biologicznych rodziców, a niemal wszyscy badani (94 proc.) chcieliby wiedzieć, którego z nich najbardziej przypominają z wyglądu.

Powód jest prosty: naturalną potrzebą człowieka, najintensywniej wyrażaną w dzieciństwie i okresie dorastania, jest zbudowanie swojej tożsamości. Znalazło to odzwierciedlenie w zapisach międzynarodowej Konwencji o prawach dziecka z 1989 roku, zgodnie z którą „dziecko, jeśli to możliwe, ma prawo do poznania swoich rodziców".

Konwencji, której Polska była pomysłodawcą.

Prawda zamiast stereotypów

Marta skończyła licencjat z pedagogiki, teraz robi magisterkę z psychologii. Licencjat napisała o przysposobieniach – chciała poznać perspektywę rodziców adopcyjnych. Ciekawiło ją, co myślą ci, którzy czekają na dzieci. W jej rodzinie się o tym raczej nie rozmawiało. Marta odwiedzała więc ośrodki, rozmawiała z rodzicami adopcyjnymi. Ze swoimi też. Tacie dała pytania na kartce – rozmowa mogłaby być dla niego za trudna. Odpowiedział.

Rozmawiała z rodzicami kilkorga nastolatek, których dzieci też zaczęły w pewnym momencie pytać i szukać. Opowiadali o tym bez skrępowania. Dla Marty było to duże zaskoczenie. – Ja takich doświadczeń nie miałam. Może dlatego, że nowe pokolenia rodziców dużo bardziej otwarcie mówią swoim dzieciom o tym, że zostały adoptowane. Przestaje to być tematem tabu – przyznaje.

Choć z tą otwartością bywa różnie. Gdy Marta mówi na studiach, że była adoptowana, spotyka się z dwiema reakcjami: zaciekawieniem i nieśmiałością. – A ja zawsze mówię: „Pytaj, bardzo chętnie o tym opowiem!". To część mojego życia i nie czuję się z tym źle. Chciałabym, by każdy wiedział o adopcji prawdziwe rzeczy, a nie stereotypy.

Matki przeganiane z ośrodków

Maggy Modlibowska całe życie pracowała dla największych banków w Polsce, by w końcu zająć się tym, co naprawdę lubi – sztuką. Tematem przysposobień zajmuje się niejako z konieczności. Pierwszy – i jedyny jak dotąd – polski przewodnik dla rodziców, „Odczarować adopcję", napisała, bo po prostu innego nie było. Także Fundację Wsparcia Rodzin „Po Adopcji" założyła, gdy okazało się, że ośrodki wprawdzie prowadzą szkolenia dla przyszłych rodziców, ale gdy ktoś tym rodzicem w końcu się stanie, z traumą i poszukiwaniem tożsamości dziecka musi sobie radzić sam.

Maggy przyznaje, że z punktu widzenia mamy adopcyjnej tajność ma swoje zalety: rodziny biologiczne „nie wchodzą z butami" w życie ich dzieci. Ale blokada informacji potrafi mieć poważne konsekwencje, np. wtedy, gdy dziecko zaczyna chorować i istnieje prawdopodobieństwo, że przyczyny mogą być genetyczne. I gdy zaczyna pytać. – A każde dziecko adopcyjne w końcu zaczyna sobie zadawać pytania – mówi Modlibowska. – Dlaczego nie jestem z rodziną biologiczną? Jakie są moje korzenie?

Ważny jest każdy strzęp informacji: zdjęcie, imię, anegdota albo pamiątka. Córka Maggy ma takie dwie: zabawkę po wolontariuszce, która zajmowała się

nią w domu dziecka, i zabawkę po dziadkach biologicznych. – W krajach skandynawskich rodzina adopcyjna może zgłosić się w każdej chwili do agencji i powiedzieć: moje dziecko chciałoby dowiedzieć się czegoś o rodzinie biologicznej. Albo: jesteśmy w terapii czy leczeniu, brakuje nam wiadomości o chorobach w rodzinie. I ta agencja kontaktuje się z rodziną biologiczną – tłumaczy.

W Polsce jest na odwrót – według Maggy niektóre matki biologiczne są wręcz „przeganiane" z ośrodków, gdy próbują zostawić list czy inną pamiątkę. „Teraz już nie ma co mieszać" – słyszą często od pracowników. Gdy Maggy się o tym dowiedziała, zapytała swoją córkę: „Jak byś się czuła, gdybym przyszła do ciebie i powiedziała, że mam list od twojej mamy biologicznej?". „Mamo, to byłby największy skarb mojego życia" – rozpłakała się.

„Nie zmienię numeru"

Budynek Fundacji Gajusz, w którym mieści się Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny „Tuli-Luli" w Łodzi, z zewnątrz przypomina warowną twierdzę. Żelazne okucia i kamienny mur mają chronić tych, którzy znajdują się w środku – kilkanaścioro nieuleczalnie chorych dzieci, mieszkających w hospicjum na parterze, oraz kilkanaścioro „Tulisów", będących pod opieką ośrodka na pierwszym piętrze.

– O chorych niemowlętach z „Tuli-Luli" mawiamy, że to dzieci z końca kolejki – mówi mi Tisa Żawrocka-Kwiatkowska, założycielka Fundacji Gajusz, gdy siadamy w jej gabinecie. – Jeśli dla dziecka nie udaje się znaleźć rodziny zastępczej do czasu przekazania go w ręce adopcyjnej, trafia do nas. I jeszcze nie zdarzyło się, byśmy nie znalazły mu nowego domu.

Do Tisy przyjeżdżam porozmawiać o listach. Matek biologicznych, które chcą zostawić po sobie jakąś pamiątkę, Tisa nie odgania. Przeciwnie: zachęca do zostawiania listów i nagrań. Listy poczekają na swoich adresatów co najmniej 12 lat. Ośrodek wystartował zaledwie sześć lat temu, więc do ustawowej osiemnastki jeszcze daleko.

Listów Tisa mi nie pokaże, bo sama ich nie zna – są zalakowane i czekają. Powie o filmach, które sama nagrywała. Matki mówią w nich niewiele, na więcej zazwyczaj nie pozwalają emocje. „Bardzo cię kocham". „Kiedyś ci to wyjaśnię". „Nie zmienię numeru telefonu".

Dwie trzecie adoptowanych nastolatków chce poznać swoich biologicznych rodziców, a niemal wszyscy chcieliby wiedzieć, którego z nich najbardziej przypominają z wyglądu.

– To przekaz do dziecka, że jeśli przyjdzie i będzie szukać, to ma się dowiedzieć, że było kochane – tłumaczy Tisa. – Bo dzieci, które do nas trafiają, są kochane. Urodziły się tylko w złym miejscu i złym czasie.

Jaka matka oddaje swoje dziecko? Np. taka, która urodziła z gwałtu. Albo ze zdrady. Albo taka, która ma już kilkoro dzieci i nie pracuje. – Nie spotkałam się jeszcze, by kobieta, która żegna się z dzieckiem, go nie kochała – mówi Tisa. – I myślę sobie: dlaczego wycinać z życiorysu dziecka matkę, która je urodziła i z ważnych powodów musiała oddać?

Mówić czy nie mówić

– Matka, która zrzeka się praw rodzicielskich, nie może i nie powinna się na nie powoływać – mówi senatorka Platformy Obywatelskiej Magdalena Kochan. W poprzednim rządzie PO-PSL Kochan była wiceprzewodniczącą sejmowej komisji rodziny i polityki społecznej. I twarzą zmian w przepisach o adopcji. To wtedy wprowadzono zasadę, że nie ma w Polsce adopcji poza ośrodkiem.

Chodziło o wyeliminowanie tzw. adopcji ze wskazaniem, czyli sytuacji, w której matka biologiczna wybiera sobie rodzinę, do której trafi jej dziecko. Zdaniem Kochan prowadziło to do handlu dziećmi – i właśnie dlatego tak bardzo zależało jej na tym, by cały proces zanonimizować.

Gdy jednak przechodzimy do tego, czy rodzina adopcyjna ma prawo odnaleźć biologiczną, Kochan się zamyśla. – Nie mam w tej sprawie jednoznacznej opinii. Jeśli dziecko chce odnaleźć swoich rodziców, a rodzice adopcyjni też uważają, że to będzie z pożytkiem dla niego, to być może sąd powinien odtajnić informacje. Każdą z takich spraw trzeba jednak rozpatrywać indywidualnie i mieć zawsze na uwadze dobro dziecka – mówi senatorka.

I dodaje, że jej zdaniem sąd powinien pytać także o zgodę biologiczną matkę, a przed wydaniem wyroku zasięgać wszelkich możliwych opinii: psychologów, pedagogów oraz pracowników ośrodka. – Znam rodziny adopcyjne, które od samego początku mówiły: ja cię nie urodziłam, urodziła cię inna mama, ale pokochaliśmy cię od pierwszego wejrzenia – ciągnie Kochan. – I dziecko nie tylko z tym żyje, ale też świetnie funkcjonuje. Ale znam i takie, które utrzymują to w ścisłej tajemnicy, zmieniły miejsce zamieszkania. Żeby tylko dziecko się nie dowiedziało.

Jestem częścią tej rodziny

Marta cieszy się, że udało jej się odnaleźć matkę biologiczną. Ale zaznacza, że pomimo nawiązania kontaktu wciąż pozostają dla siebie obcymi ludźmi. Łączą ich tylko geny. – Każdy ma swoją rodzinę, historię, doświadczenia – mówi. – Budujemy relacje na nowo.

Kontakty z mamą adopcyjną też miała różne – gdy przechodziła okres nastoletniego buntu, nieporozumienia i różnice zwalała na swoją adopcję. Już z tego wyrosła. – Bo, kurczę, to są jednak moi rodzice, i chociaż nie są idealni, znam ich od zawsze. To ludzie, którzy byli ze mną w najlepszych i najgorszych momentach życia. Jestem częścią tej rodziny i nie wyobrażam sobie, by to się zmieniło – mówi Marta.

Maggy Modlibowska jako matka adopcyjna uważa, że życie z rodzicami biologicznymi w tle nigdy nie jest proste. Ona sama przechodziła przez kilka stanów emocjonalnych. Włącznie z zazdrością („Matka biologiczna jest ode mnie dużo młodsza!") i poczuciem zagrożenia, na akceptacji kończąc. Dziś jest spokojna o swoją relację z dzieckiem. – Adoptowane dzieci, nawet gdy odnajdą swoje biologiczne mamy, nawet gdy się z nimi spotkają, to do nich nie odchodzą – mówi. – Dorosłe dzieci odchodzą do swojego życia. Bez względu na to, czy się je rodziło, czy adoptowało.

© MACIEJ ORŁOWSKI

Męska sprawa

PROF. MAŁGORZATA FUSZARA, SOCJOLOŻKA, PRAWNICZKA:

Kiedy kobiety zaczynają w polityce robić karierę, nie pozwala im się utrwalić pozycji. To prawidłowość charakterystyczna dla lewicy i prawicy.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Gdy toczyły się rozmowy o szerokiej koalicji opozycji, widzieliśmy na nich: Donalda Tuska, Władysława Kosiniaka-Kamysza, Włodzimierza Czarzastego, Szymona Hołownię. Stronę rządzącą reprezentują niezmiennie: Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki. Można by pomyśleć, że w naszej polityce kobiety się nie liczą.

PROF. MAŁGORZATA FUSZARA: Polska polityka zdominowana jest przez mężczyzn, a kobiety są w niej stale marginalizowane: nie pełnią funkcji przewodniczących partii, nie dopuszcza się ich do gremiów decyzyjnych. To sprawia, że nie pokazuje się ich wizerunków w kontekście ważnych wydarzeń politycznych, a nade wszystko w obliczu zbliżających się wyborów parlamentarnych. Polityka nie jest z kobietami i kobiecością kojarzona. Utrwala się stereotyp mówiący, że polityka to „męska sprawa".

W parlamencie co trzeci mandat należy do kobiety.

Tak, parlamentarzystek jest ok. 29 proc., o wiele więcej niż na początku lat 90., kiedy stanowiły one jedynie 8-9 proc. Niestety współcześnie niewiele pań w Polsce nosi tekę ministerialną, to wręcz wstydliwe w kontekście europejskim. Jedyną partią, która wprowadziła parytety – co prawda w przepisach wewnętrznych, nie ujmując tego w statucie – jest PO. Na listach wyborczych tej partii stosunek płci wynosi 1:2 w pierwszej trójce i 2:5 w pierwszej piątce.

Przypomnijmy sobie jednak początki III RP. Kobiety zajmowały kierownicze stanowiska i współdecydowały o transformacji. Prof. Hanna Suchocka została premierką, prof. Hanna Gronkiewicz-Waltz szefową NBP.

Ale i tak pokutowało przekonanie, że to mężczyźni rządzą i podejmują kluczowe decyzje. Polityka była uważana za ich działkę. Kobiety traktowano protekcjonalnie, pełniły rolę „paprotek"; Suchocką nazywano wręcz „substytutem". Mówiono, że „Hania sobie poradzi, bo pomogą jej Janek i Tadek". Chodziło o Jana Rokitę i Tadeusza Syryjczyka.

Na ten mechanizm zwraca Pani uwagę w swojej książce „Kobiety w polityce". Otaczamy mężczyzn na wysokich stanowiskach. Jesteśmy doradczyniami, analityczkami. Chodzimy za nimi ze stertą papierów, odbieramy setki telefonów. Panowie są od rzeczy ważniejszych.

Jakże często mężczyzna-szef chwali się, że popiera kobiety, bo przecież „jego zastępczynią jest kobieta". *De facto* on jako szef pełni często funkcję reprezentacyjną, a ona za niego haruje pozostając w cieniu. Stanowisko zastępczyni związane jest bowiem z ogromną odpowiedzialnością, wykonywaniem najcięższej i niejednokrotnie niewdzięcznej pracy. Tendencja ta widoczna jest także w biznesie, szkołach wyższych, medycynie. Funkcję rektorów, dyrektorów i ordynatorów prawie wyłącznie pełnią mężczyźni, kobiety mogą być ich zastępczyniami.

PiS – partię rządzącą prawie od ośmiu lat – jeszcze do niedawna określano jako partię kobiecą, i to mimo jej konserwatywnego charakteru.

Za rządów Marka Belki, Donalda Tuska i Ewy Kopacz zauważalne było zwiększenie udziału kobiet wśród ministrów. Stworzenie wyłącznie męskiego rządu z pewnością byłoby trudne do przyjęcia także przez elektorat PiS, zwłaszcza kobiecy. Jednak większość zauważalnych członkiń pierwszego ich rządu, na czele z premier Beatą Szydło, wydelegowano do Parlamentu Europejskiego. Owszem, pełnią w nim funkcje prestiżowe i otrzymują dobre uposażenie, ale zostały usunięte z polityki krajowej. W badaniach, które prowadzę od wielu lat, obserwuję następujący schemat: kiedy kobiety zaczynają w polityce piąć się po szczeblach kariery, nie pozwala im się utrwalić pozycji. Usuwa się je z najważniejszych gremiów. To prawidłowość charakterystyczna dla lewicy i prawicy. Po kobiety-kandydatki sięga się dopiero wtedy, kiedy badania opinii publicznej wskazują, że wyborczynie utyskują, że nie mają na kogo głosować, i zaczynają opuszczać elektorat.

Światowa polityka wygląda inaczej?

Kwestia równości kobiet i mężczyzn w polityce nabrała wielkiego znaczenia na całym demokratycznym świecie. Nie nadążamy za tym trendem, i to dotyczy nie tylko krajów europejskich, kiedy wskazujemy na kariery np. Angeli Merkel, Ursuli von der Leyen, premierek Wielkiej Brytanii czy krajów skandynawskich. Również w Ameryce Południowej udział kobiet w polityce rośnie o wiele szybciej.

Polityczki czy dziennikarki traktuje się często protekcjonalnie,

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Posłanki podczas porannego bloku głosowań w Sejmie. Warszawa, 16 lipca 2020 r.

albo nawet wyszydza. Kamilę Gasiuk-Pihowicz, posłankę znaną z ciętych ripost, Marek Suski nazywał „myszką agresorką”.

Nadawanie kobietom złośliwych przydomków ma umniejszyć ich rolę. Oczywiście spotyka to także mężczyzn, ale kobiet dotyczy w stopniu o wiele większym. Polityczki, dziennikarki są ośmieszane. Komentuje się ich wygląd i sposób ubierania. I w takiej sytuacji bardzo ważna jest reakcja otoczenia, niekoniecznie adresatki „żartów”, która zaraz usłyszy, że „nie zna się na dowcipach” i „nie rozumie współczesnego świata”. Należy stanowczo powiedzieć: „Nie życzymy sobie tego typu zachowania”. W tym kontekście określenie „żart” jest niczym innym jak usprawiedliwieniem agresji.

W wielu środowiskach wyśmiewa się feminatywy. Są uważane za przesadę, za dziwne wymysły radykałek.

Przed wojną formy kobiece były powszechnie używane; wypleniono je dopiero w PRL-u, gdyż uważano, że formy męskie są neutralne płciowo. Dla mnie ważne jest teraz, aby kobiety odzyskiwały swoją widoczność i podmiotowość. Pełniłam różne funkcje publiczne: byłam pełnomocniczką ds. równego traktowania, dyrektorką instytutu i profesorką. Zawsze musiałam używać form: „pełnomocnik”, „dyrektor” i „profesor”. Państwo przymusowo zmieniało mi płeć. Ale ja nie jestem mężczyzną i nie życzę sobie, by się do mnie w ten sposób zwracać. Kiedy posługujemy się wyłącznie formami męskimi, kobiety znikają z życia publicznego. Badania pokazują, że jeśli w ogłoszeniu o pracę używa się formy męskiej, a dodatkowo na zdjęciu znajduje się mężczyzna, to kobiety uważają, że przekaz nie jest adresowany do nich, i nie wysyłają zgłoszeń.

Być może dlatego w 2011 r. tak wielkim echem odbiła się książka Danuty Wałęsy. Po jej lekturze zastanawialiśmy się, czy Lech Wałęsa mógłby zrobić tak wielką karierę polityczną, gdyby nie stała obok niego żona, która oprócz wychowywania ośmiorga dzieci musiała też dbać o tłumy odwiedzające ich mieszkanie.

W okresie PRL kobiety zostały unieważnione. Wykluczono je z opisu dziejów, nie było ich nawet na zdjęciach. Analiza podręczników do nauki historii wykazała, że kobiety zajmowały na fotografiach ok. 1,1 proc. i poza Marią Curie-Skłodowską były to niemal zawsze kobiety anonimowe, np. „łódzkie włókniarki protestujące na ulicy”. Nie mogliśmy spojrzeć na kobietę zasłużoną dla kultury czy nauki, tylko anonimową matkę upominającą się o jedzenie dla swojej rodziny.

Wielu mężczyzn nie zrobiłoby kariery, gdyby kobiety nie stworzyły im bezpiecznego domu, „przystani”, do której ucieka się, by odpocząć i nabrać sił. Badania – dotyczące nie tylko Polski, ale i świata – mówią, że dla mężczyzny rodzina stanowi trampolinę do kariery. Inaczej jest w przypadku kobiet, im w karierze często przeszkadza. Unia Międzyparlamentarna wskazuje, że kobiety o wiele później niż mężczyźni angażują się w politykę i najczęściej decydują się na taki krok, kiedy odchowają już dzieci. Ale nawet wtedy ich obciążenia pozazawodowe są niewspółmiernie większe niż u mężczyzn. Dlatego polityczki bywają samotne, nie są bowiem w stanie pogodzić roli żony i matki z pracą. W latach 90. i na początku XXI wieku przeprowadzałam badania dotyczące aktywności kobiet w polityce lokalnej. Wiele z respondentek mówiło mi, że polityka lokalna stanowi dopiero trzeci etap ich życia. Pierwszym jest dom, drugim praca, trzecim właśnie zaangażowanie w działalność samorządu. Dzieje się tak, ponieważ nikt nie zwalnia ich z obowiązków domowych.

Po 1989 r. kobiety aktywnie występowały przeciwko postulowanemu wtenczas całkowitemu zakazowi aborcji. Pod rządami PiS ulicami polskich miast – w proteście przeciwko zaostrzeniu ustawy aborcyjnej – szły czarne marsze. Dlaczego ten wielki potencjał kobiet nie ma przełożenia na realną politykę?

Ależ nieprawda! Ma! Sondaże opinii publicznej wskazują, że dyskusja na temat praw reprodukcyjnych i zaostrzenie ustawy aborcyjnej zwiększyły odsetek osób uważających, że kobieta ma prawo wyboru. Istnieje wiele dowodów, że protest kobiet przełożył się także na zmianę poglądów. Jesienią 2020 r., kiedy tzw. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że ustawa aborcyjna jest niezgodna z konstytucją, a ulicami polskich miast szły czarne marsze, badania CBOS wykazały, że w młodym pokoleniu kobiet nastąpił gwałtowny lewicowy zwrot. Znacznie mniej kobiet niż mężczyzn oddaje ↦

↦ też głos na skrajnie prawicowe ugrupowania. Co ciekawe, kiedy na początku XX wieku kobiety walczyły o swe prawa, ich politycznymi sojusznikami też miała być lewica. Ta jednak bała się wtedy kobiet. Uważała, że są związane z Kościołem i będą stanowić prawicową siłę.

Postawa ideowa młodych kobiet nie przekłada się jednak na realne zmiany.

Politycy rzadziej odwołują się do młodego pokolenia. Jest ono o wiele mniej liczne niż starsze, mniej chętnie chodzi też na wybory. Dlatego programy układa się z myślą o starszych generacjach. Młode pokolenie może czuć się politycznie niereprezentowane. Coraz więcej Polek nie odnajduje się też w konserwatywnym społeczeństwie, nie widzi przyszłości dla tradycyjnego modelu rodziny. Kobiety rzadziej podejmują więc decyzję o posiadaniu dzieci, szczególnie kilkorga. Tymczasem ekipy rządzące nie nadążają za progresywnymi poglądami młodych ludzi. Podczas gdy oni opowiadają się za związkami partnerskimi, a nawet legalizacją małżeństw jednopłciowych, politycy pozostają na te postulaty głusi, wykazują się zachowawczością.

Dołóżmy łyżkę dziegciu do naszej rozmowy. Polityczki, działaczki społeczne często się kłócą. Klementyna Suchanow pokłóciła się z Martą Lempart, przez co Strajk Kobiet stracił dynamikę. Wokół poruszającego filmu „O tym się nie mówi", dotyczącego aborcji w Polsce, również powstały środowiskowe nieprzyjemne spory.

Mężczyźni także się kłócą i wzajemnie wygryzają. Jednak zawsze, kiedy spory dotyczą środowisk kobiecych, mówi się, że „panie nie potrafią się ze sobą porozumieć". Spójrzmy jednak na polską scenę polityczną, kłócą się wszyscy. Niech za argument posłużą niedawne rozmowy o stworzeniu szerokiej koalicji opozycji. To mężczyźni nie potrafili się dogadać co do wspólnej strategii, choć teoretycznie przyświecał im wspólny cel. Ale i tak pół biedy, jeśli spory dotyczą programu, gorzej – a tego często jesteśmy świadkami – gdy wynikają z ambicji. Kłóci się zresztą także koalicja rządząca i znów: jest to charakterystyczne dla sytuacji, w której nie program polityczny czy dobro kraju, ale

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

PROF. MAŁGORZATA FUSZARA jest prawniczką i socjolożką. W latach 2014-2015 była sekretarzem stanu w kancelarii premiera i pełnomocniczką rządu ds. równego traktowania.

właśnie przywództwo stanowi meritum. Mężczyźni stale o nie walczą.

Spory wynikające z różnic w poglądach uważam za pożyteczne, służą utarciu stanowisk. Niestety, w przypadku polityczek problem polega na tym, że brakuje nam forum do dyskusji. Kongres Kobiet został powołany właśnie po to, by mogły wybrzmieć na nim różne głosy.

Czy kobiety są zdolne do kompromisu, tak ważnego w polityce? Czy rozumieją, że zmiany będą stopniowe, że nie da się wprowadzić ich rewolucyjnie?

Badania socjologiczne pokazują, że kobiety są bardziej skłonne do kompromisów i mediowania niż mężczyźni. Wymaga tego od nich konieczność godzenia wielu ról i zajęć.

Hasło „wyp...alać" dobrze wybrzmiewa podczas marszu, gorzej się z nim robi politykę. Zresztą nie wszystkim paniom odpowiadały publiczne wulgaryzmy.

Zajmuję się ruchami protestu naukowo. Są to ruchy „albo, albo"; nie ma w nich miejsca na kompromis. Cechą buntu społecznego jest to, że nie przeradza się on w ruch na rzecz zmiany. Nie znaczy to jednak, że tego typu inicjatywy nie są zwiastunem nowego. Przykładem mogą być Rady Kobiet działające obecnie w wielu polskich miastach. W inicjatywę zaangażowanych jest wiele uczestniczek czarnego protestu, które dziś wchodzą do polityki, niektóre są już prezydentkami miast. Po protestach w 2020 r. powstał też cały szereg mniejszych stowarzyszeń, które tworzą sieci. Kobiety z całej Polski podkreślały, że dzięki wcześniejszym spotkaniom w Radach Kobiet łatwiej było im np. wspólnie pomagać uchodźczyniom z Ukrainy.

Widać także, że protest wywarł wpływ na niektórych polityków. Jeszcze kilka lat temu Donald Tusk nie podkreślał, że prawo do aborcji powinno być kobietom przyznane, a teraz jest to element programu PO.

Badania socjologiczne wskazują, że kobiety są lepiej wykształcone od mężczyzn. Więcej też czytają. Ale nie mają większego wpływu na swój los.

Jestem urodzoną optymistką. Od wielu lat prowadzę zajęcia dotyczące równości, obecnie merytorycznie zaczynam je tam, gdzie nie tak dawno temu je kończyłam. Dwie dekady temu z trudem przebijało się do naszej świadomości, że kobiety zarabiają gorzej niż mężczyźni, choć są lepiej wykształcone. Dziś już wiemy, że mamy ogromny kapitał, by robić kariery i awansować, zajmować wysokie stanowiska.

Młode kobiety zmieniły też stosunek do swojego ciała. Cielesność przestała stanowić temat tabu, np. moje magistrantki piszą prace o menstruacji. Do lamusa odchodzą czasy, w których miesiączki należało się wstydzić, a określeniem „literatura menstruacyjna" obrażano pisarki. Pamiętajmy też, że nie startowałyśmy z równej pozycji. Polityka – kiedy do niej zaczęłyśmy stopniowo wchodzić – ukształtowana była przez mężczyzn. Nieco ponad sto lat temu prawo austriackie nie pozwalało kobietom – podobnie jak nieletnim i osobom z niepełnosprawnością umysłową – należeć do stowarzyszeń. W Szwajcarii prawa wyborcze kobiety uzyskały dopiero w 1971 r. Chciałybyśmy pełną równość osiągnąć szybko, ale niestety jest to proces powolny. Aby ją osiągnąć, trzeba jednak stale nad nią pracować, szukać sojuszników oraz rozszerzać sferę wolności i równości. Wie o tym coraz więcej osób, zwłaszcza młodych kobiet.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

PATRICIA HUCHOT-BOISSIER / ABACA / EAST NEWS

Protest Extinction Rebellion przeciwko chińskiemu gigantowi odzieżowemu Shein w Tuluzie. Francja, 28 maja 2022 r.

Słodkiego, krótkiego życia

MAREK RABIJ

Nie da się zapobiec końcowi świata, ale można ubrać się modnie na tę okazję. Z takim przekazem marka odzieżowa Shein podbija serca młodych konsumentów. Także w Polsce.

Jeżeli jesteś po czterdziestce, a zakupy odzieżowe kojarzą ci się z udręką w przymierzalni, media społecznościowe zaś z Facebookiem, możesz nawet nie zdawać sobie sprawy z istnienia tej chińskiej marki, która pod Wrocławiem stawia właśnie swój pierwszy magazyn w Europie Środkowej. Ale gdy masz na karku lat ledwie dwadzieścia, kochasz modę i dużą część doby poświęcasz na wirtualne interakcje za pośrednictwem Instagrama i TikToka – Shein zapewne określa ci estetyczną i konsumencką świadomość. Zanim jednak padnie tu odpowiedź, czy to dobrze, czy wprost przeciwnie, wypada przedstawić głównego bohatera.

Marketingowcy Shein – potentata w sprzedaży odzieży online, który w kilka lat szturmem wbił się do czołówki najpopularniejszych aplikacji zakupowych świata – chętnie podrzucają dane o sprzedaży, która zbliża się już do 15 mld dolarów rocznie. W tej historii ciekawe jest jednak nie to, co się firmie Shein udało, lecz to, co jej nie wychodzi lub czego robić po prostu nie chce. I czego – w odróżnieniu od innych producentów tanich ubrań niskiej jakości z branży tzw. *fast fashion* – nie zamierza nawet ukrywać.

Czy w 2022 r. – niemal dekadę po katastrofie kompleksu Rana Plaza w Bangladeszu, w której zginęło ok. 1,2 tys. szwaczek – globalny gracz branży odzieżowej może spokojnie odnotować we własnym raporcie, że w 66 proc. pracujących dla niego fabryk wykrył od jednego do nawet trzech czynników zagrażających zdrowiu lub życiu personelu? Czy informacje dziennikarzy brytyjskiego Channel 4, że za pracę po siedem dni w tygodniu i nawet po 18 godzin dziennie w fabrykach pracujących dla Shein płacą 550 dolarów miesięcznie, da się skwitować stwierdzeniem, że polityka płacowa firmy odzwierciedla sytuację ekonomiczną krajów, w których działa? Czy można wreszcie zamieszczać w internecie kolejne wezwania do wycofania z użytku ubrań niebezpiecznych dla użytkowników, jednocześnie nie zmieniając praktycznie nic w organizacji produkcji, która notorycznie lekceważy europejskie normy bezpieczeństwa?

Można. To, co dla większości firm z cieszącego się wątpliwą sławą sektora *fast fashion* jest dziś już wstydliwą przypadłością, Shein traktuje jak kolejny element biznesowej układanki. W zakładce „Zawiadomienie o wycofaniu ze sprzedaży" firma aktualnie ostrzega przed czterema artykułami. Dwa z nich to piżamy, które „nie spełniają norm palności, stwarzając ryzyko poparzenia". Obok wezwanie do wycofania z użytku trenczu z żabotem, uszytego ze skóropodobnego materiału zawierającego ołów w stężeniu powyżej normy. Ten sam problem dotyczy również materiału, z którego wykonano minitorebki. Wszystkie felerne artykuły są dla dzieci, ale poza zwrotem pieniędzy i bonem na kolejne zakupy w wysokości 46 zł nabywcy nie mogą liczyć na nic więcej. Żadnych przeprosin czy choćby wyjaśnienia, że to incydent, który się nie powtórzy. Ślijcie mail, odbierzcie rabat. Jakby ludzie kierujący Shein byli pewni, że nie ma takiej grandy, której nie dałoby się zakryć kolorowymi zdjęciami i atrakcyjnymi rabatami.

Przekonać do cudzych pragnień

Mówiąc o wpływie chińskiej platformy na modowe preferencje i zwyczaje zakupowe młodych, specjaliści od marketingu z uznaniem zmieszanym z przerażeniem wskazują na inwazyjny sposób komunikacji z klientem. To właściwie ↦

monolog, zarazem sterowana przez sieciowe algorytmy nawała bodźców, które przy dosłownie każdym korzystaniu z sieci mają podsycać w odbiorcy wątpliwość, czy aby nie potrzeba mu akurat tego, co właśnie podsuwa aplikacja oraz obsługujące markę social media.

Jednym z fundamentów *fast fashion* było odkrycie, że zamiast zgadywać, czego mogą chcieć klienci, lepiej przekonać ich, że pragną dokładnie tego, co proponują producenci. To, co rywale i poprzednicy robili jednak z pewnym umiarem, Shein zmienił w marketing totalny, który nie próbuje nawet dopasowywać się do codzienności odbiorcy. Z danych amerykańskich operatorów kart płatniczych wynika, że niemal 20 proc. zakupów w aplikacji (na terenie USA) odbywa się już między godziną 23 a 5 rano. Może to oznaczać, że części swej klienteli Shein dyktuje już nawet to, o której pójdą spać.

Taki model biznesowy to oczywiście akt pogardy wobec ideologii *zero waste*, nadmiernego zużycia wody, ginących gatunków i broniących ich aktywistów klimatycznych. Ostentacja, z jaką chińska marka lekceważy niemal wszystko, co stanowi istotę dzisiejszej debaty o zrównoważonej gospodarce, jest jednak zbyt duża, by stał za nią tylko zbieg okoliczności czy ignorancja. Chodzi o pieniądze. W tym przypadku o te, których brakuje klientom.

Kiedy w 2014 r. zbierałem w Bangladeszu materiały do książki o funkcjonowaniu tamtejszego przemysłu odzieżowego, szybko zauważyłem, że szwaczek nie stać nawet na te tanie – podług zachodnich miar – ubrania, które szyją całymi dniami dla marek *fast fashion*. Uwzględniając proporcje, z podobnym dyskomfortem sektor mody odpowiedzialnej pozostawia dziś miliony młodych ludzi w krajach rozwiniętych, boleśnie konfrontując ich wrażliwość i światopogląd z zawartością kieszeni. Dla wielu polskich prekariuszek, zarabiających poniżej krajowej średniej w szkołach, biurach i centrach księgowych, sukienka za niemal tysiąc złotych, uszyta w krajowej szwalni i z dobrej jakości materiałów pochodzących od sprawdzonego dostawcy, jest w praktyce równie nieosiągalna, co dwudziestokrotnie droższa kreacja od paryskiego projektanta *haute couture*. Tę pierwszą, w przeciwieństwie do drugiej, nosić jednak wypada, jeśli chce się być *fair* wobec swoich poglądów i nie funkcjonować w kręgu znajomych jako sponsor nadchodzącej katastrofy klimatycznej. Na ratunek przybywa jednak Shein z kojącym przekazem, że końcowi świata nie da się wprawdzie zapobiec, ale można tanio „odstrzelić się" na tę okazję, zgodnie z najnowszym stylebookiem.

> Aż 56 proc. młodych nie wierzy, że **katastrofę klimatyczną da się jeszcze zatrzymać.** Nieuchronność tego zagrożenia destrukcyjnie wpływa na ich wybory życiowe.

Dyskurs pozorny

Popularność, jaką w błyskawicznym tempie zdobywa chińska marka, każe więc z dystansem spojrzeć na dominujący w mediach dyskurs o młodych, którzy jak jeden mąż walczą o powstrzymanie katastrofy klimatycznej. Paleta nastrojów w tej grupie jest, jak się okazuje, bardziej zróżnicowana, niż gotowi są przyznać publicyści piszący o nadchodzącej „zielonej rewolucji młodych". W opublikowanym jesienią ub. roku raporcie zatytułowanym „Ziemianie atakują" tylko 12 proc. ankietowanych Polaków zgodziło się z egoistycznym stwierdzeniem, że „to inni są odpowiedzialni za katastrofę ekologiczną i nie zamierzam nic z tym robić". W grupie wiekowej 18-24 lata odsetek takich odpowiedzi wyniósł jednak aż 23 proc.

Powód? Mniejsza nawet o to, że dziurę ozonową rodzice zrobili na długo przed ich narodzinami. Bardziej deprymujące jest poczucie, że za sztafażem kolejnych szczytów klimatycznych odbywa się biznes jak wcześniej. W badaniu przeprowadzonym w 2021 r. na 10 tys. osób w wieku od 16 do 25 lat, pochodzących z 10 krajów świata, aż 56 proc. ankietowanych podkreśliło, że nie wierzy już w ekologiczne otrzeźwienie elit i dlatego zakłada, że katastrofy klimatycznej nie da się zatrzymać. 45 proc. badanych przyznaje z kolei, że nieuchronność tego zagrożenia wpływa destrukcyjnie na ich wybory życiowe, włącznie z planami samodoskonalenia i chęcią założenia rodziny. Młodzi doskonale wyczuwają i to, że padają ofiarą zakrojonej na globalną skalę operacji outsourcingu winy. Wprawdzie to my, dorośli, wycinamy połacie lasów deszczowych pod plantacje bawełny, z której powstaną tanie podkoszulki, ale to wy powinniście się wstydzić, że macie coś takiego w szafie. W porównaniu z takim ładunkiem hipokryzji Shein ze swoimi ubraniami, od których można nabawić się egzemy, jawi się niemal jako partner grający *fair*. Chińczycy przynajmniej nie udają, że coś ratują.

A przecież to globalny rynek szybkiej mody miał być tym, który jako jeden z pierwszych wypadnie z zakrętu, jakim dla naszej cywilizacji jest zagrożenie katastrofą klimatyczną. Model biznesowy *fast fashion* niczym soczewka ogniskuje przecież wszystkie choroby epoki turbokapitalizmu, na czele z rozciągniętymi na tysiące kilometrów łańcuchami dostaw, dewastacją środowiska w krajach globalnego Południa, wyzyskiem najbiedniejszych i szaloną konsumpcją mieszkańców sytego Zachodu, który ubrania kupuje właściwie z nudów.

Tymczasem – jak szacuje w wydanym w ub. roku raporcie firma badawcza BRC – wart obecnie 91,2 mld dolarów sektor szybkiej mody do końca 2026 r. zwiększy przychody do 173,9 mld dolarów, co oznacza średnioroczne tempo wzrostu na poziomie 13,8 proc. W 2031 r. *fast fashion* powinna zainkasować od klientów na całym świecie już 240,5 mld dolarów. W raportach rocznych największego polskiego gracza tej branży, grupy LPP (zarządza takimi markami jak Reserved, Cropp czy Sinsay), ten trend widać od lat. Pomiędzy 2015 a 2022 r. gdańska firma zwiększyła przychody z 5,3 do 14 mld zł. W tym samym czasie firma Shein, założona w 2008 r. w Nankinie przez wychowanego w USA Chińczyka, zdołała przekształcić się z lokalnego e-sklepu w wyceniany na prawie bilion dolarów biznes internetowy, który notuje dziś więcej odwiedzin niż Amazon. Tak szybki wzrost bywa czasem zapowiedzią równie gwałtownego końca. Na razie bardziej prawdopodobny wydaje się jednak koniec świata.

©℗ MAREK RABIJ

TOMASZ

Stawiszyński: *(Nie)oczekiwana zmiana miejsc*

Za sprawą usłużnego algorytmu – jak to dzisiaj bywa – natrafiłem na pewien podkast, w którym gościł dr David Rasnick, przedstawiany tam jako „wybitny amerykański biochemik". A także, *last but not least*, człowiek bezkompromisowo oddany prawdzie, odwiecznie niepokorny i przeciwny bezdusznemu medycznemu establiszmentowi. Teorie spiskowe – o czym wiedzą już Czytelniczki oraz Czytelnicy niniejszych felietonów – zajmują mnie nie od dzisiaj i regularnie lustruję sieć w ich poszukiwaniu, siłą rzeczy mam więc algorytmy w tej właśnie manierze skalibrowane. Ów Rasnick jest zaś w multiwersum spiskowym figurą nader znaczącą, choć rozlokowaną (i całe szczęście, o czym za chwilę się przekonacie) na zdecydowanych marginesach. Marginalizacja Rasnicka stąd się wzięła, że – taka jest przynajmniej moja robocza hipoteza – nawet najbardziej elastyczni intelektualnie wielbiciele dziwnych konceptów dotyczących tajnego światowego rządu nie są w stanie zaakceptować przekonań od lat propagowanych przez owego „wybitnego amerykańskiego biochemika". Czym innym jest bowiem oskarżanie Big Pharmy o całe zło tego świata – co w każdej spiskowej opowieści stanowi dogmatyczną oczywistość – czym innym natomiast szerzenie tezy, że wirus HIV, jeśli w ogóle istnieje, to zupełnie nieszkodliwy patogen, a AIDS to z kolei skutek złego trybu życia (w szczególności nadmiernego zamiłowania do używek).

Nie Rasnick wszakże jest autorem tej narracji, on ją jedynie rozpyla w przestrzeni publicznej. Właściwym twórcą jest jego wielki mistrz, Peter Duesberg, biolog molekularny pochodzący z Niemiec, od lat zamieszkały w USA i zatrudniony... na Uniwersytecie w Berkeley. Nie ma tu żadnej pomyłki – z tym zatrudnieniem na Berkeley – bowiem Duesberg był w latach 60. uważany za jednego z najznamienitszych młodych umysłów w swojej dziedzinie i dlatego Amerykanie postanowili wówczas ściągnąć go do Kalifornii. Niedługo zresztą po tym transferze opublikował prace dotyczące onkogenów i związków pomiędzy wirusami a nowotworami, dzięki czemu przez chwilę uznawano go nawet za murowanego kandydata do Nagrody Nobla. Wszystko zmieniło się jednak, kiedy zaczął publikować teksty o AIDS, negując rolę wirusa HIV w etiologii tej choroby i dowodząc, że jest ona wyłącznie efektem wyczerpania organizmu u osób nadużywających popularnego w latach 80. narkotyku o nazwie *poppers*. Jakkolwiek w początkowej fazie badań nad AIDS tzw. hipoteza Duesberga była brana pod uwagę jako jedna z możliwych opcji, naukowcom dość szybko udało się ustalić ścisły związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy HIV a AIDS. Jak mówi Robert Gallo – obok Luca Montagnier najważniejszy spośród tych naukowców – jest to jedna z najlepiej udokumentowanych zależności w dziejach medycyny.

Tymczasem Duesberg nie wierzy w nią do dziś. I wraz ze wspomnianym na początku Rasnickiem oraz innym jeszcze totumfackim biochemikiem, skądinąd polskiego pochodzenia, Harveyem Bialym, uparcie głosi radykalny negacjonizm. Wcale nie zważając na to, że – jak szacuje Nicoli Nattrass, autorka poświęconej m.in. Duesbergowi i Rasnickowi książki „Mortal Combat" – tylko w Afryce ich działalność doprowadziła do śmierci kilkuset tysięcy ludzi. Ci dwaj zasiadali mianowicie na początku lat 2000 w komisji doradczej powołanej przez ówczesnego prezydenta RPA Thabo Mbekiego, któremu prywatnie AIDS-negacjonizm tak przypadł do gustu, że zamiast zamawiać dla swojego kraju leki antyretrowirusowe, zamawiał preparaty witaminowe na wzmocnienie. Efekty – jak się nietrudno domyślić – były opłakane. Ale lista ofiar tej szczególnie drapieżnej teorii spiskowej jest znacznie dłuższa, niektóre zaś historie – jak np. Christine Maggiore (kto ciekaw, niech poszuka w sieci informacji o jej tragicznym losie) – przyprawiają zarazem o grozę i niedowierzanie.

Doprawdy, ilekroć myślę o Rasnicku czy Duesbergu (którego z Berkeley nie wyrzucono podobno wyłącznie z uwagi na dawne osiągnięcia), tylekroć uświadamiam sobie, jak mylne są stereotypy dotyczące najrozmaitszych odmian spiskowego myślenia. Jak widać, ani inteligencja, ani wykształcenie, ani też inne intelektualne przymioty nie stanowią skutecznego środka immunizującego na specyficzne uroki tego rodzaju mitologii. No i ta najbardziej dojmująca bodaj zagadka: jak to w ogóle możliwe, że wybitny przecież naukowiec całkowicie odrzuca oczywiste dowody, zakrzywia rzeczywistość, brnie w kuriozalne wyjaśnienia? A przede wszystkim ignoruje ludzi umierających wskutek praktycznej aplikacji głoszonych przezeń poglądów?

Żeby nie było – dotyczy to, co piszę, nie tylko Duesberga, ale i wielu innych współczesnych negacjonistów, w tym także tych licznych dzisiaj kwestionujących istnienie i/albo zjadliwość koronawirusa. Bo zapomniałem wspomnieć na początku, że rozmowa z Rasnickiem, którą podsunął mi algorytm, dotyczyła właśnie pandemii. Otóż – z przekonaniem twierdził Rasnick – żadnej pandemii nie ma i nie było, to tylko oszustwo i spisek, tak samo jak AIDS.

Zdaję sobie sprawę, że liczba tzw. koronasceptyków jest znacznie większa niż uczniów Duesberga i właśnie dlatego chciałbym zwrócić uwagę na to, jak te dwie narracje się zazębiają. I jak dawno już skompromitowany i zmarginalizowany nawet wśród teoriospiskowców Rasnick triumfalnie powraca do gry jako ekspert od pandemii. Wprawdzie jest to powrót rozgrywający się w specyficznej pseudonaukowej, konspiracyjnej niszy – ale czy przypadkiem ta nisza nie staje się niepostrzeżenie głównym nurtem? ©

PAPIEŻ NA PERYFERIACH

Czy naruszył porządek, który Kościół budował od wieków? Dlaczego mówiąc o wojnie stracił wiarygodność? Jaki jest bilans pierwszej dekady Franciszka?

EDWARD AUGUSTYN

Nie zmienił papiestwa, nie zreformował Kościoła ani doktryny. Jeśli już, to zmienił tylko wizerunek papieża.

– Chciał zreformować Kościół, ale zamiast tego głęboko go podzielił. Choć w niezamierzony sposób.

– Próbuje wyprowadzić Kościół z fikcji, jaką są jego zachodnie ramy kulturowe. Ale brak mu świadomości, że do tego potrzebny jest także wysiłek teologiczny.

Trzej znani watykaniści – Luigi Accattoli, emerytowany dziennikarz „Corriere della Sera", Gianfranco Svidercoschi, były wicenaczelny „L' Osservatore Romano", i Massimo Faggioli, wykładowca historii Kościoła na Uniwersytecie w Filadelfii, pomogą nam podsumować dekadę Franciszka. Dwaj pierwsi patrzą na wydarzenia w Watykanie z perspektywy siedmiu pontyfikatów, które opisywali i życzliwie komentowali. Trzeci, pokolenie młodszy, jest jednym z najbardziej znanych apologetów obecnego papieża.

Czy zawód, jaki słychać w ich głosie, jest uzasadniony? Czy bilans dziesięciu lat będzie ujemny? Spróbujmy jeszcze raz go dokonać.

Rozbudzone nadzieje

To była pierwsza, rzucająca się w oczy zmiana: po wyrafinowanej estetyce Benedykta XVI (czerwone buty, obszywane gronostajem camauro, karmazynowy lub biały mucet i wyjęte z najstarszych szaf liturgiczne stroje) przyszedł czas na prostotę.

„Sześćdziesiąt lat po soborze pora zaktualizować modę – mówił Franciszek do biskupów. – Czasem można założyć babcine koronki, ale tylko czasem. Hołd babci miło złożyć, ale lepiej czcić Matkę-Kościół".

Chodził w czarnych znoszonych butach, podczas podróży nie rozstawał się z wytartą skórzaną teczką, zrezygnował z mieszkania w Pałacu Apostolskim, wybierając Dom św. Marty – watykański „hotel" dla kardynałów, gdzie siadał do posiłków we wspólnej jadalni i ustawiał się w kolejce do automatu z kawą. Przemówienia zaczynał od „buona sera" i „buongiorno", kończył życzeniami smacznego obiadu. Zrezygnował z mercedesa na rzecz forda focusa, volkswagena golfa czy fiata 500. Sam decydował, z kim się spotka – żaden z jego osobistych sekretarzy (w ciągu dekady miał pięciu) nie zbliżył się nawet do pozycji biskupów Dziwisza czy Gänsweina.

To wszystko budziło, poza zdumieniem, także nadzieję, że zmiany będą dużo głębsze.

Puszka Pandory

„Reformatorska siła pontyfikatu wcale się nie wyczerpała. Wręcz przeciwnie – jest wielka i budzi strach, większy nawet niż na początku" – pisał pięć lat temu na naszych łamach Luigi Accattoli. Dziś przyznaje: – To, co najistotniejsze, jednak wcale się nie zmieniło. Prawo kanoniczne jest takie jak wcześniej, reforma kurii to tak naprawdę niewielkie zmiany.

Drugi z moich rozmówców, Gianfranco Svidercoschi, docenia reformę kurii, choć – zastrzega – „nie zdoła ona wyeliminować zła, jakie wynika z rzymskiego centralizmu i klerykalizmu". Podkreśla też zmianę podejścia do skandali seksualnych i finansowych.

Franciszek nie zmienił kompleksowo prawa kanonicznego, jak Jan Paweł II w 1983 r., ale wprowadził do niego wiele modyfikacji i nowych przepisów – na przykład umożliwiających stawianie hierarchów przed zwykłym sądem za przestępstwa pospolite (wcześniej mogli być sądzeni tylko przez trybunał złożony z sędziów im równych) czy karanie ich za ukrywanie przestępstw pedofilskich księży. Dzięki jego determinacji dokonała się zmiana świadomościowa: dziesięć lat temu nadużycia seksualne wobec nieletnich uważane były przez ludzi Kościoła za problem marginalny, którego nie powinno się nagłaśniać. Dziś nawet ci, którzy przestępstwa bagatelizują, nie odważą się tego głośno powiedzieć.

Stworzono procedury przyjmowania zgłoszeń i struktury pomocy skrzywdzonym. Być może do ujawnienia afer i tak by doszło, bez względu na to, kto byłby papieżem. Trudno jednak kwestionować wpływ Franciszka na przyśpieszenie tego procesu. On pierwszy uznał przestępstwa seksualne księży za problem systemowy, łącząc go z klerykalizmem i nadużyciem władzy. Uruchomił proces, którego nie da się już zatrzymać: liczba zgłaszanych spraw lawinowo rośnie, autorytet wielu dotąd niekwestionowanych duchowych przywódców legł w gruzach, a Kościół stanął w obliczu kryzysu, jakiego nie zaznał od czasu Reformacji.

Nikt nie jest bezpieczny

Reforma kurii została papieżowi zlecona przez kardynałów na konklawe w 2013 r. – patologii w tej instytucji nie dało się już tolerować. Franciszek realizował zadanie długo (konstytucja „Praedicate evangelium", wprowadzająca nowy ustrój, weszła w życie w czerwcu 2022 r., zmiany personalne nadal trwają). Efekt też można uznać za rozczarowujący, bo sprowadza się do zmiany nazewnictwa i przemeblowania urzędów. Ale to, co było najważniejsze i wydawało się niemożliwe, dokonało się już wcześniej.

Watykańskie finanse poddano zewnętrznemu audytowi, powołano wewnętrzne instytucje kontrolne, niezależne nawet od Sekretariatu Stanu, najważniejszego urzędu kurii, któremu zresztą też mocno ograniczono dostęp do pieniędzy. Poleciały głowy, toczą się procesy o korupcję, nepotyzm i malwersacje (a także pranie brudnych pieniędzy, szpiegostwo i krzywoprzysięstwo).

Z przestępczością zorganizowaną nikt dotąd za Spiżową Bramą nie umiał sobie poradzić. Za Jana Pawła II skandale finansowe były wyciszane, a abp Paul Marcinkus, główny oskarżony w największej aferze, jaką był upadek Banco Ambrosiano (i towarzyszące mu tajemnicze zgony kilku osób), nigdy nie trafił pod sąd, ukrywając się w Watykanie przed włoskim wymiarem sprawiedliwości. Za Benedykta XVI jedyną oskarżoną i osądzoną osobą był lokaj, który dostarczał mediom informacje o korupcji.

Przypadek kard. Angela Becciu, trzeciej osoby w państwie, którą Franciszek kazał posadzić na ławie oskarżonych, jest znamienny. Pokazowy proces najbliższego współpracownika papieża to sygnał, że nikt nie może czuć się bezpieczny.

Nienaruszona doktryna

Papieża, który nie tylko mówi o brudzie w Kościele (co robił już kard. Ratzinger w ostatnim roku pontyfikatu Jana Pawła II), ale wywleka go na światło dzienne, jedni uznali za rewolucjonistę, inni za szaleńca, co sprowadzało się do wspólnego wniosku, że stać go na wszystko. Ci, którzy marzyli o reformie doktryny, zaczęli jej niecierpliwie wyglądać. Ci, którzy zmian w nauczaniu nie chcieli, postanowili za wszelką cenę do nich nie dopuścić.

Wiele wskazywało, że będzie o co walczyć. Ogłoszona w 2015 r. adhortacja ↦

Na placu św. Piotra, 5 stycznia 2023 r.

VATICAN POOL / GETTY IMAGES

↦ „Amoris laetitia" dopuszczała udzielanie komunii św. osobom rozwiedzionym i żyjącym w nowych, niesakramentalnych związkach. Uznano to za odejście od zasady nierozerwalności małżeństwa i nauczania poprzednich papieży.

Wypowiedzi Franciszka sugerowały kolejne zmiany: zniesienie celibatu (a przynajmniej uznanie go za opcję), zgodę na diakonat kobiet i małżeństwa homoseksualne. Wystarczająco, by wywołać falę buntu, do którego – po raz pierwszy w najnowszej historii – przystąpili nawet kardynałowie.

Papież w teologiczne dysputy z krytykami nie wchodził, na przesyłane „dubia" (wątpliwości) czy „braterskie upomnienia" nie odpowiadał, oskarżenia o herezje i wezwania do dymisji lekceważył, podobnie jak opozycję. Ale też żadnych doktrynalnych zmian już nie wprowadził.

W adhortacji podsumowującej synod amazoński nie ma słowa o wyświęcaniu żonatych mężczyzn. Los komisji powołanej do zbadania historyczności diakonatu kobiet pozostaje nieznany. Błogosławienie par homoseksualnych Kongregacja Nauki Wiary – za zgodą papieża – uznała za niezgodne z nauką Kościoła.

Czy to znaczy, że Franciszek ustąpił pod ogniem krytyki? Bardziej prawdopodobne, że żadnych zmian w nauczaniu nie planował. Kwestie doktrynalne niewiele go zajmują.

Koniec zachodniej dominacji

– Jest jednym z najbardziej kontestowanych i obrażanych papieży – zauważa Svidercoschi. – Występują przeciwko niemu całe grupy biskupów, np. w Stanach Zjednoczonych. Zostanie zapamiętany jako ten, który żył w pełni Ewangelią i próbował położyć fundamenty pod odnowę Kościoła, ale z powodu sprzeciwów, jakie te próby wywoływały, pogłębił liczne kryzysy w świecie katolickim.

Oskarżeń jest wiele i płyną z różnych stron. Prawica ma mu za złe, że realizuje lewicową agendę: zamiast o Bogu, mówi o kryzysie klimatycznym, ekologii i ekonomii społecznej. Lewica – że nie jest tak postępowy, jak myślano, a aborcję nazywa „płatnym morderstwem". Tradycjonaliści są obrażeni za zakazanie mszy trydenckiej. Konserwatyści za synodalność, która otwiera pole nowinkom. Liberałowie za despotyzm i brak demokracji.

Svidercoschi uważa, że podziały to w dużej części wina Franciszka. Accattoli papieża broni.

– Kościół od dawna jest podzielony – tłumaczy. – Przeciwko Pawłowi VI buntowano się za encyklikę „Humanae vitae", Jana Pawła II jedni krytykowali za ekumenizm, inni za walkę z postępową teologią. Benedykta XVI atakowano za konserwatyzm. A sprawy takie jak homoseksualizm czy diakonat kobiet dzieliły katolików od lat.

Ale przyznaje, że za tego papieża nie ma tematów zakazanych.

– Poprzednicy byli ostrożniejsi, bali się otwartej dyskusji o trudnych sprawach, by nie pogłębiać podziałów.

Massimo Faggioli linie konfliktu widzi gdzie indziej.

– Franciszek nie jest ani liberałem, ani konserwatystą. Zmienił natomiast samopostrzeganie Kościoła, zmuszając go do spojrzenia na siebie z perspektywy innej niż europejska czy północnoamerykańska. To go odróżnia od poprzedników. Zrozumiał, że katolicyzm zamknięty w ramach, jakie wyznaczają kultura oraz historia Europy i Stanów Zjednoczonych, jest fikcją. Jego pontyfikat to koniec zachodniej dominacji, trwającej przez wieki. Sobór Watykański II miał świadomość tego końca, ale wziął go w nawias, podobnie jak kolejni papieże. Franciszek na nowo otworzył temat. Jest z innej historii, z innego niż europejski – włoski, polski czy niemiecki – Kościół.

Jedne podziały – na Zachód i Południe – papież próbuje więc niwelować, inne – na elity i wierny lud – sam kreuje.

– Jego ostentacyjna antyelitarność uderza choćby w teologów – dodaje historyk. – Papież nie wierzy w teologię, zwłaszcza uniwersytecką. A nie da się wszystkiego sprowadzić do teologii ludu czy rozeznania miejscowych duszpasterzy. Potrzebna jest solidna myśl teologiczna, osadzona w realiach różnych części świata. To wciąż kwestia przyszłości.

Zburzona równowaga

Podobnie, choć prościej, mówi Svidercoschi:

– Papież na wszystko patrzy z perspektywy Południa, czyli oczami biednych. Stał się antyzachodni i antyeuropejski. Narusza porządek, jaki Kościół budował od wieków.

Nie chodzi o zmianę doktryny, tylko o przesunięcie akcentów – ale tak wyraźne, że zachwiało kościelną równowagą. Duszpasterstwo w dotąd znanej formie traci na znaczeniu, jego miejsce zajmuje ewangelizacja i misyjność. Margines staje się centrum – nie tylko w sensie geograficznym, ale przede wszystkim społecznym. Ludzie pogubieni, odrzuceni, o nieuregulowanym statusie duchowym są dla papieża (a więc i dla Kościoła) ważniejsi. Jezus nie przyszedł do sprawiedliwych, lecz do grzeszników.

Na ludzkie problemy Franciszek patrzy z perspektywy konfesjonału. Podejście duszpasterskie wygrywa z doktrynalnym. Boże miłosierdzie jest większe niż prawo i normy moralne. Papież podkreśla też jego bezwarunkowość: by go dostąpić, nie trzeba prosić o przebaczenie ani nawet uznawać się za grzesznika.

To znana prawda, ale dotąd nikt o niej tak nie mówił. Franciszek nie musi zmieniać doktryny, by wywołać oburzenie, nie tylko wśród konserwatywnych elit, ale też zwykłych ludzi „prostej wiary", przyzwyczajonych do schematów, reguł i zasad, które papież – w ich odczuciu – unieważnia.

Svidercoschi nie jest jednak przekonany, że antyzachodni przewrót wyjdzie Kościołowi na dobre, bo katolicyzmowi Południa ciężko się będzie rozwijać bez Europy i USA. Przyznaje, że z Zachodem jest problem, ale tylko dlatego, że Kościół nie wie, jak mówić o Bogu do społeczeństwa, które Boga nie potrzebuje i wyklucza.

Ostatni chrześcijanin

Misyjna otwartość i troska o wykluczonych nie są oczywiście żadnym *novum*. Ale Franciszkowe porównanie Kościoła do szpitala polowego poruszyło naszą wyobraźnię. Podobnie jak słowa o Kościele „wychodzącym" (*Chiesa in uscita*) – do ludzi, na peryferia.

– Pontyfikat zaczął się od dobrych pomysłów, tylko później stało się z nim coś złego – uważa Svidercoschi.

Powtarzane wciąż te same słowa, gesty i porównania banalizują się i gubią znaczenie. Piękna myśl, że Kościół ma działać nieschematycznie, reagować na kryzysowe sytuacje, ratować ludzi i opatrywać ich rany, domaga się uszczegółowienia i rozwinięcia. Bo czy wystarczą szpitale polowe, które świadczą pomoc doraźną? Czy profilaktyka, opieka długoterminowa,

troska o przewlekle chorych albo rozwój nauk medycznych są mniej ważne? Czy zgrabne powiedzenia dadzą się przekuć w konkretne plany działania?

Franciszek stał się więźniem własnych słów i gestów. Począwszy od spraw wizerunkowych, które zjednały mu sympatię świata, ale z czasem straciły rangę symbolu i powagę (papieski fiat 500, otoczony pancernymi limuzynami z ochroną – obrazek z ostatniej podróży do Afryki – jest tego przykładem). A skończywszy na wojnie w Ukrainie, która zakwestionowała kluczowe aspekty narracji Franciszka, takie jak radykalny pacyfizm i powszechne braterstwo.

Z wypowiedzianych wcześniej słów – że żadna wojna nie jest sprawiedliwa – ciężko mu się wycofać. Każdą wojnę uważa za sprzeczną z Ewangelią i chrześcijaństwem. Zdania nie zmienił. Zmodyfikował jedynie narrację – być może pod wpływem krytyki. W drugiej połowie roku mówił o okrucieństwach wojny, skupiając się na cierpieniu Ukraińców, a unikając okazywania współczucia Rosjanom. Widać też, że za główną przyczynę wojny uważa nie imperializm najeźdźcy, ale konflikt mocarstw i wyścig zbrojeń. Producentów i handlarzy bronią obwinia za prowokowanie wszystkich konfliktów zbrojnych w świecie.

JOK SOLOMUN / REUTERS / FORUM

Papież Franciszek przyjeżdża z lotniska do pałacu prezydenckiego w Dżubie, Sudan Południowy, luty 2023 r.

Zachwiana polityka

Trudny do zrozumienia, dwuznaczny stosunek do rosyjskiej agresji bardzo zaszkodził wiarygodności papieża, do niedawna górującego autorytetem nad innymi przywódcami religijnymi i politycznymi: wystarczy przypomnieć jego samotną modlitwę na zalanym deszczem placu św. Piotra o ustanie pandemii, która zjednała mu szacunek wszystkich, od prawa do lewa. Dziś krytykują go nawet ci, którzy zawsze stali po jego stronie.

Luigi Accattoli przyznaje, że choć podziela zdanie Franciszka co do przyczyn wojny w Ukrainie (jako efektu mocarstwowych rozgrywek), to słowa o „szczekaniu NATO pod drzwiami Rosji" były dyplomatyczną katastrofą. Gianfranco Svidercoschi jest przekonany, że były wyrazem wrodzonej niechęci argentyńskiego papieża do Stanów Zjednoczonych, podobnie jak uparte dążenie do porozumienia z Chinami czy stawianie na braterstwo z islamem, za cenę osłabienia relacji z Żydami, które od czasu Soboru Watykańskiego II były najważniejszym elementem międzyreligijnego dialogu Kościoła.

Faggioli twierdzi, że pogubienie się papieża po rosyjskiej agresji na Ukrainę jest efektem kompletnego załamania się polityki Watykanu, która polegała na „pozytywnej neutralności" i po raz pierwszy od zakończenia zimnej wojny znalazła się w sytuacji, gdzie nie ma „stron konfliktu", tylko najeźdźca i ofiara. W dodatku zagrożenie przyszło nie ze strony, której papież najchętniej wytykał błędy, krytykując zachodni liberalizm, konsumpcjonizm i kapitalizm, ale z kraju, którego – z przyczyn taktycznych – nie krytykował (w gronie „nietykalnych" państw, poza Rosją, są jeszcze Chiny i Indie).

– Globalny zwrot pontyfikatu Franciszka nie uwolnił go od powrotu do Europy – pisał rok temu na naszych łamach Faggioli. – Powrotu przytłaczającego, bo naznaczonego wojną. Atak Rosji na Ukrainę zachwiał polityką międzynarodową Stolicy Apostolskiej mocniej niż 11 września 2001 roku.

Mówta co chceta

Większość wymienionych tu problemów Franciszka ma źródło w jeszcze innej, mocno wyróżniającej go cesze.

– Jestem zdumiony, jak niewielką wagę przykłada do słów – mówi Accattoli. – Jakby w ogóle nie brał pod uwagę ich skutków. Sam rujnuje to, co wcześniej zbudował.

– Milczenie jest lepsze niż nieprzemyślane słowa – dodaje Svidercoschi. – A do tego papież nie słucha doradców czy swoich służb, wierzy za to w każde słowo, które mu powie przypadkowa osoba, jakaś siostra zakonna, spotkany człowiek. Coś usłyszy albo przeczyta i przyjmuje jako swoje. W ostatnim roku było to widać szczególnie wyraźnie.

– Właściwie udało mu się obrazić wszystkie strony – mówi Accattoli.

Ukraińcy oburzali się na wypowiedzi zrównujące śmierć i cierpienie obrońców ojczyzny ze śmiercią żołnierzy rosyjskich i cierpieniem ich matek. Obraźliwe były słowa o szczekającym NATO, córce Dugina – niewinnej ofierze wojny, Czeczenach i Buriatach, którzy mają okrucieństwo we krwi, czy Cyrylu – ministrancie Putina.

Zadziwiająca dezynwoltura, z jaką papież się wypowiada, zwłaszcza podczas konferencji prasowych, wywiadów, których chętnie udziela, bez przygotowania i autoryzacji, czy spontanicznych wtrąceń do publicznych wystąpień, stała się znakiem rozpoznawczym pontyfikatu. Wiele z jego słów Watykan musi później prostować, za niektóre przepraszać. Przez lata powtarzał, że bierze pod uwagę swoją dymisję i snuł rozważania, co będzie robił na papieskiej emeryturze. Podczas niedawnego spotkania z jezuitami w Kongu stwierdził, że papiestwo to służba dozgonna i nie zamierza rezygnować.

Parezję – prawo do swobodnej i nieograniczonej wypowiedzi – uważa za filar wolności. Na szczęście nie tylko swojej. Od dziesięciu lat żaden teolog nie został pozbawiony prawa do nauczania z powodu głoszonych tez. ↦

Dziedzictwo Aparecidy

W 2020 r. oficjalny rocznik Stolicy Apostolskiej, „Annuario Pontificio", odnotował ważną zmianę: używane od wieków papieskie tytuły – Wikariusz Jezusa Chrystusa, Następca Księcia Apostołów, Najwyższy Kapłan Kościoła Powszechnego, Prymas Włoch, Suweren Państwa Miasta Watykańskiego, Sługa Sług Bożych – zostały przeniesione do rubryki „Tytuły historyczne". Franciszek zostawił dla siebie tylko jedną godność: biskupa Rzymu.

„Kiedy mnie wybrano, powiedziałem sobie: »OK, zmieniam diecezję z Buenos Aires na Rzym«. Było to dla mnie naturalne. Żadnej różnicy w zachowaniu, w zwyczajach, w tym, co robiłem jako biskup innej diecezji. Taka sama praca. Zmienia się tylko horyzont" – mówił dwa tygodnie temu w wywiadzie dla telewizji Canale 5.

To wiele tłumaczy.

Jest papieżem, który chciał pozostać biskupem. W dodatku południowoamerykańskim, realizującym założenia najważniejszego dla tamtych Kościołów dokumentu duszpasterskiego, uchwalonego w 2007 r. w Aparecidzie, przy znacznym wkładzie kard. Jorgego Bergolia. Kluczowe hasła pontyfikatu – opcja na rzecz ubogich, duchowość ludowa, nawrócenie misyjne i duszpasterskie, troska o stworzenie – zostały przejęte wprost z tego programu, w Europie mało znanego.

Nie czuje się głową państwa, a jedynie biskupem - bliskim i troskliwym pasterzem (nawet jeśli jego podwładni widzą w nim surowego, despotycznego i kapryśnego władcę) W pierwszych tygodniach pontyfikatu wymykał się wieczorami „na Rzym", próbując choć po części żyć tak, jak w Buenos Aires, gdzie jeździł tramwajem, odwiedzał biedne dzielnice, gościł w domach przyjaciół. Ucieczek z Watykanu zaniechał, gdy uświadomiono mu, jakie problemy sprawia ludziom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo (opowiada o tym w wydanej przed miesiącem książce „Paura come dono").

– Nie ma nawet paszportu watykańskiego, tylko wciąż argentyński – mówi Luigi Accattoli. – Nie lubi i nie ceni całej tej papieskiej państwowości. „Kościół wychodzący" nie znaczy jedynie „misyjny". To Kościół wychodzący z odwiecznych ram, z dotychczasowego modelu funkcjonowania. Ale to tylko pomysł, za którym nie poszły żadne konkretne zmiany. Nie zlikwidował prerogatyw papieskich, nie zrezygnował z władzy doczesnej. Zmienił wizerunek papieża, nie papiestwo. Ta zmiana skończy się wraz z jego odejściem. Kolejny papież będzie miał swój własny, całkiem inny wizerunek.

Pontyfikat od nowa

Druga dekada Franciszka zaczyna się od ambitnych planów, zważywszy na wiek papieża (w grudniu skończył 86 lat) i stan zdrowia (problemy z kolanami zmuszają go do korzystania z wózka inwalidzkiego, przeszedł też poważną operację gastrologiczną). Po wyczerpującej podróży do Afryki, jaką odbył na początku lutego, zamierza jechać na Węgry, do Marsylii, Lizbony i Mongolii, być może także na Bałkany, do Libanu, Indii i krajów Oceanii. Do tego dwie jesienne sesje synodu biskupów (w 2023 i 2024 r.), podsumowujące debatę o sposobie funkcjonowania Kościoła, oraz Wielki Jubileusz 2025 r. I codzienna, równie wyczerpująca aktywność, której nie ogranicza, a wręcz zwiększa: minione dwa miesiące to wyjątkowo duża liczba audiencji i kilka ważnych decyzji restrukturyzujących diecezję rzymską.

Moi rozmówcy zwracają uwagę na jeszcze jeden czynnik, który wpływał na przebieg pierwszej dziesięciolatki Franciszka, a do tego był katalizatorem reakcji sprzeciwu wobec jego pontyfikatu – stałą obecność papieża emeryta. Benedykt XVI, rezygnując z urzędu, sam zadecydował o swoim dalszym statusie, miejscu zamieszkania i aktywności. Nowy papież został postawiony przed faktem dokonanym i od początku pozbawiony pełnej kontroli nad wydarzeniami w Watykanie i Kościele. Dotąd takiej sytuacji nie było. I nawet jeśli relacje pomiędzy dwoma papieżami w ciągu dziesięciu lat koabitacji wyglądały na ciepłe, sytuacja nie była normalna i prowadziła do różnych, większych lub mniejszych napięć.

Można powiedzieć, że teraz, po śmierci Benedykta XVI, pontyfikat Franciszka zaczyna się na nowo. Mało kto już liczy na wielkie zmiany. Ale kto wie. Tego papieża stać na wszystko.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Ojciec nieświęty

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI, JEZUITA:

Jesteśmy wyuczeni, by wychwycić, co ksiądz powie, i się zastosować. Do tego zupełnie nie pasuje Franciszek, który nie podsuwa gotowych rozwiązań, a jego wizja zakłada ryzyko błędu.

MACIEJ MÜLLER: Kilkanaście lat temu jeden z naszych felietonistów zrobił eksperyment: poszedł do sklepu z dewocjonaliami i poprosił o portret „naszego papieża". Dostał Jana Pawła II, mimo że to były już czasy Benedykta XVI. Powtórzyłem ostatnio eksperyment

STEFANO RELLANDINI / AFP / EAST NEWS

Papież Franciszek w krakowskim tramwaju, Światowe Dni Młodzieży, lipiec 2016 r.

i usłyszałem „znaczy którego?". Chyba coś się zmieniło w naszym podejściu do papiestwa.

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI: Z punktu widzenia wiary katolickiej każdy papież jest „nasz". Ale nie sądzę, żebyśmy się już wyzbyli skłonności do porównywania jednego z drugim – to się ciągnie od poprzednich pokoleń. Choć 20-, 30-latkowie już są wolni od sentymentu wobec Jana Pawła II – nie pamiętają go, wielu bardziej się kojarzy z memami czy dyskusjami medialnymi niż z kościelną rzeczywistością. Natomiast problem z „naszością" obecnego papieża polega chyba na tym, że on pochodzi z zupełnie innego kontekstu kulturowego. Poprzedni, europejscy, wydawali się łatwiejsi do oswojenia, choć i Jana Pawła II, i Benedykta też wiązały przecież konkretna historia, kultura, wychowanie itd. Tyle że Wojtyła był stąd, dlatego każdy następca już w przedbiegach przegrywa z nim w kategorii „naszości".

Kiedy pytam młodych, kim jest dla nich Franciszek, najczęściej widzę wzruszenie ramionami. Starsi mówią, że na początku wiązali z nim nadzieję, ale że z biegiem lat im zobojętniał.

Czy papież musi być Polakiem, żebyśmy się nim przejmowali?

Zmienia się nasze wyobrażenie o papiestwie i o tym, kim papież ma w ogóle być, ale to chyba dobrze. Ostatnio bp Ignacy Dec powiedział, że Jan Paweł II na żadnym etapie życia nie popełnił żadnego błędu. Czy świętość wiąże się z bezbłędnością, bezgrzesznością, a w przypadku papieża: nieomylnością we wszystkich dziedzinach? Nie. To jest pułapka. Franciszek więcej od Jana Pawła II czy Benedykta XVI wypowiada się publicznie, udziela wielu wywiadów, bywa nieprecyzyjny. Rozpada się wyobrażenie o papieżu jako o nieomylnym, niepoddawanym krytyce władcy. Bo dość często widzimy, jak on popełnia błędy. I to jest normalne. Każdy człowiek je popełnia. To już nie czasy „Roma locuta, causa finita". Papież nie musi wszystkiego wiedzieć, co nie zmienia faktu, że powinien być dobrze poinformowany.

Nieudolna polityka wobec wojny w Ukrainie, niezręczne wypowiedzi i gesty dla wielu stanowiły kamień milowy, przy którym ostatecznie machnęli ręką na Franciszka.

Wojtyła wychował się w kraju, gdzie było jasne, kto jest dobry, a kto zły. Bergoglio jako prowincjał argentyńskich jezuitów po którejkolwiek stronie by się opowiedział – prawicowej junty czy lewicowych bojówek – wybrałby źle. Z doświadczeń Wojtyły w komunistycznym kraju wynikała jego późniejsza, nierozumiana w Ameryce Łacińskiej krytyka teologii wyzwolenia. A z doświadczeń Bergoglia wypływają jego obecne wyobrażenia o polityce globalnej. Bardzo dalekie od naszych, w których Rosja ucieleśnia jednoznacznego wroga. Znowu: on nie jest „nasz".

W Twoich rozmowach duszpasterskich pojawia się w ogóle papież, ludzie o niego pytają?

Tak, ostatnio w kontekście Ukrainy, wcześniej – głównie adhortacji „Amoris laetitia". Papież o tyle się pojawia w rozmowach, o ile mówi się o nim w mediach. Mało się go czyta, podobnie jak poprzedników. Widać, że ludziom trudność sprawiają jego wypowiedzi spontaniczne, nieprecyzyjne. Nie rozumieją tak rewolucyjnych rozwiązań, jak możliwość dopuszczenia rozwiedzionych pod określonymi warunkami do komunii. A księża mają problem z tym, że on nie mówi: to jest dobre, to jest złe, tylko zaleca rozeznawanie, a więc to, co św. Tomasz z Akwinu nazywa roztropnością.

To człowiek ukształtowany przez duchowość ignacjańską, która polega nie na pouczaniu, lecz na towarzyszeniu i pomaganiu w odnalezieniu tego, co dla konkretnej osoby dobre. To budzi niezrozumienie i sprzeciw tych, dla których Kościół opiera się na legalizmie – wszystko jest w kanonach i wystarczy odpowiednio je wcielać w życie. Moralność oparta na legalizmie wymaga, by natychmiast, bez uzasadnienia i wolności, czyli zewnętrznie, dostosować się do głoszonej zasady. Bez względu na okoliczności, osobistą sytuację, zdolności itd.

Rozeznanie wyklucza takie podejście i zakłada szukanie woli Bożej w codziennym życiu. To zupełnie inna droga niż tylko unikanie zła – obawiam się, że wciąż obca naszej polskiej mentalności. ↦

↦ W kazaniach i katechezie słowo „rozeznanie" staje się straszakiem, bo kojarzy się z subiektywizmem i rozmywaniem moralnych zasad.

Księża się tego boją czy świeccy?
Jedni i drudzy.

Przecież to podejście, z którym wiąże się duży zakres wolności, powinno pociągać...
Jesteśmy wyuczeni, by wychwycić, co papież powie, co proboszcz powie, i się zastosować. Nasz system edukacji na tym polega. Wykuć, powiedzieć to, co chce nauczyciel. I załatwione. Przyzwyczailiśmy się, że coś nam się narzuca. Do tego zupełnie nie pasuje Bergoglio, który nie podsuwa gotowych rozwiązań, lecz mówi: przyjrzyjcie się temu, zastanówcie się, jaka może być wola Boża. We mnie papież zdołał otworzyć jakąś furtkę, zmobilizował mnie do duszpasterskich zmian, do nacisku na formację sumienia i rozeznawanie. Widzę w tym jedno z wielkich zaniedbań w Kościele. Rolę sumienia sprowadziliśmy po Soborze Trydenckim do przygotowania do spowiedzi. A ono jest potrzebne do podejmowania dobrych decyzji i wyboru dobra.

To stąd niechęć wobec „Amoris laetitia": zapomniano o formacji sumienia. Zainteresowanie papieża sytuacją ludzi żyjących w związkach nieregularnych zostało odebrane jako atak na doktrynę. W ogóle na drogie papieżowi nawrócenie duszpasterskie patrzy się jak na próbę zmiany dogmatów. To nieporozumienie, szczególnie że papież jest w podejściu do doktryny, wbrew pozorom, bardzo konserwatywny. Próbuje tylko Boga na powrót uczynić bardziej ludzkim. Dlatego mówi o tym, że wiara jest drogą, że Bóg jest czuły, że to nie żaden sędzia egzekwujący przepisy.

W Polsce duszpasterstwo wciąż budujemy w dużej mierze na obrazie niewangelicznego Boga, który waży ludzkie czyny i wysyła po śmierci do nieba bądź piekła. Życie wieczne do nas jeszcze nie przyszło. Opór przeciwko Franciszkowi bierze się stąd, że odrzucamy jego opowieść o Bogu, który nas nie przymusza, który na nas czeka, dostosowuje się do naszego rytmu, niczego nie chce „od razu" i cieszy się z naszych małych kroków. Opowieść o zupełnie innym chrześcijaństwie niż to, które znamy.

ARCHIWUM PRYWATNE

KS. DARIUSZ PIÓRKOWSKI (ur. 1976) jest jezuitą, rekolekcjonistą, kierownikiem duchowym i publicystą. Autor książek o duchowości i Biblii. Współpracuje z ruchem Małżeńskie Drogi oraz z grupą religijną Pogłębiarka.

Da się mówić o czułości Boga po Buczy? W kontekście okrucieństw wojny pobożne hasła papieża brzmią naiwnie jak oazowe piosenki o Jezusie-przyjacielu.
Wobec wojny w ogóle trudno mówić o Bogu. Przychodzi mi na myśl Benedykt XVI, który w Auschwitz zacytował Psalm 44: „Ocknij się! Dlaczego śpisz, Panie? Przebudź się!". Tutaj nie ma dobrej odpowiedzi i myślę, że papież też jej nie zna. Myślę, że Bóg nad grobami w Buczy płacze wraz z bliskimi pomordowanych. I nie chce porazić piorunem tych, którzy zabili. Nad tymi grobami trzeba ciszy i delikatności. Liturgię Wielkiego Piątku też nieprzypadkowo zaczynamy i kończymy milczeniem.

Jezus objawiał miłosierdzie Ojca, był wrażliwy na ludzką biedę i na grzech, ale nie zlikwidował zła. Krzyż to radykalny znak tego, że Bóg nie reaguje tak, jak byśmy chcieli. Kiedy Jezus umierał na krzyżu, to także za oprawców, nie tylko skrzywdzonych. Franciszek mówi o Bogu, który nie patrzy na nas przez pryzmat naszych złych wyborów. Więc będzie dostrzegał człowieczeństwo w kacie, w gwałcicielu, w zbrodniarzu wojennym. To trudne do przyjęcia, dla mnie też.

Co o papieżu mówią między sobą księża?
Początkowo wielu księży, zwłaszcza młodych, pokładało w nim nadzieje. Dzisiaj spotykam się raczej z postawą typu: „przeczekamy". Wielu nie podobają się gesty uniżenia, jak całowanie po butach afrykańskich polityków, mycie nóg przestępcom, bo to znowu nie pasuje do naszego wyobrażenia o papiestwie. Papież jest jak król, nie powinien się tak upokarzać. No i dlaczego jeździ do krajów, gdzie społeczności chrześcijan są małe, zamiast wzmacniać te duże, na których opiera się Kościół? Czym się kieruje?

Franciszek na każdym kroku krytykuje klerykalizm. Chodzi mu o błędne postrzeganie Kościoła, w którym mówi się nie o Ludzie Bożym, o Ciele Chrystusa, tylko przede wszystkim o podziale na stany: duchowni, zakonnicy i świeccy, w którym tylko ci pierwsi są uprzywilejowani. To zjawiska w Polsce bardzo nasilone, a wielu księży, choć nie wszyscy, odbiera słowa papieża *ad personam* jako krytykę siebie. Nie rozumieją, o co chodzi Franciszkowi, bo w formacji seminaryjnej nadal słyszą, że ksiądz działa w imieniu Chrystusa i kropka. W praktyce daleko odeszliśmy od nowotestamentalnego rozumienia Kościoła i kapłaństwa. Stąd ten opór. Nie wszędzie, bo znam też wspólnoty ewangelizacyjne, jak np. „W Jego ręku" z Zamościa czy „Strumienie Wody Żywej" z Bochni, gdzie wierzący mają już inną świadomość swojej roli w Kościele. Daje mi to ogromną nadzieję.

To efekt Franciszka?
Nie wiem. Chyba raczej proces wynikający z działania Ducha Świętego – powolny, oddolny, ale żywy. Kościół nie jest dzisiaj jednorodny, jak dajmy na to jeszcze w XVIII w. Złudne jest przeświadczenie, że w Rzymie mieści się jakaś centrala, z której można kierować katolicyzmem w Korei, w USA i w Polsce. Nie da się już zarządzać Kościołem odgórnie niczym w korporacji. Zresztą w Katechizmie czytamy, że „Lud Boży posiada cechy charakterystyczne, które zdecydowanie odróżniają go od ugrupowań religijnych, etnicznych, politycznych czy kulturowych w historii" (782). Tak jest w teorii, w praktyce niestety nie. Na parafii papieżem jest proboszcz. I jaki on będzie, taka będzie lokalna wizja Kościoła. Istnieje Kościół encyklik i Kościół realny: za Jana Pawła i Benedykta było tyle synodów na różne tematy, tyle świetnych tekstów – ale przełożenie ich na praktykę to zupełnie inna opowieść. Nie wiemy, jak to zrobić w tak

dużym Kościele. Liturgię zreformowano w latach 60., a do dziś wielu księży myśli o niej w kategoriach przedsoborowych.

W czym to dostrzegasz?

W tym, że dopóki ksiądz czyta z mszału, posługuje się liczbą mnogą: modlimy się, prosimy, dziękujemy, uwielbiamy – bo czynimy to jako wspólnota, Ciało Chrystusa. Ale kiedy mówi własnymi słowami, to słyszymy np.: „sprawuję tę ofiarę w intencji takiej a takiej". Ja sprawuję, a nie wszyscy. Czyli w głowie jest zupełnie co innego niż w mszale. Odgórnie papież może coś nakazać, zalecić i tyle. Nie jest jednak w stanie zmienić mentalności, oczekiwań, pragnień.

Za próbę reformowania liturgii w przeciwnym kierunku niż Benedykt, czyli za uniemożliwianie odprawiania liturgii trydenckiej, ostro krytykują Franciszka tradycjonaliści, w Polsce reprezentowani przez środowisko „Christianitas".

Muszę powiedzieć, że ich rozumiem, natomiast nie pojmuję, o co chodzi papieżowi. Jestem daleki od ich wrażliwości liturgicznej, natomiast uważam, że w Kościele jest miejsce na różnorodność, która jest dobra, ożywcza. Więc ograniczanie mszy trydenckiej zupełnie nie pasuje do wskazanego na początku myślenia o Kościele, gdzie każdy ma prawo iść we własnym tempie. Nawet biorąc poprawkę na fakt, że wielu tradycjonalistów kontestuje soborową wizję Kościoła, dlaczego mamy odbierać im możliwość przeżywania mszy zgodnie z ich wrażliwością?

Z drugiej strony pamiętam, jak bp Andrzej Czaja opowiadał o młodych księżach zainteresowanych tradycjonalizmem. Stara liturgia – mówił – daje im poczucie bezpieczeństwa, bo nie pozwala na żadną elastyczność, wymaga ścisłego trzymania się przepisów. Łatwo przenieść to na inne dziedziny duszpasterstwa i popaść w faryzeizm. Tymczasem wizja papieska zakłada nieuniknione w życiu ryzyko błędu, niepewność, stawianie pytań. Ucieczka w tradycję to trochę ucieczka przed papieżem.

A jak papieża widzą biskupi?

Kilku stale go cytuje... A inni nie. W przeciwieństwie do Jana Pawła II, przywoływanego nadal, choć chyba też już mniej.

Pamiętam witrynę księgarni katolickiej z początku lat 2000. Leżała tam książka Jana Pawła II „Wstańcie, chodźmy", a obok „Idziemy. Odpowiedź biskupów polskich na wezwanie papieża". Po „Amoris laetitia" czy „Laudato si" nie widać podobnych zrywów.

Nie przeceniałbym takich biskupich gestów. To korporacyjny odruch: szef wyznaczył kierunek, więc głośno deklarujemy, że się z nim zgadzamy. Sam byłem szefem w firmie przez pięć lat i nauczyłem się tego, że jakieś 10 proc. pracowników jest przekonanych do misji, a reszta po prostu się podporządkowuje. W Kościele nie było inaczej 20 lat temu i nie jest dzisiaj.

Rozczarowani Franciszkiem są też w pokoleniu 30-latków. Dawniej związani z Kościołem i w nim aktywni, jakoś w okolicach protestu czarnych parasolek i emisji filmów braci Sekielskich zdecydowali się odejść. Jola Szymańska, dawniej tworząca filmy i teksty religijne, nagrała cały cykl podkastów o zrywaniu z Kościołem. Z jej rozmów wynika, że mamy do czynienia ze zjawiskiem społecznym. Jeśli pojawia się w nich papież, to tylko z komentarzem, że zawiódł, a wszystko, co mówił, to PR.

Tak, „fajny papież" nie wystarczył, żeby zatrzymać młodych w Kościele w obliczu ujawnianej skali tuszowania przestępstw pedofilskich. To trochę podobny mechanizm jak z rozczarowaniem Bogiem, o którym mówiliśmy. Jezus mówił o miłosiernym, czułym Ojcu – więc dlaczego On pozwala na krwawą, brutalną wojnę w Ukrainie? Bóg jest bezradny wobec ludzkiej wolności, tym bardziej bezradny jest papież. Chcielibyśmy, żeby zarządził oczyszczenie – i żeby tak się stało. A tak się nie dzieje, więc papież zdaje się niepotrzebny, wraz z całym Kościołem.

Ratzinger wprost przyznawał się do bezradności, i to jeszcze w przemówieniu sprzed konklawe, z Drogi Krzyżowej w Koloseum w 2005 r., kiedy mówił o brudzie w Kościele. Potem wzywał: „Zbudźmy się z tego znużonego chrześcijaństwa". Jego rezygnacja była też, jak sądzę, wyrazem tej bezradności. Przyznaję, miałem wtedy nadzieję, że przyjdzie nowy papież i temu wszystkiemu zaradzi. Nie zaradził.

Masz jakieś nadzieje związane z synodem o synodalności?

Jego przebieg w Polsce to porażka, trochę związana już z nieufnością do papieża i pewnymi lękami przed utratą *status quo*. Zaangażowanie mizerne, podejście klerykalne. Żeby cokolwiek zmienić w Kościele, musimy najpierw patrzeć na wszystkich wierzących jak na Ciało Chrystusa i zacząć się słuchać.

To akurat umiemy świetnie: słuchać księdza czy biskupa.

Słuchać się nawzajem. A na pierwszym miejscu wysłuchać młodych, zbuntowanych, nierozumiejących i szukających. W ostatni Wielki Post byłem z młodzieżą w wieku 17-25 lat na trzydniowych rekolekcjach. Nie było tradycyjnych konferencji, tylko dyskusje, praca w grupach. Zauważyłem silną potrzebę wypowiedzenia się, padło mnóstwo pytań: dlaczego nas nie traktuje się poważnie? Czemu się nas zbywa? Zapadł mi w pamięć obraz relacji między księżmi a świeckimi – drabina, w której nie ma szczebli. Nie miałem w zanadrzu gotowych odpowiedzi – ale zorientowałem się, że dla nich kwestia ich udzielenia wcale nie była kluczowa. Chodziło im o to, że nie czuli się wysłuchani. Nikt nas nie słucha – skarżyli się – nasze wątpliwości są tłumaczone naszą niewiarą.

Zastanawiamy się nad recepcją Franciszka, a tu wychodzi na to, że Kościół w Polsce nie przyswoił nawet Wojtyłowego „Człowiek jest drogą Kościoła". Po tym doświadczeniu, kiedy jadę na rekolekcje i mam głosić np. o sumieniu, to nie zaczynam od wykładu, tylko pytam uczestników: a co wy myślicie o sumieniu?

Mam po naszej rozmowie poczucie, że w jakimś sensie wszystko jedno, kto jest papieżem.

Na to wychodzi. Nigdy nie pojawi się papież, który byłby „mesjaszem", który zrewolucjonizuje Kościół według naszych oczekiwań. Pierwszy papież – Piotr – był słaby, zaparł się Jezusa, a i potem, mimo że to było już po zesłaniu Ducha Świętego, postępował jak hipokryta, co surowo wytknął mu Paweł. No i nie był jakimś wielkim intelektualistą. Papieska skała od początku jest galaretowata. Może więc nie ma co mnożyć oczekiwań? Zwierzchnikiem Kościoła jest Jezus Chrystus.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Gra w obwinianie

PIOTR SIKORA

Żyjemy najlepiej, jak umiemy. Czy nie czujemy więc czasem buntu, gdy religijna tradycja wskazuje na nas palcem i surowo mówi: okaż skruchę, powtarzaj z przekonaniem: „moja wina”?

Wielki Post – czas pokuty i skruchy. Jak śpiewamy w kościołach, posługując się słowami psalmu: „Boże, moją ofiarą jest duch skruszony, pokornym i skruszonym sercem Ty, Boże, nie gardzisz” (Ps 51, 19).

Skrucha jest reakcją na uznanie własnej winy (tak się przynajmniej powszechnie przyjmuje). Zależność między winą a skruchą zdają się potwierdzać wcześniejsze słowa cytowanego wyżej tekstu Pisma. Albowiem psalmista poprzedza wyznanie o ofierze ze skruszonego serca uznaniem swojego wielkiego grzechu, „który zawsze ma przed sobą” (Ps 51, 5).

Czy jednak nieustanne wspominanie własnej grzeszności jest zdrowym objawem, czy raczej świadectwem religijnej patologii? Być może w przypadku samego psalmisty da się zrozumieć tak przemożną świadomość własnej winy. Pieśń, z której pochodzi cytowany fragment, jest bowiem poetyckim wyrazem stanu świadomości króla Dawida, gdy ten dzięki słowom proroka Natana uświadomił sobie, co zrobił małżeństwu Batszeby i Uriasza: że żonę wykorzystał seksualnie, używając swego królewskiego autorytetu, a męża posłał na śmierć, rozkazując innym żołnierzom, by zostawili go samego w nierównej walce z Ammonitami.

My też robimy złe rzeczy – gotowi jesteśmy przyznać. Zdarza nam się krzywdzić ludzi wokół. Ale przecież nie aż tak – chcielibyśmy dodać od razu – jak Batszebę i Uriasza skrzywdził Dawid. Żyjemy najlepiej, jak umiemy. Czy nie czujemy więc czasem choćby ziarna wewnętrznego buntu, gdy religijna tradycja wskazuje na nas palcem i surowo mówi: „okaż skruchę, powtarzaj z przekonaniem: »moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina«”?

PETER MARLOW / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Może nawet pojawia się w naszej głowie myśl, iż rację mieli wielcy oskarżyciele chrześcijaństwa, jak Nietzsche, gdy pisali, że ta religia perfidnie obarcza swoich wyznawców ciężarem, by zaraz potem zaoferować sposób pozbycia się tego, nałożonego przez nią samą, brzemienia? I czy na skutek odebranego religijnego wychowania nie miotamy się pomiędzy wyuczonymi surowymi samooskarżeniami, pozbawiającymi nas życzliwości wobec samych siebie, a kompensacyjnym utwierdzaniem się w przekonywaniu: „co bym nie zrobił/a, jestem ok”, odbierającym zdolność dostrzegania, jaki – niekoniecznie dobry – wpływ na innych (a także na nas samych) ma nasz sposób życia?

Jezus w kluczowym miejscu swojego nauczania umieścił radę: „Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone. Dawajcie, a będzie wam dane; miarę dobrą, natłoczoną, utrzęsioną i opływającą wsypią w zanadrza wasze. Odmierzą wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie” (Łk 6, 37-38). Słowa rabbiego z Nazaretu są jasne: „jakim sądem sądzicie, takim was osądzą” (Mt 7, 2). Porzućcie zatem – radzi nam – grę w obwinianie (jak i w usprawiedliwianie, które jest drugą stroną obarczania winą). Porzućcie tę grę – mówi Mistrz – a wówczas i do was przestaną stosować się jej reguły. Porzućcie ją, a i wasze winy znikną na zawsze i całkiem – ta kategoria nie będzie się już do was stosować. Gdy porzucicie tę grę, zniknie jednocześnie potrzeba – a nawet sama możliwość – usprawiedliwiania się (bo i ono jest możliwe tylko tam, gdzie obowiązują reguły gry w sądzenie).

No dobrze, lecz co wówczas stanie się ze skruchą? Co, na przykład, z sugestią Ewagriusza z Pontu: „nade wszystko módl się o dar łez, abyś przez skruchę zniszczył właściwą twej duszy zatwardziałość, a po wyznaniu – wbrew sobie – nieprawości przed Panem otrzymasz od Niego przebaczenie”?

Gdy przestaniemy grać w obwinianie, z sugestii tej pozostanie pierwsza część: właśnie ta, która dotyczy daru łez i skruchy, która zmiękcza duszę. Gdy posłuchamy rady Jezusa, skrucha nie zaniknie, lecz ujawni swój prawdziwy sens. Ten, który prześwituje w słowach przypisanych Bogu przez proroka Ezechiela: „I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała” (Ez 36, 26).

Przeciwieństwem skruchy jest nie duma ze swoich uczynków, ale zatwardziałość serca. W skrusze nie chodzi o winę, ale o wrażliwość. Serce z ciała czuje – podatne jest na ból, ale i na piękno. Świadome jest, gdy ktoś (lub coś) je rani: zna swój strach, niepokój, wstręt i gniew. Zna i radość – tę dziką, i tę cicho wzruszoną. Zna gorące pragnienie i głęboki spokój. I – co równie ważne – potrafi współczuć wszystkim istotom, podobnie jak ono podatnym na zranienie i szczęście. Umie kochać – nawet gdy to boli – od trzewi po opuszki palców. ©℗

WOJCIECH

Bonowicz: *Przejście*

Frustracja – uczucie powszechne i ponad podziałami. Sfrustrowani są ci, którzy mają władzę, i ci, którzy władzy nie mają. Ci, którym odpowiada mniej więcej to, jak Polska wygląda, i ci, którzy chcieliby, żeby wyglądała inaczej. Chodzący do kościoła i tacy, którzy właśnie z Kościoła wychodzą. Ci, których niepokoją przyspieszające zmiany klimatu, i ci, którzy nie wierzą ani w przyspieszenie, ani w same zmiany, a wszelkie ograniczenia traktują jako zamach na wolność. Starsi i młodsi, mężczyźni i kobiety, mieszkający w dużych miastach i w małych miejscowościach. Niemal każda rozmowa o tym, jak jest i jak mogłoby być, utyka w pewnym momencie pod jakimś murem, jakąś przeszkodą, tabliczką z ostrzeżeniem „Przejścia nie ma". Nawet jeśli podczas rozmowy padają trafne spostrzeżenia i słuszne diagnozy, wnioski są na ogół przygnębiające. Wszędzie widać głównie niemożliwości.

Mam wrażenie, że ukształtował się wśród nas pewien typ człowieka. Można by go nazwać „człowiekiem bez wpływu". Może to typ człowieka, a może tylko postawa, w każdym razie chodzi o takie podejście do samego siebie, kiedy poczucie sprawczości jest niskie, niemal bliskie zera. Paradoks całej sytuacji polega na tym, że nawet ludzie aktywnie działający i zmieniający rzeczywistość – gdzieś w głębi siebie takiego „człowieka bez wpływu" noszą. Noszą, hodują, a może nawet hołubią. „Mam poczucie, że całe życie jadę na ręcznym. Że przyspieszam i hamuję równocześnie. I nie potrafię tego zmienić". Nie wiem, jak wielu z nas to dotyczy, ale niewątpliwie część naszego społeczeństwa jest w stanie, który psychologia określa mianem fiksacji funkcjonalnej: tego, co mamy do dyspozycji, nie potrafimy użyć inaczej, niż robiliśmy to w przeszłości. Mamy do dyspozycji wykształcenie, umiejętności, środki finansowe, intuicje i niemało wewnętrznej energii, ale nie potrafimy użyć ich na rzecz zmiany, wszystko jedno: politycznej, społecznej czy klimatycznej. Ostatecznie sprzyjamy raczej utrwalaniu tego, co jest, nawet jeśli nie jesteśmy z tego, co jest, zadowoleni. Przyspieszamy i hamujemy. Jedziemy, ale tak, jakbyśmy stali.

Owszem, powodów do frustracji nie brakuje. Z wielkim wysiłkiem, kosztem różnych wyrzeczeń budujemy państwo, które marnuje dużą część naszego wysiłku. Czujemy się oszukiwani, bo jesteśmy oszukiwani. Każdy zawód, każde rozczarowanie zostawia w nas osad, który utrudnia przepływ życiodajnej energii. Im bardziej świadomi jesteśmy globalnych wyzwań, tym bardziej coś się w nas kurczy i zaciska w pięść, ale ta pięść nie uderza, chyba że w nas samych, w nasz własny żołądek.

Nie, bynajmniej nie nawołuję do przemocy, do uprawiania polityki pięściami. Myślę tylko o tym, ile siły, pomysłowości, inwencji marnuje się pod wpływem poczucia bezsilności. Kiedy mówimy, złość kierujemy na zewnątrz – ale tak naprawdę kierujemy ją w siebie, siebie niszczymy, podcinając własną wiarę i własną nadzieję. Jeśli miałbym nawoływać do rebelii, to właśnie przeciwko nam samym, temu przekonaniu, że na nic nie mamy wpływu, że sprawy świata toczą się ponad nami.

Tak, są takie sprawy, które toczą się ponad nami. Jeśli jednak przyjmiemy optykę „człowieka bez wpływu", jeśli pozwolimy mu w nas rosnąć, zajmować coraz to nowe obszary, w końcu on nas zniszczy. W każdej kwestii mamy wybór. Nawet jeśli wychowywano nas przede wszystkim do posłuszeństwa, podporządkowania, poruszania się utartymi koleinami, i tak dalej. Nawet jeśli pragnienie poczucia bezpieczeństwa jest w nas silniejsze niż wszystko inne. Nietrudno buntować się wewnętrznie przeciwko tym, którzy kłamią, kradną, manipulują. Nietrudno piętnować bierność innych, zbiorową bezmyślność i bezczynność. Najtrudniej zbuntować się wewnętrznie przeciwko własnej woli, która może nawet i „chce", ale tylko trochę, tylko w połowie, ostrożnie, nie ryzykując. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

KATOWICE, środa 15 marca, spotkanie z Wojciechem Dingesem, „»Sekrety Chorzowa« oraz co nieco o kolei w Metropolii" / stacjonarne /

WARSZAWA, czwartek 16 marca, spotkanie z Edwardem Augustynem i Sebastianem Dudą, „Życie w wierze. Benedykt XVI" / stacjonarne /

WROCŁAW, piątek 17 marca, spotkanie dyskusyjne wokół tekstów ks. Michała Hellera „Znak zwycięstwa" oraz „A ja Wam powiadam" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

CZARNI Z CZARNEGO PASA

W Chicago miejsce zamieszkania determinuje poziom wykształcenia, zarobki i ryzyko śmierci od kuli. To jedno z najbardziej podzielonych rasowo miast w USA.

MARTA ZDZIEBORSKA Z CHICAGO

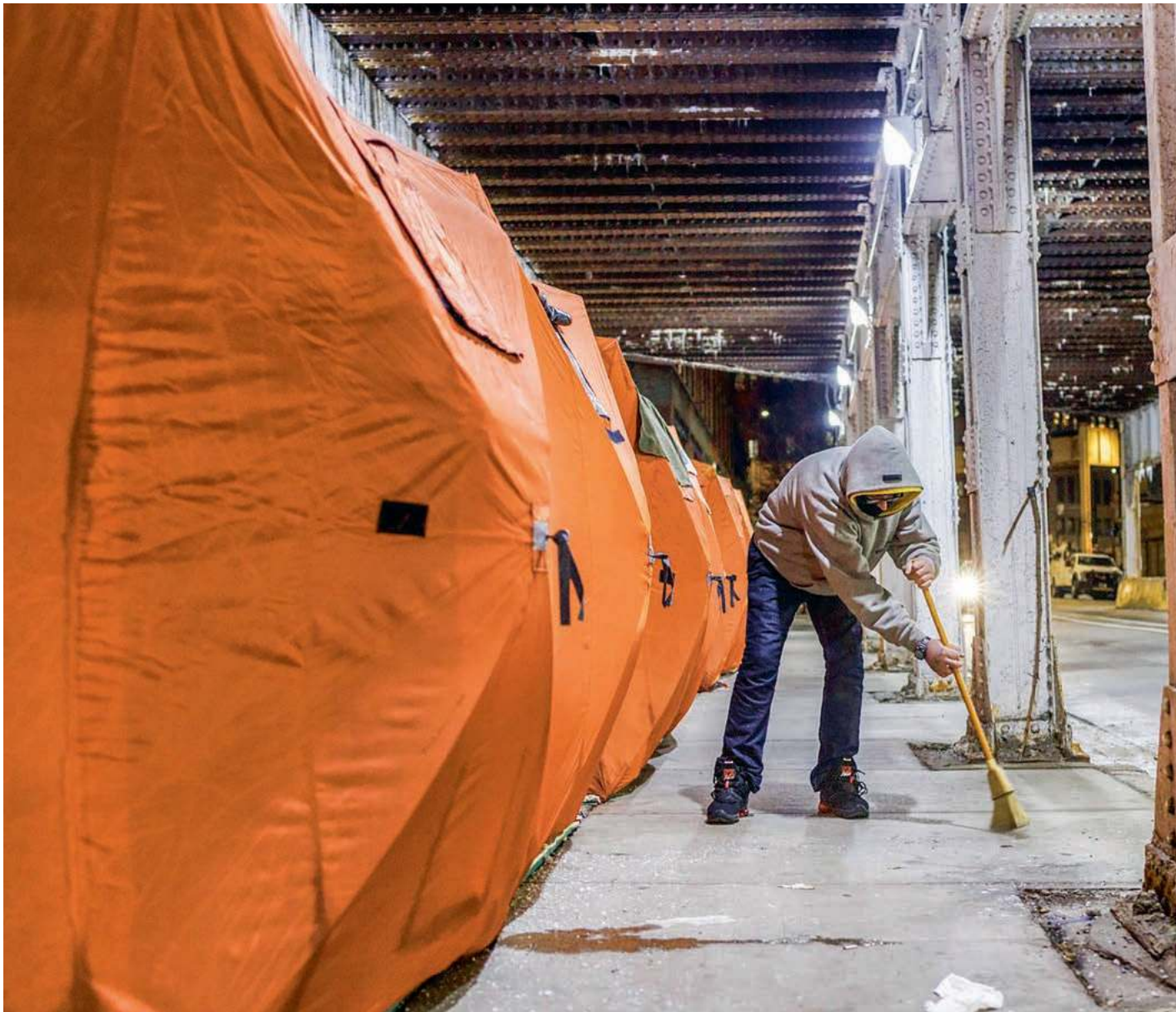

Skrzyżowanie Dearborn i Lake Street, wieje lodowaty wiatr. Czarnoskóry mężczyzna prosi o pieniądze przechodniów, którzy wylewają się z biurowców w centrum miasta. Nikt się nie zatrzymuje. Zniecierpliwiony Afroamerykanin potrząsa papierowym kubkiem, do którego – jak mi za chwilę wyjaśni – przez pół godziny nie uzbierał ani jednego dolara.

Gdy podchodzę do niego i mówię, że jestem dziennikarką z Polski, początkowo patrzy nieufnie, ale po chwili zaczyna rozmawiać. Derrick, bo tak ma na imię, mówi, że pochodzi z Englewood, czarnej dzielnicy Chicago, gdzie co czwarty mieszkaniec jest bezrobotny. Opowiada, że nie zawsze musiał tak jak dziś walczyć o przeżycie – jeszcze kilkanaście lat temu pracował w chicagowskiej fabryce produkującej żywność. Po jej zamknięciu, nie licząc tymczasowego dorabiania jako opiekun osób starszych, już się nie pozbierał.

Choć Derrick nie jest bezdomny, od lat żyje tylko z tego, co dostanie od ludzi lub znajdzie na ulicach. Jeśli szczęście mu nie dopisze, kładzie się spać głodny.

– Często modlę się, abym wracając z centrum do domu miał za co kupić jedzenie, a przy okazji nie dostał kulki w łeb. Tam, gdzie mieszkam, jest tak niebezpiecznie, że nikt przy zdrowych zmysłach nie chodzi wieczorami po ulicach. Spacer to luksus dla białych z downtown – mówi 61-letni mężczyzna podniesionym głosem.

ARMANDO L. SANCHEZ / ZUMA PRESS / FORUM

Miasteczko namiotowe dla bezdomnych przy North Milwaukee Avenue w Chicago, grudzień 2022 r.

Życie białe, życie czarne

Derrick po części ma rację. Podczas gdy biali mieszkają na północy i w okolicach centrum tego prawie trzymilionowego miasta, czarni i Latynosi dominują w zachodnich i południowych dzielnicach, gdzie szerzą się przestępczość, bieda i bezrobocie. To właśnie tam najczęściej dochodzi do strzelanin, porwań samochodów i włamań, które w ostatnich latach sprawiły, że Chicago stało się jedną z najniebezpieczniejszych amerykańskich metropolii.

W 2021 r. – najbardziej krwawym roku w Chicago od 25 lat – doszło do 797 zabójstw i ponad 3,5 tys. strzelanin. Takiej skali przemocy nie odnotowano nawet w bardziej zaludnionym Nowym Jorku czy Los Angeles. Szczególnie krwawo było w zachodnich dzielnicach Chicago, jak West Garfield Park, Austin i Lawndale, gdzie dochodziło statystycznie do 105 morderstw na 100 tys. mieszkańców. Dla porównania: w północnych rejonach miasta odnotowano nieco ponad trzy zabójstwa na 100 tys. mieszkańców.

O przepaści, jaka dzieli białe i czarne Chicago, świadczą również zarobki. Dochód na jednego mieszkańca Englewood wynosi zaledwie 15 tys. dolarów rocznie i jest sześciokrotnie niższy niż w Lincoln Park, jednej z najbogatszych dzielnic. Biali z Chicago żyją też dłużej: przeciętny mieszkaniec Streeterville dożyje 90 lat, gdy czarny z odległego o kilkanaście kilometrów Englewood umrze nawet 30 lat wcześniej.

Eksperci są zgodni: winne tej ogromnej przepaści są brak dostępu do dobrej ochrony zdrowia, gorsza infrastruktura i szkodliwy styl życia. „W Englewood nie ma parków przyjaznych dla rodzin, w sklepach brakuje świeżych warzyw i jest mało siłowni. Za to alkohol, papierosy i narkotyki dostępne są na każdym kroku" – mówiła Asiaha Butler, szefowa stowarzyszenia Resident Association of Greater Englewood, cytowana przez dziennik „Chicago Tribune".

Różnice między czarnym i białym Chicago amerykański pisarz Andrew Diamond ujął obrazowo, w swojej książce „Chicago on the Make" nazywając to miasto „kombinacją nowojorskiego Manhattanu zderzonego z Detroit" – gdzie Detroit uznawane jest dziś za jedną z najuboższych i najniebezpieczniejszych amerykańskich metropolii.

Strategie przetrwania

Społeczne kontrasty w Chicago widać w metrze. Z jego czerwonej linii, prowadzącej do South Side, biali pasażerowie znikają w okolicy przystanku Roosevelt. Dalej jadą tylko czarni i Azjaci; ci drudzy wysiadają w pobliskim Chinatown. Gdy zbliżam się do przystanku przy 79. ulicy, w moim wagonie jest zaledwie kilku pasażerów. Wszyscy starają się ignorować naćpanego najwyraźniej mężczyznę, który oferuje na sprzedaż papierosy, mrucząc pod nosem „*Squares, squares*". W chicagowskim slangu oznacza to „fajki".

Obojętność jest strategią przetrwania także w autobusie linii 79, do którego przesiadam się po wyjściu z metra w South Side. Po przejechaniu kilku przystanków, między starszą pasażerką a nastolatkiem wywiązuje się kłótnia. Kobieta wyraźnie podjudza chłopaka, obrzuca go wyzwiskami. Gdy robi się nerwowo, krzyczy do nastolatka, żeby do niej strzelił.

W tej części miasta nie są to niewiele znaczące zaczepki. Późnym wieczorem w autobusie tej samej linii doszło do kłótni między trójką mężczyzn. Jeden z nich był uzbrojony i postrzelił 40-letniego pasażera w nogę. Kilka dni wcześniej kulę w rękę dostała kobieta wychodząca z autobusu w dzielnicy East Chatham. Trafiła w sam środek strzelaniny, w wyniku której zginął 38-letni mężczyzna. Do incydentu doszło tuż po piętnastej.

– Nigdy nie wiesz, czy nie będziesz następny – mówi mi Kimberly Lymore ↦

MARTA ZDZIEBORSKA x2

Rozdawanie jedzenia w parafii św. Sabiny w Chicago, grudzień 2022 r.

↦ z katolickiej parafii św. Sabiny, którą poznaję przy restauracji na skrzyżowaniu Racine i 79. ulicy. Kimberly czuwa nad wydawaniem darmowych posiłków dla najbiedniejszych. Sznur czekających jest ochraniany przez patrol policji.

– W zeszłym tygodniu zastrzelono nastolatka zaledwie kilkaset metrów od szkoły – mówi Kimberly. – To było w South Side, wczesnym popołudniem. Innym razem postrzelono trzech braci stojących na ganku przed własnym domem. Jeden jest jeszcze w szpitalu. Wszyscy ci chłopcy korzystali z pomocy naszej parafii – Kimberly dodaje, że szerząca się przemoc to tylko wierzchołek góry lodowej. Wielu mieszkańców jest bezrobotnych, a jeśli już zarabiają, zwykle wykonują nisko płatne zajęcia, jak sprzątanie hoteli w centrum czy praca na kasie w supermarkecie.

– To są zajęcia, których nikt nie chce, i to my, czarni, najczęściej je wykonujemy – twierdzi Kimberly, która ukończyła uniwersytet i wychowała się na spokojniejszych przedmieściach Chicago.

Muszę do domu

Zbliża się szesnasta. Po darmowy posiłek fundowany przez parafię św. Sabiny ustawiają się teraz nie tylko emeryci i bezrobotni, ale też młodzi wracający z pracy.

Monique, 30-letnia pedagożka szkolna, mówi mi, że odkąd jej zarobki zżera wysoka inflacja, musi zaciskać pasa. – Co tydzień robię zakupy w kilku sklepach naraz, szukając najtańszych produktów. Nawet nasz pies to odczuł. Dostaje gorszą karmę, bo nas na nic lepszego nie stać – przyznaje Monique, która jako jedna z nielicznych zgodziła się na zdjęcie.

Reszta nie ma do tego głowy. Jake, na oko dwudziestoparolatek, przystaje tylko na chwilę, bo, jak tłumaczy, przyjechał tu samochodem z matką. Ta krzyczy, że trzeba się zbierać, bo zaraz będzie ciemno, a ona boi się strzelanin i po zmroku woli siedzieć w domu.

– Mama ma paranoję – Jake wyraźnie wstydzi się za matkę. – W South Side nie jest tak źle. Noszę przy sobie broń i czuję się bezpieczniej – przekonuje chłopak, który, jak przyznaje, już raz próbował się stąd wyrwać. Studiował biologię w sąsiednim stanie Michigan, ale ze względu na problemy rodzinne musiał rzucić naukę i wrócić do Chicago. Dziś jest kierowcą ciężarówki.

O tym, że młodzi nie mają tu czego szukać, przekonana jest Anthanette Marshbanks, której syn zginął od kul w 2012 r. Kobieta tłumaczy, że Archiego zastrzelili policjanci – do tragedii doszło, gdy funkcjonariusze poszukiwali sprawcy strzelaniny, która chwilę wcześniej wywiązała się w barze. Jak wynika z medialnych doniesień, chłopak, student, nie miał broni. Zginął w wieku 20 lat. Po jego śmierci Anthanette się rozsypała: odeszła z zawodu pielęgniarki i od kilku lat żyje z zasiłku dla niepełnosprawnych. Należy do organizacji Purpose over Pain, skupiającej rodziców, których dzieci zginęły od kul.

– To wszystko prawda, co mówią o południowym Chicago – mówi Anthanette. – Nie ma dnia, by w naszej części miasta nie doszło do strzelaniny. Jestem tym zmęczona. Nie można spokojnie stanąć na rogu ulicy czy usiąść w parku. Nawet w samochodzie nie czujesz się bezpieczna, bo nigdy nie wiesz, czy komuś nie przyjdzie do głowy, by podjechać na światłach i strzelić.

Anthanette dodaje, że wiele czarnoskórych dzieci wychowywanych jest w tej części miasta przez samotne matki lub ojców: – Albo któryś z rodziców odszedł, albo jest w więzieniu, albo nadużywa narkotyków. Dzieci chodzą samopas i nie mają nikogo, kto zachęcałby je do nauki i do wzięcia życia we własne ręce. Miałam szczęście, bo wychowałam się w pełnej rodzinie. Ojciec i matka zagrzewali mnie do odrabiania lekcji. My, czarni, musimy mieć więcej determinacji.

Kredyt dla wybranych

Podział na lepsze i gorsze Chicago to efekt długoletniej polityki segregacji rasowej. Już w latach 30. XX w. przybywający z Południa Afroamerykanie mieli osiedlać się między 12. a 79. ulicą oraz alejami Wentworth i Cottage Grove.

Aby nie opuszczali tzw. Czarnego Pasa (*Black Belt*), w białych dzielnicach wprowadzono zakaz wynajmu i sprzedaży domów czarnoskórym. Jednocześnie miasto wspierało białych Amerykanów poturbowanych przez kryzys gospodarczy, udzielając im korzystnych pożyczek hipotecznych. Na kredyt szans nie mieli czarni mieszkający w tzw. dzielnicach podwyższonego ryzyka.

Na dyskryminacji rasowej korzystali spekulanci, straszący białych, że napływ czarnych do ich dzielnic mocno obniży wartość nieruchomości. W efekcie takie dzielnice jak Englewood czy Lawndale pustoszały, a majętni Afroamerykanie byli gotowi zapłacić każdą cenę, by w nich zamieszkać.

Dzielnice tzw. podwyższonego ryzyka, zaznaczone czerwoną linią na mapach Chicago, wykluczone były z miej-

skich inwestycji, co pogłębiało biedę i przestępczość. W latach 80. XX w. było już tak źle, że czarne rejony miasta okrzyknięto siedliskiem gangów narkotykowych.

Lata niesprawiedliwej polityki miejskiej zrobiły swoje: jak wynika z badań ośrodka FiveThirtyEight, czarnoskórzy dalej mieszkają w rejonach, które oznaczone zostały niegdyś jako niebezpieczne. Afroamerykanom z Chicago wciąż trudno też o kredyt hipoteczny – tylko 35 proc. z nich posiada dom na własność. Niechęć do udzielania im pożyczek bankowych pokazują statystyki: w latach 2012-18 aż 68 proc. kredytów przyznano na zakup domów w białych dzielnicach, a zaledwie 8 proc. w czarnych i 9 proc. w latynoskich.

Jednocześnie rejony miasta, w których utknęli Afroamerykanie, inwestorzy zazwyczaj omijają szerokim łukiem. Jak podaje chicagowski ośrodek Urban Institute, między rokiem 2011 a 2017 na prywatne inwestycje w białych dzielnicach popłynęło pięciokrotnie więcej funduszy niż do czarnych rejonów miasta, i trzy razy więcej niż do latynoskich. W południowym i zachodnim Chicago od lat kuleją inwestycje w drogi i transport publiczny, brakuje tam nawet sklepów spożywczych.

Problem pogłębia szerząca się przestępczość: w 2022 r. w dzielnicach Englewood i Auburn Gresham zamknięto supermarkety sieci Whole Foods i Aldi – jako powód podano plagę kradzieży i włamań.

Szkoła jak więzienie

To, jak pomijane przez lata były uboższe rejony, pokazuje skandal z 2013 r. Cały świat usłyszał o protestach tysięcy nauczycieli i aktywistów sprzeciwiających się zamknięciu w Chicago ponad 50 szkół publicznych.

Walcząc z deficytem budżetowym, władze wzięły na celownik placówki głównie w południowych i zachodnich dzielnicach, gdzie spadała frekwencja i uczniowie mieli gorsze wyniki niż ich biali rówieśnicy. O warunkach w niedoinwestowanych szkołach mówił trzy lata później ówczesny gubernator stanu Illinois Bruce Rauner, nazywając je „fatalnymi" i przypominającymi „popadające w ruinę więzienia".

Nierówne szanse w szkolnej ławce zaczęły rysować się wiele dekad wcześniej.

Monique z siatką, w której niesie posiłek ufundowany przez parafię św. Sabiny. Chicago, grudzień 2022 r.

Podczas gdy w przeciętnej podstawówce dla białych uczyło się ok. 700 uczniów, szkoła dla czarnych musiała pomieścić ok. 1200 dzieci. Aby rozluźnić tłok w salach, lekcje organizowano w dwóch czterogodzinnych turach na parkingu przed szkołą.

Dopiero gdy w połowie lat 50. XX w. Sąd Najwyższy USA uznał segregację w szkołach za niekonstytucyjną, rozpoczęto politykę dowożenia czarnoskórych dzieci do szkół dla białych, co spotkało się z protestami mieszkańców. Choć dziś oficjalnie segregacji rasowej nie ma, w Chicago, podobnie jak w całych Stanach, rysuje się wyraźny podział na szkoły białe, czarne i latynoskie, do których płynie nierówny strumień pieniędzy.

O realiach panujących w chicagowskich szkołach mówiła była pierwsza dama Michelle Obama. Na łamach „New York Timesa" wyjawiła, że mogła pójść do liceum dla szczególnie uzdolnionych tylko dlatego, że rząd federalny zmusił Ratusz do przyjmowania w tego rodzaju placówce także czarnych uczniów.

Odwrócony trend

Przemoc i trudne warunki życia w południowym i zachodnim Chicago sprawiają, że coraz więcej czarnoskórych decyduje się na przeprowadzkę do mniejszych miast w stanie Illinois (na jego terenie leży Chicago) lub w sąsiednim stanie Indiana. „New York Times" szacuje, że tylko w dwóch ostatnich dekadach z Chicago wyprowadziło się ponad 200 tys. Afroamerykanów. Mówi się już o odwrocie procesu wielkiej migracji, która przywiodła tutaj w latach 40. XX w. wielu mieszkańców amerykańskiego Południa.

Kimberly Lymore z parafii św. Sabiny: – Czarni mają dość. Wyprowadzają się z Chicago, bo nie chcą posyłać dzieci do kiepskich szkół i narażać je na przemoc na ulicach. Mieszkający tu młodzi nie mogą poradzić sobie z traumą. Tak wielu straciło przyjaciół w strzelaninach. To nie jest normalne miejsce do życia.

Szerząca się przestępczość zaczyna wypychać z Chicago także przedsiębiorstwa, i to nawet z białych dzielnic. W ubiegłym roku wyprowadzkę z miasta ogłosił Boeing, producent drobiu Tyson Woods i fundusz hedgingowy Citadel należący do Kena Griffina, najbogatszego człowieka w stanie Illinois. Ta ostatnia firma opuści siedzibę w bogatej dzielnicy Loop, gdzie bardzo wzrosły statystyki przestępczości. „Wielu z moich kolegów zostało napadniętych z bronią w ręku. Jednego dźgnięto nożem w drodze do pracy (...). W takich warunkach trudno przyciągnąć nowych pracowników" – mówił Griffin w rozmowie z chicagowską telewizją NBC5.

■■■

O tym samym problemie mówił Chris Kempczinski, prezes koncernu McDonald, mającego główną siedzibę w Chicago. Wyzwaniem dla tej amerykańskiej i międzynarodowej sieci są tutaj również pogarszające się warunki w restauracjach. „W naszych lokalach dochodzi do przemocy, zdarzają się przypadki przedawkowania narkotyków. Mamy problem z bezdomnymi. Widzimy w mikroskali to, co dzieje się w społeczeństwie" – mówił Kempczinski, cytowany przez stację ABC7.

W czarnych dzielnicach Chicago nie trzeba iść do restauracji McDonalda, żeby to zauważyć. Wystarczy wyjść z domu. Albo wejść do metra.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

AUREL OBREJA / AP / EAST NEWS

Marina Tauber, wiceprzewodnicząca prorosyjskiej Partii Șor, na wiecu antyrządowym w Kiszyniowie, 28 lutego 2023 r.

Pole manewru

PIOTR OLEKSY

Czy Mołdawia stanie się kolejnym celem Kremla? Do niedawna jej władze nie mówiły o tym głośno, by dodatkowo nie drażnić Rosji i nie straszyć obywateli. Teraz to się zmieniło.

Korpulentna kobieta w średnim wieku energicznym krokiem wysiadła z autobusu. W ręku trzymała plik kartek. Po niej, już znacznie mniej energicznie, wysiadali inni pasażerowie. W większości starsi; ich ubóstwo było widoczne na pierwszy rzut oka. Kobieta przeglądała plik, co chwila kogoś o coś dopytywała, po czym przeszła do sprawdzenia obecności.

Gdy opanowała początkowy rozgardiasz, rzuciła zdecydowanym tonem: „ruszamy!".

Ile za protest

Wkrótce grupa dołączyła do innych podobnych, tworząc kolumnę, która kierowała się pod parlament Republiki Mołdawii w Kiszyniowie. W tłumie dało się słyszeć kwoty: 50 lej, 100 lej. Uczestnicy protestu nie mieli jasności, jaką sumę otrzymają za udział w proteście. Partia Șor, organizatorka wydarzenia, mogła przecież proponować różne stawki.

Pod parlamentem zgromadziło się nawet 6 tys. osób, tłum sięgał aż placu Wielkiego Zgromadzenia. Dominowali ludzie starsi, ubodzy, przyszło wiele osób z niepełnosprawnościami. Ze sceny padały słowa troski o „prostego człowieka", były żądania ustąpienia prezydentki Mai Sandu oraz rządzącej Partii Działania i Aktywności (PAS).

Kilkukrotnie odtańczono tradycyjną horę, a w kulminacyjnym momencie na telebimie pojawił sam Ilan Șor, przywódca partii. Nie mógł być obecny na żywo, gdyż od kilku lat ukrywa się przed mołdawskim wymiarem sprawiedliwości w Izraelu, którego również jest obywatelem. Oligarcha jest oskarżany o stworzenie procederu, który doprowadził do „kradzieży stulecia" – w 2014 r. w ciągu kilku dni z trzech mołdawskich banków zniknął miliard dolarów.

Teraz z telebimu Șor mówił, że Sandu i rząd dbają wyłącznie o interesy swych zachodnich mocodawców. Gdyby dbali o Mołdawian, znaleźliby sposób, by dogadać się z Rosją w sprawie tańszego gazu. Obecnie – ciągnął przewodniczący Șor – na geopolitycznej rywalizacji tracą prości ludzie, a rachunki za ogrzewanie wzrosły siedmiokrotnie. Kilkanaście dni wcześniej kremlowscy propagandyści namaścili Șora na „przywódcę mołdawskiej opozycji".

Groźba przewrotu

Tak wyglądał jeden z najliczniejszych protestów organizowanych przez Partię Șor. Odbył się we wrześniu 2022 r. Mia-

łem możliwość obserwować go z bliska. Podobne manifestacje miały miejsce jesienią, nie wzbudzały jednak tak dużego zainteresowania mediów jak ostatnia – z 28 lutego 2023 r.

Była co prawda mniej liczna, doszło w jej trakcie do przepychanek z policją (co też nie było wyjątkiem), ale co najważniejsze, pojawił się nowy kontekst: od połowy lutego coraz głośniej słychać, że Rosja planuje przewrót w Mołdawii. Najpierw ostrzegał o tym prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, potem informację potwierdziła Maia Sandu. Z powodu obaw o bezpieczeństwo państwa nie wpuszczono do kraju grupy serbskich kibiców i czarnogórskiej drużyny bokserskiej – informacje wywiadowcze miały wskazywać, że obywatele tych państw mają być zaangażowani w próbę przejęcia kontroli nad budynkami rządowymi. Protesty organizowane przez lokalne siły polityczne miałyby zaś dawać wrażenie społecznego poparcia dla przewrotu.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, na ile realne było to zagrożenie w tym właśnie momencie. Prozachodnia Mołdawia jest solą w oku Kremla. Zainstalowanie tu prorosyjskiego rządu pozwoliłoby odtrąbić sukces, którego Rosji ostatnio brakuje. Spolegliwość Mołdawii dałaby też Kremlowi szansę na wykorzystanie jej geograficznego położenia, być może nawet w celu przerzutu wojska na południowo-zachodnią Ukrainę.

Jednak w tym samym czasie, gdy podniesiono problem rosyjskiego zagrożenia, w Kiszyniowie dokonywano rekonstrukcji rządu. Miejsce Natalii Gavrility, premierki od sierpnia 2021 r., zajął Dorin Recean, doradca prezydentki ds. bezpieczeństwa, a wcześniej szef MSW. Zmianę wymusiły spadające poparcie i konieczność przyspieszenia reform, zwłaszcza gospodarki i wymiaru sprawiedliwości, a także rozliczenia licznych afer korupcyjnych. Pojawia się zatem pytanie: czy gdyby Maia Sandu i PAS na poważnie rozważali groźbę przewrotu, zdecydowaliby się na rekonstrukcję rządu akurat teraz?

Nowa asertywność

Nie oznacza to jednak, że zagrożenie rosyjskie jest nierealne. Przeciwnie – prozachodni obóz władzy mierzy się z nim na poważnie co najmniej od roku.

Do niedawna Kiszyniów wolał o nim głośno nie wspominać, by dodatkowo nie drażnić Kremla i nie straszyć społeczeństwa. Teraz to się zmieniło. Władze mówią też o konieczności międzynarodowego wsparcia Mołdawii. To duża zmiana, gdyż formalnie jest to państwo neutralne i duża część społeczeństwa wierzy, że owa neutralność oddala wszelkie zagrożenia oraz odsuwa konieczność rozwoju zdolności obronnych. W wywiadzie dla „Politico" Maia Sandu mówiła w styczniu, że jej kraj będzie musiał związać się z większym sojuszem. Nazwa NATO nie padła, jednak sygnał był oczywisty. Prezydent USA Joe Biden nie przypadkiem wspomniał w Warszawie Sandu i Mołdawię – niemal niedostrzegalny do niedawna kraj został wskazany jako element rywalizacji strategicznej z Rosją.

Asertywność, którą zyskał ostatnio Kiszyniów, jest możliwa dzięki dywersyfikacji dostaw energii. Do niedawna Mołdawia była uzależniona od rosyjskiego gazu, a energię elektryczną kupowała w większości z elektrowni znajdującej się w separatystycznym i prorosyjskim Naddniestrzu. Obecnie surowiec kupowany od Gazpromu jest kierowany jedynie na potrzeby tej nieuznanej republiki, natomiast pozostała część kraju korzysta z gazu kupowanego na rynkach europejskich. Dzięki synchronizacji sieci energetycznych Mołdawia mogła jesienią kupować prąd na rynkach europejskich. W grudniu odnowiono umowę z naddniestrzańską elektrownią, jednak władze separatystycznej republiki wiedzą już, że od teraz to Kiszyniów dyktuje warunki.

Kuszenie Tyraspola

Dywersyfikacja źródeł energii zmieniła układ sił między Kiszyniowem a Naddniestrzem. Obecnie Moskwa i Tyraspol, stolica separatystycznego regionu, nie mają już możliwości stosowania szantażu energetycznego. Tymczasem Naddniestrze, którym rządzi lokalna elita biznesowa, gospodarczo żyje głównie z handlu z Unią Europejską. W tej kwestii jest więc zależne od Mołdawii, co tej ostatniej daje możliwość wywierania nacisku. Kiszyniów, także przy wsparciu amerykańskich dyplomatów, zaczyna z niej korzystać. Liczy na to, że oligarchowie z Naddniestrza zrozumieją, że ich przyszłość i bezpieczeństwo będą wyglądać lepiej po zbliżeniu z Zachodem, a nie Rosją. Ten proces wspiera również Ukraina, która chętnie pozbyłaby się problemu prorosyjskiego terytorium u swych południowo-zachodnich granic.

Spośród więzi, które łączyły dotąd Tyraspol z Moskwą, największe znaczenie ma 1,5 tys. stacjonujących tu rosyjskich żołnierzy oraz tożsamość mieszkańców, którzy przez dekady postrzegali Rosję jako swego jedynego obrońcę. W ostatnich dniach Kreml stara się wykorzystać oba czynniki, nieustannie strasząc ukraińską interwencją wojskową w Naddniestrzu. Podsyca to strach i niepewność w całej Mołdawii. Rosja liczy zapewne na to, że ludność Naddniestrza, która nie przyjęła inwazji na Ukrainę z entuzjazmem, będzie dzięki temu przychylniej patrzeć na rosyjskie wojsko.

Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia w maju 2022 r., gdy w Tyraspolu i okolicach doszło do tajemniczych zamachów, o które Rosja oskarżyła ukraińskich dywersantów (na szczęście nikt w nich nie ucierpiał). Również dziś Kreml może tworzyć pretekst do użycia armii w celu zdyscyplinowania lokalnej elity polityczno-biznesowej.

Rosji jest trudniej

Mołdawianie od ponad roku żyją w cieniu rosyjskiej inwazji na sąsiada. Doświadczyli kryzysu uchodźczego (przyjmując największą liczbę Ukraińców w przeliczeniu na mieszkańca), wzrostu cen energii, paliwa i innych produktów, a także coraz większej niepewności odnośnie do stabilności państwa. Gdy wiosną 2022 r. realna była jeszcze groźba rosyjskiego ataku na Odessę, przyszłość Mołdawii stanęła pod znakiem zapytania.

Moskwa nieustannie wykorzystuje ten lęk oraz kryzys społeczno-ekonomiczny. Ludzie tacy jak Ilan Șor, którzy przez lata doprowadzali państwo do ruiny, wyciągają teraz na ulicę tych, którzy zastanawiają się, za co przeżyć każdy kolejny dzień. Widać też równocześnie, że w Mołdawii zachodzą zmiany, które ograniczają pole manewru Rosji. Do tego stopnia, że nawet wobec tradycyjnie prorosyjskiego Naddniestrza Moskwa musiała powrócić do swych klasycznych narzędzi: dezinformacji i podsycania strachu. ©

Wojna, moja codzienność

DARIUSZ KAŁAN Z SARAJEWA, MOSTARU I GRABOWICY

W Bośni i Hercegowinie do dziś nie odnaleziono szczątków ponad 7 tys. ofiar wojny z lat 90. XX wieku. Determinacja ich bliskich przechodzi na kolejne pokolenia – razem z poczuciem niesprawiedliwości i bezradności.

Podróż Aidy do przeszłości rozpoczęła się półtora roku temu od wyjazdu na bośniacką prowincję. To tam, w miasteczku Kalinowik, w lipcu 1992 r. jej wujek został aresztowany. Przez kilka dni przetrzymywano go w składzie prochu, a następnie zamordowano w stodole razem z 23 innymi mężczyznami.

Wujek Abdurahman Filipović – lub Braco (Młodszy brat), jak nazywali go najbliżsi – od zawsze był obecny w życiu Aidy, choć w chwili jego śmierci miała trzy lata i w ogóle go nie pamięta.

Pamięta za to wyniszczającą serię emocji – od nadziei przez rozczarowanie po ból i zniechęcenie – których doświadczała jej matka na wieść, że znaleziono jego szczątki. I potem, gdy okazywało się, że to ktoś inny. Bo Braco jest jedną z ponad 7,6 tys. osób zaginionych podczas wojny w Bośni i Hercegowinie z lat 1992-95, których do dziś nie odnaleziono ani nie zidentyfikowano w masowych grobach.

Aida była świadoma jego istnienia. Ale dopiero gdy sama zbliżała się do jego wieku w chwili śmierci, Braco – zjawa ze wspomnień opowiadanych przy rodzinnym stole oraz z czarno-białych fotografii – nagle stał się realnym człowiekiem.

– Zdałam sobie sprawę, że teraz bym go zrozumiała – mówi Aida Hadžimusić, 34-letnia dziennikarka pracująca w kanale telewizyjnym Al Jazeera Balkans. – On byłby w moim wieku, a ja przestałam być małą dziewczynką. To zmieniło mój punkt widzenia.

Postanowiła zatem pojechać do Kalinowika, odnaleźć miejscowych, którzy go znali, i nakręcić o nim film. – Moją misją stało się opowiedzenie jego historii – mówi.

Za dużo problemów

Pod wieloma względami Aida jest wyjątkiem. Mnogość trudności w Bośni i Hercegowinie – wysokie bezrobocie i ograniczone możliwości ekonomiczne, wszechobecna korupcja, zła jakość powietrza czy rosnące ceny czynszów – sprawia, że dla wielu młodych Bośniaków zbyt trudne jest ponowne przeżywanie wojny, która zakończyła się prawie 30 lat temu. Wielu woli wyjechać z kraju: według badania ONZ z 2021 r. czasową lub stałą emigrację rozważa 47 proc. Bośniaków w wieku 18-29 lat.

– W naszych rozmowach z lokalnymi stowarzyszeniami rodzin zaginionych często wskazywana jest kwestia ograniczonego zaangażowania młodzieży – przyznaje Marko Matović z Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, jednej z organizacji wspierających tych, którzy uczestniczą w poszukiwaniu zaginionych.

Według Instytutu Osób Zaginionych w Bośni i Hercegowinie podczas tamtej wojny zaginęło ponad 32 tys. osób, z czego do dziś odnaleziono szczątki ok. 24 tysięcy.

Jest jeszcze jeden powód niewielkiej aktywności młodych: niektórzy rodzice sami separują ich od przeszłości.

– Kiedyś rozmawiałem z kobietą, która od wielu lat mieszka za granicą. W pewnym momencie odnaleziono szczątki jej męża, który zaginął w czasie wojny. Powiedziała mi, że podczas poszukiwań nalegała, żeby nie mieszać w to dzieci. Chciała je ochronić przed cierpieniem – wspomina Matović.

Aida otwarcie rozmawiała z matką o losie Braco. Jednak jej dalsza rodzina rzadko wraca do tego tematu. Jest zbyt bolesny.

Chcę zrozumieć

Kalinowik to miasteczko w Republice Serbskiej, jednej z dwóch autonomicznych jednostek Bośni i Hercegowiny, położone ok. 70 km na południe od Sarajewa. W tym zdominowanym przez Serbów regionie Abdurahman Filipović pracował jako lekarz. Był muzułmaninem, ale dopóki nie wybuchła wojna, nie miało to większego znaczenia. Ostatecznie te dwa czynniki przypieczętowały jego los: zgodnie z etyką lekarską postanowił zostać w ogarniętym wojną Kalinowiku i tu umarł, bo wyznawał inną religię niż jego zabójcy.

Dzisiaj wiele miejsc kaźni, w których przetrzymywano i mordowano bośniackich muzułmanów, nie ma tablic pamiątkowych. Przy wjeździe do miasta stoi zaś pomnik z wizerunkiem serbskiego generała Ratka Mladicia, zbrodniarza wojennego, w tych stronach uznawanego za bohatera narodowego.

– W tej części kraju powszechne jest wypieranie przeszłości – mówi Aida. – Gdy kręciłam wywiad z jednym mieszkańcem, obok przejechał samochód. Kierowca zwolnił i na nas zatrąbił. Miejscowi umieją sprawić, żebym poczuła się tam niemile widziana.

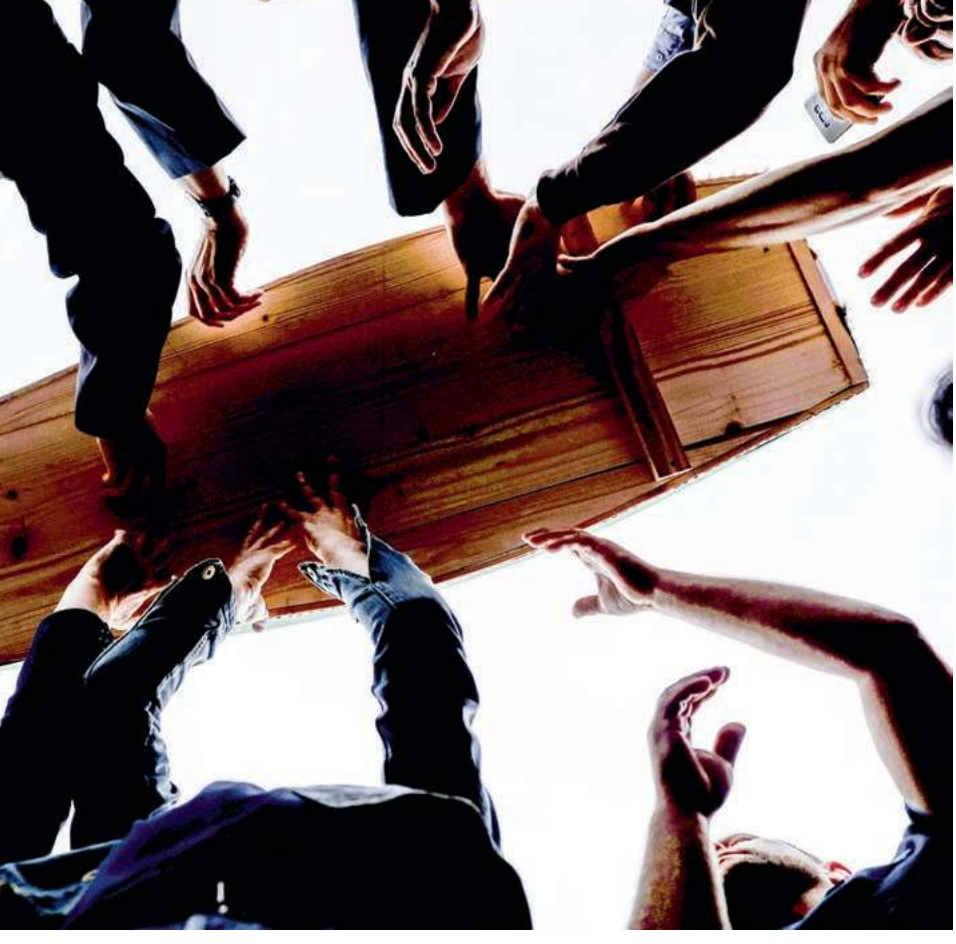

ARMIN DURGUT / AP / EAST NEWS

Bośniaccy muzułmanie przenoszą szczątki ofiar ludobójstwa w Srebrenicy. Potočari, Bośnia, lipiec 2022 r.

Jej podróże do Kalinowika w sierpniu 2021 r. i kwietniu 2022 r. zaowocowały nieoczekiwanymi odkryciami. Braco, znany jako jowialny brat łata, okazał się kobieciarzem. Ten zaskakujący fakt doprowadził Aidę do być może najcenniejszego znaleziska: złotego pierścionka, który podarował jednej ze swoich dziewczyn. Aida spotkała się z tą kobietą, która oddała jej pierścionek i wyznała, że usłyszała wtedy od Braco: „Jeśli przyjdą mnie aresztować, weź ten pierścionek i uciekaj jak najdalej". Od tamtej pory Aida nosi pierścionek na środkowym palcu lewej dłoni.

Jej wysiłki, by odkryć prawdę o losie wujka, są motywowane zawodową pasją do opowiadania historii i osobistym pragnieniem zapewnienia matce spokoju: – Czasami Braco odwiedza ją nocami. Wydaje się jej, że czuje zapach jego skóry. Budzi się i zdaje sobie sprawę, że to tylko sen. Gdy widzę, jak bardzo dotyka ją ta historia, też to przeżywam.

– Ale, jak sądzę, przede wszystkim chcę wiedzieć – dodaje Aida. – Chcę zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi musiało zginąć. Dlaczego doszło do Srebrenicy. Po prostu tego nie rozumiem.

Wspólny ból

Simeon Dželetović poszukiwaniem szczątków swojego wujka Milenka zajmuje się od czasów szkoły średniej. Otwarcie rozmawia o wojnie z przyjaciółmi – i z każdym, kto chce słuchać.

Oto zadanie, które wziął na swoje barki: informować, edukować i pilnować, by to się nie powtórzyło.

Pod wieloma względami wojna to dla niego kolejne codzienne wyzwanie. I nie ma znaczenia, że ma dopiero 24 lata.

Bez własnych wspomnień, o wojnie oraz o wujku Simeon najwięcej dowiedział się od matki, siostry Milenka i szefowej jednego z serbskich stowarzyszeń rodzin zaginionych. Ale, jak mówi, od początku konfrontował tę wiedzę z osobami z innych grup etnicznych.

– Tęsknota za zaginionymi bliskimi to wspólny ból mieszkańców Bośni – twierdzi.

Urodzony i wychowany w Mostarze – malowniczym i wieloetnicznym mieście w południowej Bośni i Hercegowinie, z ikonicznym mostem i wieloma innymi przykładami architektury islamskiej – Milenko wykształcił się na inżyniera, ale pracował jako rybak. Lata poszukiwań nie przybliżyły Simeona do odpowiedzi na pytanie, jak zginął.

– Nieczęsto o nim rozmawiamy, bo zawsze kończy się dużymi emocjami i łzami – przyznaje Simeon. Pamięta jednak, jak cieszył się, kiedy matka powiedziała mu, że Milenko, wesoły i towarzyski, był podobny z charakteru właśnie do niego. Z kolei z wyglądu przypominał jego brata Đorđego. – Im jestem starszy, tym częściej o nim myślę. Słyszę od znajomych, jak spotykają się ze swoimi wujkami. Jeżdżą na wycieczki czy idą do restauracji. Życie z nim na pewno byłoby łatwiejsze. I dla mnie, i dla mojej mamy.

Stara się zrozumieć tych, którzy uważają, że Bośnia powinna bardziej skupić się na przyszłości niż przeszłości: – Niedobrze jest mówić tylko o tym, co było, ponieważ mamy tak wiele problemów w teraźniejszości. Ale bez rozwiązania problemów z przeszłości nie będziemy żyć normalnie ani teraz, ani później.

25-letni Milenko Dželetović był jednym z tysięcy Serbów z Mostaru i doliny Neretwy, którzy w czerwcu 1992 r. zostali zmuszeni do opuszczenia miasta w ramach kampanii czystek etnicznych koordynowanej przez siły chorwackie. Na cmentarzu w Mostarze na szczątki Milenka czeka zarezerwowane miejsce – obok jego zmarłych rodziców.

Cierpienie dziedziczone

Zapytana, dlaczego niektórzy młodzi, jak Aida i Simeon, poświęcają czas na odkrywanie losów zaginionych bliskich – których często nigdy nie poznali – Alma Bravo-Mehmedbašić zapala papierosa i po chwili odpowiada: – Po pierwsze, żeby potwierdzić, że nie są numerami. Że mają nazwiska, jakieś korzenie, tożsamość.

Bravo-Mehmedbašić jest psychiatrką z ponad 30-letnim doświadczeniem w pracy nad traumą powojenną. Podczas wojny prowadziła praktykę lekarską w Sarajewie, które przez prawie cztery lata było oblężone przez siły serbskie.

– Po drugie – wylicza, kiedy rozmawiamy w jej gabinecie w centrum Sarajewa – oni domagają się prawnego i moralnego zadośćuczynienia za to, co stało się z ich bliskimi. Chcą sprawiedliwości. ↦

↦ Bravo-Mehmedbašić twierdzi, że udręka oczekiwania połączona jest z poczuciem niesprawiedliwości i bezradności, bo wielu sprawców nie zostało osądzonych, a zmowa milczenia na tematy związane z wojną jest nadal powszechna w lokalnych społecznościach. Młodzi odziedziczyli to po rodzicach. Choć w wielu bośniackich rodzinach o wojnie się nie rozmawia – nadal stanowi tabu, ze względu na bolesne wspomnienia starszych pokoleń lub pragnienie oszczędzenia cierpienia dzieciom – dyskomfort psychiczny jest odczuwany instynktownie przez młodzież i ma ogromny wpływ na ich własne życie.

To zjawisko psychologiczne zwie się „traumą transgeneracyjną" i oznacza przekazywanie trwałego urazu psychicznego kolejnym pokoleniom. Jeśli owa trauma nie zostanie odpowiednio przepracowana, może – w najgorszym przypadku – prowadzić do obniżenia samooceny, depresji, zaburzeń lękowych, przemocy, nadużywania narkotyków lub poważnych dolegliwości fizycznych. Może też przerodzić się w aktywizm, a nawet poszukiwanie zemsty.

– Po trzecie – tłumaczy psychiatrka – czują się zobowiązani wobec bliskich. Chcą zachować pamięć o nich przez postawienie grobu. Bez grobu to tak, jakby się nigdy nie istniało.

Bravo-Mehmedbašić dodaje: – Trudno powiedzieć, kiedy trauma się skończy. Wiele zależy od tego, jak młodsze pokolenia sobie z nią poradzą. Z mojego doświadczenia wynika też, że nie ma różnicy w sposobie jej przeżywania przez ludzi z różnych grup etnicznych, niezależnie, czy są to bośniaccy muzułmanie, Serbowie czy Chorwaci.

Urzekający las nad Grabowicą

Jednak szansa, że owa kolektywna trauma zjednoczy skonfliktowane społeczności Bośni, nie jest duża. Równie mało prawdopodobne wydaje się, że wojna nie będzie miała wpływu na następne pokolenia. Bo istnieje zbyt wiele równoległych i sprzecznych ze sobą narracji historycznych, i za dużo negatywnych emocji związanych nie tylko z tym, co wydarzyło się podczas wojny, ale też po niej, gdy wielu winnych uniknęło sprawiedliwości.

– To nasza rzeczywistość, bez prawdy nie ma nic, a każde kłamstwo prowokuje kolejne kłamstwo. Tutaj każda społeczność ma swoją własną prawdę – tłumaczy Goran Zadro. Jego dwaj synowie są jeszcze za mali, żeby rozmawiać z nimi o wojnie. Ale jak tylko będą gotowi, Goran opowie im, co się stało z ich krewnymi.

Goran, jego brat Zoran i ich przyjaciel jako jedyni przeżyli masakrę chorwackich cywilów we wsi Grabowica we wrześniu 1993 r. Wśród 33 osób okrutnie zamordowanych przez wojska armii bośniackiej byli wszyscy krewni braci: ich ojciec Mladen i matka Ljubica, dziadek Ivan i babcia Matija oraz 4-letnia siostra Mladenka. W czasie rzezi Goran i Zoran mieli dziewięć i jedenaście lat.

Grabowica to wieś między Sarajewem a Mostarem, przedzielona rzeką Neretwą, która ciągnie się do chorwackiego wybrzeża Adriatyku, wśród urzekającej górskiej i leśnej scenerii. W tych lasach Goran i Zoran znaleźli schronienie, gdy Bośniacy wkroczyli do Grabowicy. Ukrywali się cały dzień. Po powrocie do wsi zastali zmasakrowane ciała bliskich i sąsiadów.

Są częścią mnie

Rozmawiamy w barze w Grabowicy, a potem jedziemy na cmentarz na wzgórzu, gdzie pochowani są ojciec i dziadkowie Gorana. Ciał jego matki i siostry nie odnaleziono. Goran waha się, kiedy pytam, czy czuje, że miał szczęście, że przeżył: – Naprawdę nie wiem. Wiem za to, że życie jest darem. Ludzie często nie szanują go wystarczająco.

– Często o nich myślę, nie da się tego uniknąć. To część mnie. Jak o nich pamiętamy, oni żyją w nas. Ale prowadzę zupełnie normalne życie. Jestem szczęśliwy. Skończyłem studia, mam pracę, rodzinę. Moje życie jest naprawdę w porządku – opowiada Goran, 40-letni inżynier informatyk zatrudniony w elektrowni wodnej. Mieszka w Mostarze, 30 minut autem od Grabowicy.

Życie bez pradziadków, dziadków i ciotki stało się czymś naturalnym dla jego synów, którzy, jak wierzy Goran, będą kontynuować starania o odnalezienie bliskich i umieszczenie ich w rodzinnym grobie. Nie boi się, że ta sztafeta pokoleń pogłębi podziały w Bośni.

– Wszystko zależy od tego, jak przedstawi się przeszłość – Goran przyznaje, że łatwo zarazić kolejne pokolenia toksycznymi emocjami: gniewem i nienawiścią. – Ale oni przecież muszą wiedzieć, co wydarzyło się w ich własnym kraju. Zasługują na to. Tylko tak mogą sprawić, że to się więcej nie powtórzy.

© DARIUSZ KAŁAN

Artykuł został przygotowany w ramach BIRN's Reporting Democracy Travel and Reporting Programme.

DARIUSZ KAŁAN x3

SIMEON DŽELETOVIĆ *uważa, że bez rozwiązania spraw z przeszłości Bośnia nie będzie normalnie żyć.*

AIDA HADŽIMUSIĆ *pokazuje złoty pierścionek należący do jej zaginionego wujka.*

GORAN ZADRO *na cmentarzu w Grabowicy, na którym pochowani są jego ojciec i dziadkowie.*

Pierścienie władzy

PAWEŁ BRAVO

Proatlantycka postawa Giorgi Meloni nie jest oczywista w kontekście wpływów Moskwy wśród włoskich polityków.

CHIGI PALACE PRESS OFFICE / ZUMA PRESS / FORUM

Mateusz Morawiecki i Giorgia Meloni, Warszawa, 20 lutego 2023 r.

Paradox Cafe sci-fi & fantasy asylum – to nie brzmi jak nazwa miejsca, w którym premier Polski podejmuje wizytujące głowy państw i szefów rządów. Tymczasem w kafejce o tej nazwie na warszawskim Muranowie Mateusz Morawiecki sfotografował się 24 lutego z premierką Włoch Giorgią Meloni – i to tak, żeby było widać wielką mapę Tolkienowskiego Śródziemia w tle.

Ktoś, kto wymyślił tę lokalizację na spotkanie, wiedział, że będzie to dla niej silny wizerunkowo gest. Specyfiką włoskich środowisk prawicowych funkcjonujących w ostatnich dekadach poza skostniałym systemem, w którym rządziła chadecja – albo niepodzielnie, albo zawierając historyczne kompromisy z komunistami – było bowiem czerpanie wzorców tożsamościowych właśnie z uniwersum Tolkiena. W żadnym innym kraju „Władca Pierścieni" nie posłużył (można przypuszczać, że wbrew woli autora) za formacyjną lekturę prawicy radykalnej, ksenofobicznej, ogólnie „antysystemowej", wrogiej globalizacji i niechętnej integracji europejskiej. Prawicy „nieprzysiadalnej" – także dlatego, że ufundowanej wokół partii postfaszystowskiej, stworzonej przez dawnych funkcjonariuszy reżimu.

46-letnia dziś Meloni, w młodości działająca na forach fantasy pod nickiem „Smoczyca Khy-ri", okazała się najzdolniejszą liderką nowego pokolenia antysystemowców, które skorzystało z ugruntowanej struktury marginalnej partii Bracia Włosi, by przenieść na grunt polityki parlamentarnej swój bunt, wyobcowanie, niechęć do nowoczesności oraz poczucie bycia niewielką, dzielną drużyną stawiającą czoło wielkim potęgom mainstreamu.

Wskutek szczególnego zbiegu okoliczności i słabości innych, zużytych w ubiegłej dekadzie formuł politycznych, samozwańczy hobbici wygrali wybory i zostali zmuszeni sięgnąć po pierścienie prawdziwej władzy. Młodsi działacze partii Bracia Włosi próbują bagatelizować bagaż przeszłości, operując współczesnym tożsamościowym językiem. „Jestem kobietą, matką, Włoszką, chrześcijanką" – wołała na wiecach przedwyborczych Meloni (w tej wyliczance brakuje „żony", bo pozostaje z ojcem swojej córki w związku nieformalnym). Język ten, wyprany z dawnej przemocowej retoryki faszystów, miewa jednak tragiczne skutki – jak w przypadku dokonywanych chaotycznie i na pokaz prób hamowania migracji.

Niewygodny bagaż z przeszłości to także ciągle obecna garstka faszystowskich skamielin starszej generacji spod znaku raczej Czarnych Koszul niż Bilbo Bagginsa. Ale prawdziwy problem stwarzają nie nostalgicy Duce w partii premier, lecz pacynki Putina w partiach koalicji. Wyraźna proatlantycka postawa Meloni – a co za tym idzie, wsparcie dla Kijowa – to sprawa nieoczywista w kontekście ogromnych wpływów Moskwy (nieraz wspartych przelewami) we włoskiej klasie politycznej. Na korzyść Meloni w polityce międzynarodowej, uformowanej także przez współpracę z PiS w ramach grupy Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, gra fakt, że jest względną nowicjuszką, nie była więc dotąd interesująca dla Moskwy, która wspierała swoich najważniejszych włoskich klientów, obecnych partnerów koalicji rządowej, czyli Silvia Berlusconiego i Mattea Salviniego. Ostatnio Berlusconi dwukrotnie przemawiał, jakby czytając ze skryptów rosyjskiej propagandy. Próbował tym osłabić pozycję Meloni, świadom, że większość Włochów jest raczej prorosyjska. Meloni zatem nie może na tej podstawie po prostu go wyrzucić z koalicji.

Te manewry sprawiają również kłopot w Brukseli. Partia Berlusconiego – Forza Italia – należy bowiem do ciągle najsilniejszej tu grupy politycznej, Europejskiej Partii Ludowej, która w obliczu wykrwawiania się swoich dotychczasowych partnerów z socjaldemokracji próbuje przed przyszłorocznymi wyborami do PE otworzyć się na współpracę z EKR. Forza Italia byłaby więc dobrym pomostem do nawiązania współpracy z Meloni i jej partią, niejako ponad głowami całkowicie „nieprzysiadalnego" w Brukseli PiS.

Tymczasem jednak Meloni, walcząc o podmiotowość w polityce wewnętrznej, musi coraz mocniej dystansować się od swojego koalicjanta, zachowując za to dobre relacje np. z Warszawą. To skomplikowana gra dla politycznej debiutantki, w dodatku w nieprzychylnym, całkowicie zmaskulinizowanym otoczeniu. Ale o tym, jak szkodliwe bywają pierścienie władzy, zagorzałej czytelniczce Tolkiena nie trzeba przypominać. ©℗

Życie dla Szkocji

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Nicola Sturgeon dominowała w szkockiej polityce przez lata. Jej dymisja to wyzwanie i dla lokalnego rządu, i dla całego ruchu niepodległościowego.

Szkocka premier, polityczka o wielkim doświadczeniu i niekwestionowanej charyzmie, na konferencji prasowej w połowie lutego przemawiała ze zwykłą swadą i niezachwianą pewnością siebie. Tyle że tym razem Nicola Sturgeon mówiła o czymś, czego nikt, nawet jej bliscy współpracownicy, się nie spodziewał: zamiarze ustąpienia ze stanowiska szefowej lokalnego rządu i Szkockiej Partii Narodowej (SNP).

Ubrana w jaskrawoczerwoną sukienkę i żakiet, tłumaczyła powody swej decyzji: że nadszedł moment, by ustąpić miejsca nowemu liderowi. Podkreślała, że choć może wydawać się to decyzją nagłą, ona się nad tym zastanawiała „z różną intensywnością" od kilku tygodni.

Zaledwie jednak trzy tygodnie wcześniej, podczas niedzielnego programu BBC, Sturgeon zapewniała, że ma dość energii, by trwać na czele rządu, i nie sądzi, by szybko miało się to zmienić. Pytana wprost, czy wierzy, że to ona doprowadzi Szkocję do niepodległości, odparła, że tak. Jednak niedługo potem postanowiła odejść. I choć twierdziła, że to moment właściwy, swoją partię zostawia rozdartą, jej kolejne wyborcze zwycięstwo stoi pod znakiem zapytania. A przede wszystkim: szkocka suwerenność, cel jej życia, się oddala.

MOŻE TO PRZYPADEK, że i na konferencję, i na wywiad założyła tę samą sukienkę i żakiet. Może to jej ulubiony kolor. W 2015 r., gdy jako pierwsza kobieta na czele SNP prowadziła ją do wielkiego zwycięstwa, w kampanii chętnie sięgała po tę zdecydowaną barwę.

Wtedy Sturgeon, choć w polityce aktywna od dawna, była objawieniem. Miała świeżość i energię, talent do szybkich ripost w starciach z politycznymi przeciwnikami, ale też do rozmów z ludźmi. SNP rosła w siłę na fali obywatelskiego rozbudzenia po tym, jak zwolennicy szkockiej suwerenności przegrali referendum w tej sprawie w 2014 r. Ale jej osobowość też odegrała rolę.

W tamtych brytyjskich wyborach parlamentarnych w 2015 r. SNP zwiększyła liczbę posłów w Westminsterze z sześciu aż do 56 – żartowano, że na Londyn zstąpiła „tartanowa armia" Nicoli. Potem w 2016 r. odbyły się wybory do Holyrood, szkockiego regionalnego parlamentu, i w nich SNP potwierdziła swą dominację. Straciła co prawda większość, ale utrzymała się u władzy na kolejną, trzecią wtedy kadencję. Teraz, w 2023 r., jest nadal największą ze szkockich partii – rządzi nieprzerwanie od 2007 r., a od ponad ośmiu lat przewodziła jej dotychczasowa liderka.

DZIŚ STURGEON ZAPEWNIA, że do jej odejścia nie przyczyniły się napięcia z ostatnich miesięcy. Ale czarne chmury nad jej rządem i partią gromadziły się od pewnego czasu. Jej krytycy twierdzą, że szkoccy nacjonaliści zajmują się tylko niepodległością, a nie rządzeniem, wskazując na nierozwiązane od lat problemy w systemie edukacji czy wysoki odsetek śmierci z powodu narkotyków. Porażką jest plan wymiany wysłużonych promów łączących szkockie wyspy z lądem – koszty są wielokrotnie wyższe niż zakładano, nowych promów dalej nie ma, mieszkańcy wysp mają problem np. z dotarciem do szpitala.

Dla równowagi: Sturgeon może pochwalić się serią prospołecznych kroków – wprowadzeniem wyprawki dla niemowląt, darmowymi przejazdami i opieką dentystyczną dla młodych ludzi, posiłkami w szkołach, dystrybucją darmowych produktów sanitarnych, inwestycjami w sieć stacji ładowania aut elektrycznych oraz innymi działaniami na rzecz ochrony środowiska.

Na końcowej ocenie jej rządów może zaważyć przegłosowana w grudniu 2022 r. przez parlament ustawa o uznaniu płci: zgodnie z nią do prawnej zmiany płci w Szkocji wystarczy deklaracja danej osoby, bez wymogu badań medycznych. Podzielili się w tej kwestii i politycy, i opinia publiczna – dwie trzecie Szkotów nie zgadza się z tą ustawą.

Ostatecznie zablokował ją rząd w Londynie, argumentując, że koliduje z prawem obowiązującym w całym Zjednoczonym Królestwie. To jeden z wielu problemów, które Sturgeon pozostawia w spadku.

A CO Z NIEPODLEGŁOŚCIĄ? W 2014 r. w referendum ok. 55 proc. Szkotów głosowało za pozostaniem w Zjednoczonym Królestwie. Od tej pory kraj jest w tej kwestii podzielony niemal pół na pół. W czasie pandemii przez chwilę więcej było zwolenników niepodległości, ale obecnie nieco więcej jest znów unionistów. Brak przełomu w sondażach, orzeczenie brytyjskiego Sądu Najwyższego (w listopadzie 2022 r. uznał on, że szkocki rząd nie może rozpisać nowego referendum bez zgody rządu w Londynie, który tego odmawia) i brak jasnej strategii na przyszłość sprawiły, że ruch niepodległościowy wyhamował.

Sturgeon chciała, aby – skoro nie może być nowego referendum – następne wybory parlamentarne traktować jako plebiscyt. Taki „plan B" budził jednak wątpliwości, także w SNP. Kwestia suwerenności nie jest teraz na pierwszym miejscu priorytetów Szkotów – zajmują ich raczej opieka zdrowotna i koszty utrzymania, i to tym chcą się kierować, oddając głos w wyborach. Być może ten impas przyczynił się do odejścia Sturgeon, która stwierdziła, że nowa strategia niepodległościowa powinna być określona już przez nowego lidera.

SZEFOWĄ RZĄDU I PARTII Sturgeon pozostaje do wyboru następcy, co ma nastąpić do końca marca. Trwająca kampania w SNP nie wskazuje jeszcze zwycięzcy, ale pokazuje, że partia jest podzielona, że jej różne frakcje łączy tylko sprawa niepodległości.

Głównymi rywalami do schedy po Sturgeon są Kate Forbes (młoda polityczka odpowiadająca za szkockie finanse) i minister zdrowia Humza Yousaf. Forbes cieszy się większym poparciem wśród szeregowych członków SNP, a Yousaf ma większe szanse wśród członków parlamentu. Początek kampanii zdominowały sprawy obyczajowe. Forbes, głęboko wie-

rząca chrześcijanka (należy do protestanckiego Wolnego Kościoła Szkocji), wywołała burzę słowami, że nie głosowałaby za małżeństwami jednopłciowymi (funkcjonują w Szkocji od 2014 r.). Z kolei Yousaf, muzułmanin, musi się tłumaczyć, dlaczego nie było go w parlamencie, gdy ustawa o małżeństwach jednopłciowych była głosowana.

Zwycięstwo Yousafa oznaczałoby kontynuację linii Sturgeon, a Forbes – odbicie na prawo. Ewentualny sukces Forbes może kosztować SNP poparcie partii Zielonych, którzy teraz wspierają mniejszościowy rząd, to zaś może oznaczać wcześniejsze wybory.

POLITYKA WYPEŁNIA całe życie Nicoli Sturgeon. Rocznik 1970, do SNP wstąpiła w wieku 16 lat. W tamtym czasie pomysł, że SNP może kiedyś rządzić, wydawał się fantasmagorią. Z przekąsem mówiła, że zmotywowała ją wówczas Margaret Thatcher: „Nienawidziłam wszystkiego, co ona reprezentowała". Te uczucia podzielało wielu Szkotów.

W szkockim parlamencie zasiadła w wieku 29 lat, a mandat poselski sprawuje nieprzerwanie od pierwszego posiedzenia Holyrood w 1999 r. Gdy miała 37 lat, objęła swoje pierwsze stanowisko w rządzie. Teraz ma niemal 53 lata, więc można śmiało powiedzieć, że większość życia poświęciła i polityce, i sprawie niepodległości.

Nigdy nie przegrała wyborów. Była pierwszą kobietą na czele szkockiego rządu, a urząd ten pełniła ponad osiem lat (w tym czasie Wielka Brytania miała pięciu premierów). W czasie jej pierwszej kadencji wszystkie jej przeciwniczki były kobietami: brytyjska premier Theresa May, szefowa szkockich konserwatystów Ruth Davidson, liderka szkockiej Partii Pracy Kezia Dugdale – z nich wszystkich tylko ona nadal trwa na stanowisku. „Jestem ostatnia na polu bitwy" – mówiła w wywiadzie dla „Vogue" w 2021 r.

Z funkcji ustępuje, bo sama tak chce, i w czasie, jaki uznaje za stosowny (czy tak rzeczywiście jest, to inna sprawa). Na pewno zostanie zapamiętana jako jedna z najważniejszych postaci w szkockiej i brytyjskiej polityce.

A CO MYŚLĄ SZKOCI? Połowa zgadza się, że Sturgeon była dobrą przywódczynią. Jednak jej końcowy bilans mógłby być lepszy. Według sondażu YouGov jej największe osiągnięcie to przeprowadzenie Szkocji przez pandemię – uważa tak 41 proc. ankietowanych. Jej ówczesne codzienne konferencje prasowe, spokojna postawa i jasny przekaz uspokajały nastroje – szczególnie przez kontrast z chaosem Borisa Johnsona.

Kolejny jej sukces to, według sondażu, wyprawka dla niemowląt (tak uważa 9 proc.), a dopiero na trzecim miejscu jest sprawa suwerenności (6 proc.). Aż jedna czwarta ankietowanych uważa, że premier nic nie osiągnęła, a 37 proc., że Szkocja jest teraz gorszym miejscem do życia niż w chwili, gdy przejmowała ona władzę w 2014 r. (29 proc. uważa, że lepszym, a 24 proc., że takim samym). Aż 60 proc. twierdzi, że premier za bardzo zajmowała się staraniami o niepodległość.

Być może więc najlepszym sposobem na przekonanie Szkotów do suwerenności byłoby pokazanie, że Szkocja pod rządami SNP to sprawnie i dobrze rządzony kraj.

CO DALEJ? Informując o dymisji, Sturgeon nie ukrywała, że odbiła się na niej intensywność i brutalizacja życia politycznego, a kierowanie krajem w czasie pandemii było najtrudniejszym z jej doświadczeń. Być może rzeczywiście to wyczerpanie stoi za jej decyzją. „Jestem też człowiekiem, nie tylko politykiem" – tłumaczyła. Dodała, że bycie premierem to nieustanny obowiązek i nawet pójście na spacer czy na kawę z przyjaciółmi jest trudne. Niemniej podkreśla, że nie porzuca polityki i będzie kontynuować walkę o niepodległość. Co jednak będzie robić poza tym?

Na pierwszym opublikowanym zdjęciu po tamtej konferencji prasowej Sturgeon wysiada z auta przed swoim domem, uśmiechnięta i zrelaksowana. Ubrana jest w granatową bluzę z kapturem, dżinsy, białe trampki – zniknęła czerwona sukienka i buty na obcasie. Może wrzuciła je do dużej czarnej torby, którą niesie, a może nie założy ich już nigdy.

Niedawno mówiła, że chciałaby spędzać więcej czasu na festiwalach literackich. Jako premier często na nich bywała, lubi czytać książki i często je poleca na swoim Twitterze. Zapewne napisze wspomnienia.

A Szkocja? Tu jest więcej niewiadomych. Nowe przywództwo SNP będzie musiało skonsolidować nie tylko partię, ale też szerszy ruch niepodległościowy, a bez charyzmy Sturgeon nie będzie to łatwe. Nie wydaje się też prawdopodobne, by wkrótce poparcie dla suwerenności miało przełamać jakiś punkt krytyczny. To będzie długa podróż i – jak to w polityce – z niepewnym finałem oraz wieloma zwrotami akcji. ©℗

Premier Szkocji Nicola Sturgeon, Edynburg, styczeń 2023 r.

ANDY BUCHANAN / AFP / EAST NEWS

HISTORIA

POWRÓT LEGEND

Brygady imienia Czarnych Zaporożców lub księcia Ostrogskiego – w doniesieniach z trwającej dziś wojny pojawiają się takie nazwy ukraińskich jednostek. Do jakiej tradycji z historii nawiązują?

GRZEGORZ SKRUKWA

Gdy w lutym-marcu 2014 r. zaczynała się agresja Rosji przeciw Ukrainie – przez zabór Krymu i rozpętanie wojny w Donbasie – armia ukraińska była w fatalnym stanie: niesprawne uzbrojenie, korupcja, zinfiltrowanie przez rosyjską agenturę. Także wizualnie i ideowo sprawiała wrażenie pozostałości po armii sowieckiej. Generałowie nosili czapki z wielkimi denkami, spadochroniarze mieli berety „koloru nieba", a piechota morska „koloru kurtek marynarskich" (tj. czarne) – jak w Związku Sowieckim i Rosji. Nazwy jednostek, tasiemcowo długie, wywodziły się z Armii Czerwonej i odnosiły prawie wyłącznie do sowieckiej tradycji wielkiej wojny ojczyźnianej.

Proces, który odbył się między rokiem 2014 a 2022 – i był elementem szerszych trendów w społeczeństwie: derusyfikacji i dekolonizacji przestrzeni publicznej – nazywany jest dziś „tworzeniem nowej armii". Nie tylko gdy idzie o broń, dowodzenie czy kształcenie, lecz także jej tożsamość.

Na początku z nazw jednostek usunięto miano „gwardyjska" – wprowadzone jako zaszczytne przez Stalina w 1943 r. Usunięto odniesienia do zwycięstw Armii Czerwonej z lat 1941-45. Rodzaje wojsk otrzymały nowe kolory beretów, zwykle jak w armiach NATO: czołgiści czarne, wojska powietrznodesantowe bordowe, piechota morska szmaragdowe. Wprowadzono mundury wyjściowe nawiązujące do uniformów Ukraińskiej Republiki Ludowej z 1920 r. (i pośrednio do stylu brytyjskiego, który był wtedy inspiracją).

Książęta i hetmani

Na następnym etapie szukano nowych patronów. Oni są niejako emanacją tożsamości, która w świecie wojskowych – czy to w Polsce, USA, czy w Ukrainie – wyraża się również w tym, że jednostki, bazy czy okręty otrzymują czyjeś imię. Zwykle to postacie historyczne, których dokonania mogą być punktem odniesienia dla współczesnych, do których życia i postawy można pozytywnie nawiązywać.

Dziś armia sięga tradycjami do (prawie) wszystkich epok z historii Ukrainy. Są patroni z czasów wczesnej Rusi (książęta Światosław Chrobry, Włodzimierz Monomach, Roman Wielki), jest XIII-wieczny król Rusi Halickiej Daniel, patron lwowskiej 24. Brygady. On zresztą był jej patronem już przed rokiem 2014,

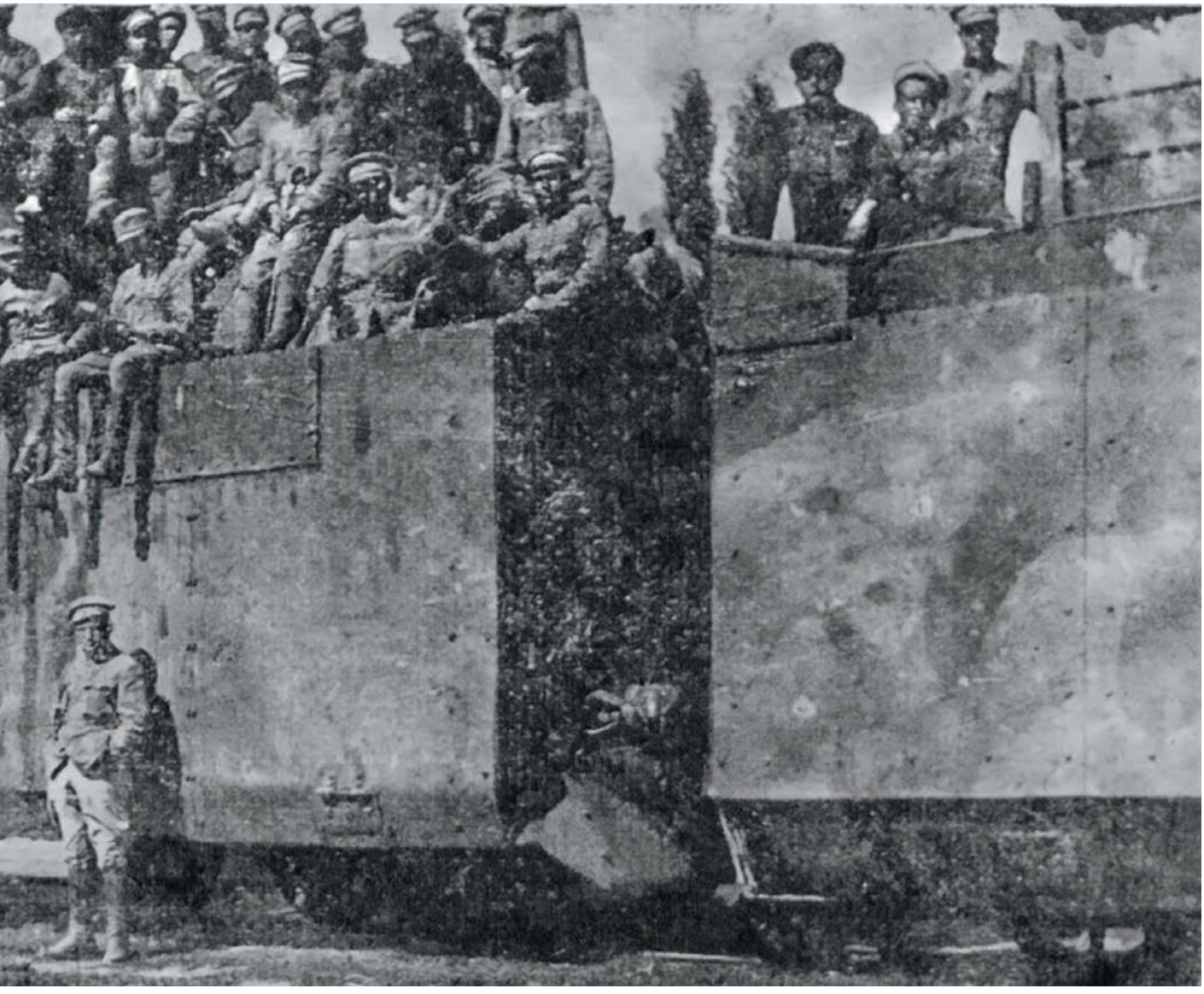

LITOPYS CZERWONOJI KALYNY / DOMENA PUBLICZNA

Pociąg pancerny „Wolna Ukraina", lato 1919 r.

ale wtedy jako „kniaź Daniel Halicki", co czyniło go jednym z wielu lokalnych Rurykowiczów – teraz występuje jako król Daniel, monarcha symbolizujący europejską orientację Państwa Halickiego.

Dalej są patroni z doby unii polsko-litewskiej – jak wielki książę Witold czy książę Konstanty Ostrogski, pogromca Moskali pod Orszą w 1514 r. Są hetmani i atamani kozaccy: Sahajdaczny (dowódca sił kozackich pod Chocimiem patronuje batalionowi obrony terytorialnej „Drohobycz"), Iwan Bohun, Iwan Mazepa, Daniel Apostoł, Iwan Wyhowski.

Ostatnio na sztandarach pojawia się też armia Ukraińskiej Republiki Ludowej z lat 1917-21. W odróżnieniu od Litwy, Łotwy i Estonii, po roku 1991 niepodległa Ukraina nie uznała się za formalną kontynuację tamtej państwowości. Choć przywrócono jej symbole – flagę i tryzub jako godło – w sferze publicznej URL nie była do niedawna afirmowana. Jednak w społeczeństwie obywatelskim zainteresowanie tamtą niepodległością i jej obrońcami było żywe, a gdy pojawiło się zagrożenie ze strony Rosji – tak jak sto lat wcześniej – również bohaterowie URL stali się patronami wojska. Choć nie wszyscy.

Zamiast gieorgijewskiej lentoczki...

Jako przykład tożsamościowej przemiany weźmy 28. Brygadę Zmechanizowaną. Stacjonuje pod Odessą – i dziś broni tego miasta. Dawniej była 28. Gwardyjską Brygadą Zmechanizowaną, a jeszcze w 2015 r. na jej naszywce widniał czołg T-72, szable carskich dragonów i pomarańczowo-czarna wstążka św. Jerzego (*gieorgijewska lentoczka*), kiedyś zdobiąca carskie odznaczenie, a dziś symbol rosyjskiego neoimperializmu.

W 2018 r. dowództwo brygady objął 35-letni podpułkownik Maksym Marczenko – urodzony w Słowiańsku w Donbasie, weteran wojny donieckiej. Z inicjatywy jego i innych oficerów w brygadzie sięgnięto po pamięć o Pochodzie Zimowym – jednym z najbardziej desperackich epizodów walk o niepodległość kraju.

A było tak: w początkach grudnia 1919 r. terytorium Ukraińskiej Republiki Ludowej skurczyło się do małego skrawka Podola, tzw. „trójkąta śmierci" ↦

↦ koło Lubaru. Na południowym wschodzie byli biali Rosjanie generała Denikina, na północnym wschodzie Armia Czerwona, a na zachodzie Polacy, z którymi URL zawarła już rozejm, ale jeszcze nie sojusz. Resztki armii URL były wyczerpane, głodne i w znacznej części zdemoralizowane. Na dalszą regularną walkę nie było szans.

Wobec tego 6 grudnia kilka tysięcy żołnierzy – tylko ochotnicy, niezdecydowanym pozwolono zostać – pod dowództwem gen. Mychajła Omelianowycza-Pawłenki przedarło się przez linię wojsk Denikina, by prowadzić wojnę partyzancką najpierw przeciw białym, a od stycznia 1920 r. przeciw bolszewikom.

...Krzyż Zimowego Pochodu

Trasa ich dramatycznego marszu wiodła przez środkową Ukrainę pod Humań i Kaniów, potem na lewy brzeg Dniepru, dalej na południe do dzisiejszego obwodu mikołajowskiego i odeskiego, i znów na Podole. Tam, po przemierzeniu 2500 km i stoczeniu pięćdziesięciu bitew, 6 maja 1920 r. armia Pochodu Zimowego (tak go nazwano, choć trwał do wiosny) połączyła się z 2. Dywizją URL (późniejszą 3. Żelazną), walczącą już w sojuszu z Wojskiem Polskim. Jesienią 1920 r. ustanowiono pierwsze odznaczenie wojskowe Ukrainy: Żelazny Krzyż za Pochód Zimowy – wcześniej w imię socjalistycznych ideałów URL odżegnywała się w ogóle od odznaczeń.

Dziś 6 grudnia jest Dniem Sił Zbrojnych, choć to zbieżność przypadkowa – to święto, ustanowione w 1993 r., upamiętniało uchwalenie 6 grudnia 1991 r. ustawy o Siłach Zbrojnych. Natomiast 6 maja jest od 2019 r. obchodzony w armii jako Święto Piechoty – tu odwołanie do Pochodu Zimowego jest już jednoznaczne.

Dla 28. Brygady początkowo rozważano jako patrona generała Wsewołoda Zmijenkę, urodzonego w Odessie. W 1920 r. bronił przed Armią Czerwoną Zamościa, razem z bardziej znanym w Polsce generałem Markiem Bezruczką. Jest pochowany obok niego w Warszawie na Woli. Zwyciężył jednak bohater zbiorowy: Rycerze Pochodu Zimowego, których imię nadano jednostce w 2019 r.

„Czarni" bronią Mariupola

Wołodymyr Zełenski zwykle nie nosi munduru, lecz parawojskowe bluzy. Jeden z wyjątków uczynił we wrześniu 2022 r.: odwiedzając wyzwolony Izjum na Charkowszczyźnie, miał na kurtce naszywkę 72. Brygady Zmechanizowanej im. Czarnych Zaporożców z dewizą „Ukraina albo śmierć". Otrzymał ją dwa lata wcześniej podczas wizyty w okopach Donbasu.

Również ta brygada dziewięć lat temu miała inną tożsamość: 72. Krasnogradzko-Kijowska Gwardyjska Brygada Zmechanizowana Czerwonego Sztandaru w czasach sowieckich była (wtedy jako dywizja) pokazową jednostką Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Gdy 8 marca 2014 r. ogłoszono w niej alarm bojowy, było w niej tylko kilkuset żołnierzy z niesprawnym sprzętem. Mimo to brygada wyróżniła się w maju podczas walk o Mariupol, początkowo opanowany przez wspieranych przez Rosję separatystów.

W czasie kolejnych walk w Donbasie 72. Brygada zyskała przydomek „czarna" – tak ją mieli nazwać przeciwnicy. Tymczasem w środowiskach ukraińskich rekonstruktorów i miłośników historii jedną z najpopularniejszych formacji był Konny Pułk Czarnych Zaporożców. Jego imię 72. Brygada otrzymała w 2017 r., a rekonstruktorzy przekazali jej replikę historycznego sztandaru.

Zagończycy sprzed stu lat

Historyczni Czarni Zaporożcy to nie Kozacy z „Trylogii", lecz oddział armii URL. Jego początki sięgają lutego 1918 r., gdy podczas odwrotu z Kijowa przed bolszewikami ze zbieraniny ukraińskich oddziałów stworzono nową jednostkę: Samodzielny Zagon Zaporoski. Wkrótce, gdy losy wojny się (chwilowo) odwróciły, rozbudowano go w dywizję, a potem w Korpus Zaporoski, który z bronią w ręku wrócił do Kijowa, Połtawy, Charkowa i Donbasu.

Korpus był zarazem konglomeratem rozpolitykowanych oddziałów, związanych ideowo z różnymi partiami – tak wyglądała specyfika URL. Najbardziej prawicowym wśród nich był 2. Pułk Zaporoski pułkownika Petra Bołboczana, związany z partią socjalistów-niepodległościowców. W kwietniu 1918 r. oddział ten – razem z Pułkiem Konnych Hajdamaków, z kolei najbardziej lewicowym w armii – wysłano na Krym. Legendarna wyprawa Bołboczana dotarła do Sewastopola, rozbijając Sowiecką Republikę Taurydy (bolszewickie *quasi*-państwo) i współdziałając z krymskotatarskimi powstańcami.

Jesienią 1918 r. ze zgrupowania Bołboczana wydzielono dywizjon, a następnie pułk jazdy, który zaczęto nazywać Konnym Pułkiem Czarnych Zaporożców. Jego żołnierze nosili czarne szłyki (zwisające wierzchy kozackich czapek) i takież mundury. Pułk walczył do jesieni 1920 r. i był typową zagończykowską formacją tamtej wojny: słynął i z odwagi, i z awanturnictwa. Omelianowycz-Pawłenko pisał o nich: „Gdzie zdarzyła się jakaś awantura – Czarni. Sławne czyny wojenne – też oni. (...) Rzadko która jednostka mogła pochwalić się takimi trofeami bojowymi jak Czarni – dziesiątki dużych i małych armat, setki karabinów maszynowych, tysiące jeńców (...) Nigdzie też nie było więcej zabitych i rannych w walce, niż wśród Czarnych".

Symbol rozbratu z Rosją

„Czarni" golili głowy, zostawiając kozacki *osełedec* – spełniał on podobną rolę jak dziś tatuaż z motywami patriotycznymi. I wtedy, i dziś w razie wzięcia do niewoli taki żołnierz nie mógł twierdzić, że wcielono go przymusowo, lepiej więc było mu się nie poddawać.

Imię Czarnych Zaporożców to dziś podwójne wyzwanie wobec Rosji. Przypomina o wkroczeniu ukraińskiej armii na Krym wiosną 1918 r. – pamięć o „szlaku Bołboczana" jest w Ukrainie powszechna. Po drugie, przypomina o incydencie z 31 sierpnia 1919 r.: tego dnia do Kijowa, który opuścili bolszewicy (w latach 1917-20 miasto było kilkanaście razy zdobywane przez różne armie), z jednej strony weszła armia ukraińska, a z drugiej biali Rosjanie walczący za „jedną i niepodzielną Rosję". W tej chwili nie było jeszcze wiadomo, czy to wrogowie, czy potencjalni sojusznicy. Początkowo nawiązano neutralne stosunki, a na ratuszu wywieszono obok siebie flagi ukraińską i rosyjską. Po Chreszczatyku defilowały oddziały obu armii, tłumy wiwatowały na cześć jednych i drugich, ale atmosfera była napięta.

Wtedy to Czarni Zaporożcy zerwali flagę rosyjską i podarli ją – lub, według innych relacji, rzucili pod końskie kopyta, po czym przejechał po niej pułkow-

nik Wołodymyr Salski, dowódca Grupy Zaporoskiej. Gdy część tłumu zaczęła śpiewać „Szcze ne wmerła Ukraina", padły strzały. Choć otwarte walki między Ukraińcami a denikinowcami zaczęły się kilka dni później, dzień 31 sierpnia 1919 r. pozostaje symbolem rozbratu ukraińsko-rosyjskiego.

Chłodny Jar znów walczy

Wśród znanych jednostek jest też 93. Brygada Zmechanizowana „Chłodny Jar". Od 2014 r. brała udział w wojnie w Donbasie, w tym w obronie lotniska w Doniecku i bitwie pod Iłowajskiem, gdzie w sierpniu 2014 r. zginęło kilkuset Ukraińców. Przed rozpoczęciem pełnoskalowej wojny prawdopodobnie ona poniosła największe straty ze wszystkich brygad.

Do 2015 r. nosiła nazwę 93. Gwardyjska Charkowska Zmechanizowana Brygada Dwukrotnie Orderów Czerwonego Sztandaru, Orderów Suworowa i Kutuzowa. Trzy lata później nadano jej nazwę „Chłodny Jar", a jej symbole to czarny kruk i biały dąb.

Chłodny Jar to pagórkowaty masyw leśny na południe od Kijowa, od wieków kryjówka buntowników. W latach 1919-22 istniała tu Chłodnojarska Republika Powstańcza – samorządna enklawa URL, broniona przez chłopskich powstańców, niepodbita przez armię Denikina i bolszewików. Zorganizowane struktury oporu istniały tu do 1922 r., a ostatnie oddziałki walczyły przeciw Sowietom jeszcze kilka lat dłużej. Jeden z ówczesnych dowódców Iwan Czornohuźko nosił pseudonim „Czornyj Woron" („Czarny Kruk"). Dąb zaś to tysiącstuletni Dąb Zalizniaka, pomnikowe drzewo rosnące do dziś w Chłodnym Jarze.

Do tradycji nieregularnych formacji URL nawiązuje też 17. Krzyworoska Brygada Pancerna im. Kostiantyna Pestuszki. Patrona otrzymała w 2019 r.: Pestuszko, znany pod pseudonimami „Stepowyj" lub „Błakytnyj", był dowódcą powstańczej Dywizji Stepowej. Powstała ona spontanicznie w Krzywym Rogu w maju 1920 r., gdy wcieleni siłą do Armii Czerwonej chłopi zbuntowali się i opanowali miasto. Dywizja walczyła do jesieni 1920 r., gdy musiała się rozejść z braku amunicji i żywności. Pestuszko zginął w 1921 r. w walce z czekistami.

DOMENA PUBLICZNA

Czarni Zaporożcy. Po lewej (prawdopodobnie) Marija Stowbunenko-Zajiczenko, która walczyła w męskim stroju pod pseudonimem „Marko Symonenko". Rok 1919 lub 1920.

Kto nie został patronem

Budowanie tożsamości armii trwa nadal. Teraz, w czasie pełnoskalowej inwazji, powstają nowe jednostki, które otrzymują kolejnych patronów – także z historii URL. Jak 110. Brygada Zmechanizowana, której patronem został generał Marko Bezruczko, w 1920 r. obrońca Zamościa i uczestnik bitwy pod Komarowem. Ten, który ma tablicę w Zamościu, rondo we Wrocławiu, plac w Olsztynie, skwery w Warszawie, Koszalinie i Gdańsku.

Na sztandarach nie ma natomiast bohaterów Ukraińskiej Halickiej Armii – siły zbrojnej Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, która od listopada 1918 r. do lipca 1919 r. walczyła z Polakami, a potem połączyła się z armią URL (i skądinąd była jej najlepiej zorganizowaną i spoistą częścią). Jest jedynie rakietowy pułk przeciwlotniczy im. Ukraińskich Strzelców Siczowych – ochotniczej formacji u boku armii austro-węgierskiej z lat 1914-18 (działał na takiej samej zasadzie jak Legiony Piłsudskiego). Potem wszedł on w skład UHA.

Słabe upamiętnianie bohaterów UHA we współczesnych siłach zbrojnych być może wynika z tego, że historia UHA została potem – niestety – przykryta przez tradycję UPA. A być może chodzi o unikanie ewentualnych zadrażnień z Polską. Z drugiej strony, do tradycji UHA nawiązują wprowadzone w 2016 r. „zębatki" jako oznaczenie stopni generalskich (odpowiednik polskich wężyków generalskich) i polowe czapki „mazepinki".

Nie otrzymał swojej jednostki pułkownik Jewhen Konowałeć, choć proponowano jego kandydaturę na patrona jednej z brygad – ten wybitny organizator i dowódca z lat 1918-19 był potem twórcą i liderem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Gdy z kolei w 2022 r. pojawiła się oddolna inicjatywa, by 80. Brygadzie Desantowo-Szturmowej – zasłużonej w ostatnim roku na frontach donieckim, charkowskim i chersońskim, a garnizony mającej w obwodzie lwowskim – nadać imię Romana Szuchewycza (komendanta UPA, który w latach 1944-45 odpowiadał za zbrodnie na polskiej ludności Galicji), władze nie podjęły pomysłu.

Nie ma też na sztandarach postaci z czasów URL, które mogłyby dzielić Ukraińców. Bołboczan, twórca Czarnych Zaporożców i dowódca wyprawy na Krym, został w 1919 r. rozstrzelany za próbę zamachu stanu, a egzekucję zatwierdził naczelny wódz Symon Petlura. Spory, kto miał rację – czy Bołboczan był awanturnikiem, a Petlura mężem stanu, czy odwrotnie – trwały na emigracji od 1920 r., a wśród zainteresowanych historią trwają do dziś.

■■■

Samoorganizacji ukraińskiego społeczeństwa wokół obrony kraju towarzyszy dziś czasem obawa przed powtórzeniem dawnej „atamańszczyzny" – wojskowej anarchii, która była jedną z przyczyn słabości ukraińskich sił w latach 1917-20. Niektórzy z ówczesnych dowódców, prócz bohaterstwa, mają też w swoich biografiach awanturnictwo i politykierstwo.

Od roku 2014 do dziś udaje się jednak Ukrainie takiego zagrożenia uniknąć. A polityka tożsamościowa armii musi temu sprzyjać – i jak dotąd sprzyja.

© GRZEGORZ SKRUKWA

Autor, profesor UAM, specjalizuje się w historii Europy Wschodniej. Wydał książki: „Formacje wojskowe ukraińskiej »rewolucji narodowej« 1914-1921", „O Czarnomorską Ukrainę: procesy narodowotwórcze w regionie nadczarnomorskim do 1921 roku w ukraińskiej perspektywie historycznej".

TYGODNIK POWSZECHNY

najprościej

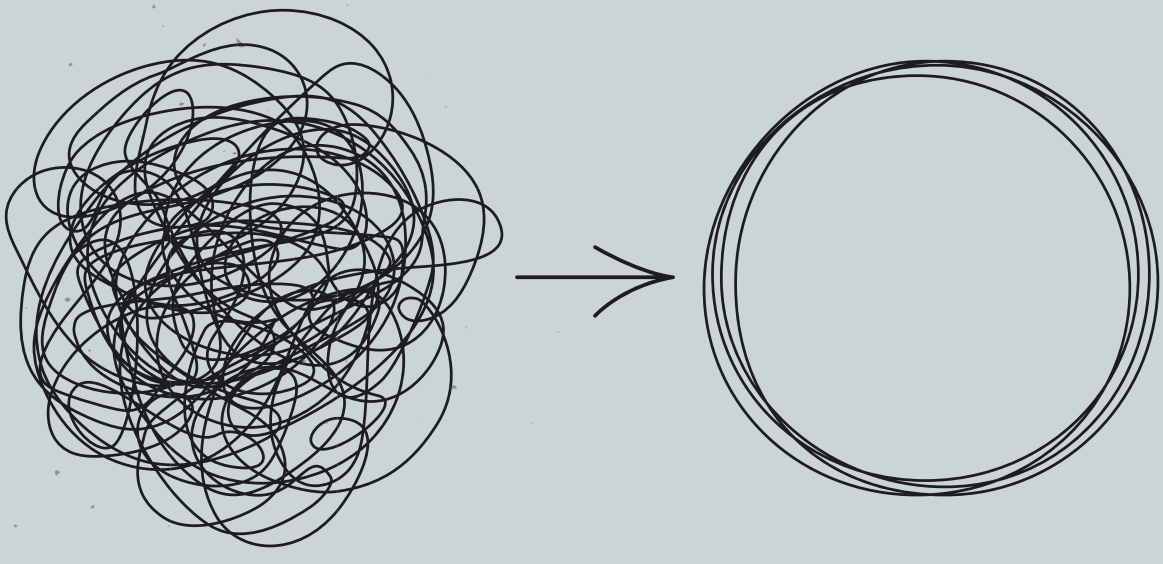

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

PRENUMERATĘ WYDANIA DRUKOWANEGO MOŻNA ZAMÓWIĆ PRZEZ:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

Podsiadło:
Czekoladki z goryczą

Kobietom w PRL-u było bardzo dobrze. Po pierwsze, miały 48 tytułów czasopism dla kobiet i mogły sobie czytać do woli, kiedy nikt nie widział. Po drugie, miały swoje święto. Po trzecie, było równouprawnienie. Nie miały powodu narzekać. Tylko kobiety-piosenkarze narzekały już od rana. Hanka Bielicka: „Rano po bułki do sklepu, / psa wyprowadzam na spacer, / szybko kluseczki na mleku / bo mąż się spieszy do pracy". Halina Kunicka: „Wstałam o siódmej rano / i jest już siódma wieczorem, / książkę niedoczytaną / z trudem do ręki biorę". 8 marca 1965 r. „Trybuna Ludu" zaskakiwała Bielicką i Kunicką jeszcze w łóżkach: „Większość pań spotkała rano doroczna niespodzianka. Nie musiały szykować śniadania, zmywać i szorować". Plakat z „Poradnika Przyjaciółki na rok 1950" zachęcał: „Oszczędzając pracę żony jedz gotowe makarony!".

W dniu swego święta kobiety mogły poprzez uczestnictwo w uroczystych akademiach zamanifestować swój udział „w wielkim dziele oswobodzenia kobiety z pęt ciemnoty i zacofania" (plakat z 1949 r.). Obdarowywano je tego dnia w dwójnasób: w domu dostawały goździki i gotowe makarony, w pracy „doroczną niespodziankę" stanowiły czekoladki. „Jest grupa kobiet, która przyjmie czekoladki z goryczą, bo inne potrzeby aktualne są tak ważne" – zapisano w protokole z posiedzenia Krajowej Rady Kobiet Polskich w 1970 r. Ale kobietę usiłowano wyzwolić nie tylko za pomocą czekoladek. W odezwie „Do wszystkich dziewcząt polskiej wsi" uczestniczki Krajowej Narady Dziewcząt ZMW zapewniały w 1958 r., że „Wyzwolenie kobiety to przede wszystkim wprowadzenie do gospodarstwa wiejskiego nowoczesnej techniki: pralki, żelazka elektrycznego, gazu, łazienki, piekarników, transporterów pasz, wreszcie traktora...".

W przedmarcowej uchwale z 1950 r. Biuro Polityczne KC wyrażało myśl podobną do znanej już skądinąd: „Budując socjalizm, kobiety zdobywają pełne wyzwolenie". Więc kobiety zasuwały, żeby się wyzwolić. „Sztandar Młodych" z 9 marca 1951 r. informował na pierwszej stronie, że pracownice Bielawskiej Wykańczalni Przemysłu Bawełnianego obiecały z okazji Dnia Kobiet wykańczać przemysł bawełniany o 100-120 proc. żwawiej, szwaczki z Bielska obiecały „zaoszczędzić systemem Korabielnikowej 30 000 zł", junako-dziewczęta z zawodówki w Szczakowej postanowiły „przepracować 60 junako-dniówek przy budowie Nowej Huty", a uczennice poznańskiego liceum zobowiązały się „zorganizować 5 zespołów początkowego nauczania dla głuchoniemych analfabetów". W wielu zakładach pracy męska część załogi zapraszała część żeńską na herbatkę, którą sama też się raczyła, o czym świadczy notatka w protokole z plenum Komisji Kobiet Pracujących z 1963 r.: „Urządzane herbatki na 8 marca przeistaczały się w pijaństwo".

Kobiety-niepiosenkarze były ze swojego losu bardzo zadowolone. Lubiły się realizować przy pomocy łopaty i kilofa. „W Nowej Hucie pracuję przy wykopach ziemnych, lubię swoją pracę i jestem z niej zadowolona" – chwaliła się dziennikarzom gazety 19-letnia Anna Rec. Górniczka Teresa R. jeszcze w 2002 r. zwierzała się Małgorzacie Fidelis: „Lubiłam swoją pracę, bardzo lubiłam. Na dole było zawsze ciepło". Wiertarkę Helenę Kurczyńską słyszymy w radiowej audycji „Zawód niekobiecy" z 1969 r. mówiącą radośnie: „Ja pracuję jako wiertacz. Wiercę otwory". Wtóruje jej szlifierka Teresa Szkabar: „Ja jestem szlifierzem. Robię drążek do kierownicy do fiata. Trzeba oszlifować 600 sztuk dziennie. Jestem zadowolona, zarabiam dwa siedemset". Wszystkie bohaterki audycji są zadowolone z pracy w szczecińskiej fabryce Polmo i mówią o tym otwarcie. „Pracowałam cztery i pół roku jako szlifierz, a teraz przeszłam na wiertarki. Lepiej mi się podoba na wiertarce jak na szlifierce" – cieszy się Rut Ratajczak.

W poszukiwaniu kobiet niezadowolonych z wykonywanego zawodu reporterka poszła aż do Hydromy. Jednak i tu wszystkie kobiety były zadowolone, a razem z nimi całe rodziny. Już film „Kobiety naszych dni" z 1951 r. opowiadał głosem Łapickiego historię Gabrieli Maroszek, która napisała list do komórki partyjnej Kopalni Milowice, że chce zostać tokarką, i została nią dzięki suchej zaprawie w domu. „W domu syn Czesław powoli odsłaniał przed matką tajniki sztuki tokarskiej. (...) Nadszedł oczekiwany dzień, Gabriela Maroszkowa włączyła motor tokarni. Kobieta opanowała maszynę!". Anna Radke z Hydromy cieszy się: „Ja pracuję jako wiertacz na wiertarce i gwintuję. A córki razem ze mną pracują. Tak samo na wiertarkach. No i gwintują". Teresa Drabkowska mówi: „Czuję się naprawdę zadowolona. I mój mąż zadowolony jest. Dużo mniej ode mnie zarabia na PKP, tak że jest cicho, siedzi spokojnie w domu, musi naczynia myć, bo jest na moim utrzymaniu".

Wskutek tego wszystkiego w latach 80. kobiet wyzwolonych było aż za dużo. Redaktorzy „Przemian" odpytywali mężczyzn-kawalerów z ideału przyszłej żony. „Zamieszkały pod Kielcami" student Ujotu C. Z. naubliżał wybrance swego serca, nie wiedząc jeszcze, kto nią będzie: „Obym nie trafił na kobietę wyzwoloną. Ów typ rozpowszechnia się jak zaraza. Potem taka szuka już zawsze przygód, nic jej nie cieszy, a wszystko szybko nudzi. Męża chce zgnieść pod pantoflem, zrobić z niego durnia, wziąć odwet za prawdziwe i urojone krzywdy swojej płci. Marzę o ładnej, skromnej dziewczynie bez przeszłości".

Czy z przyszłością, nad tym student C. Z. widocznie się nie zastanawiał. ©

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

NAUKA

WSZYSTKO DWA RAZY

Jeżeli wszechświat jest nieskończony, a atomy można uporządkować na skończoną liczbę sposobów, to istnieje w nim nieskończenie wiele kopii Ciebie czytających ten artykuł. Logiczne? Sprawdźmy.

ŁUKASZ LAMŻA

Sama idea jest prosta i kusząca: wszystko powtarza się nieskończenie wiele razy. Mamy wersje czasowe tego mitu, jak we wszechświecie cyklicznym Hindusów, ale znacznie zabawniejsza jest wersja przestrzenna – drugi Lamża siedzi sobie właśnie w tej chwili, gdzieś tam. Najstarszą wersję tej teorii, przynajmniej w jej współczesnej naukowo-kosmologicznej postaci, znalazłem w artykule kosmologa George'a Ellisa i fizyka Geoffa Brundrita z 1979 r. To właśnie w pierwszych dekadach po II wojnie światowej na dobre zakorzeniła się w kosmologii hipoteza o nieskończonym przestrzennie wszechświecie, ruszyły więc też luźniejsze rozważania na temat konsekwencji życia w takim świecie. W 2011 r. koncepcję „nieskończenie powtarzającego się świata" spopularyzował fizyk-celebryta Brian Greene w swojej książce „Ukryta rzeczywistość". Jego wersja jest przystępniejsza niż ta Ellisa-Brundrita, a przy tym zawiera wszystkie standardowe elementy tej opowieści. Podążmy więc za tokiem rozumowania Greene'a.

Jak daleko do drugiego Lamży

Przyjmijmy najpierw, że wszechświat jest nieskończony przestrzennie. Założenie to jest zgodne ze wszystkim, czego dotychczas dowiedzieliśmy się o kosmosie, z tym nie będziemy się więc kłócić (chociaż nie jest to pewne, na pewno jest możliwe).

Drugie założenie: w pewnej określonej objętości można zmieścić tylko skończoną liczbę cząstek materii. Można by się wykłócać o detale, ale w zasadzie facet ma rację, a są z jego teorią poważniejsze problemy. I tutaj więc zero sprzeciwu.

Trzecie założenie: ową skończoną liczbę cząstek można uporządkować na skończoną liczbę sposobów. Greene zaczyna w tym miejscu widocznie kręcić. Najpierw powołuje się na przykład klocków lego, których kombinacje, choć trudne do policzenia, uznaje za skończone. W jeszcze innym miejscu opisuje swoją wyimaginowaną przyjaciółkę Imeldę, która ma pięćset bogato haftowanych sukienek i tysiąc par butów – więc nawet gdyby chciała codziennie nosić inną kombinację zestawów sukienka-buty, to po pół milionie dni, czyli 1370 latach, kombinacje te się wyczerpią. Następnie Greene przeskakuje do mechaniki kwantowej, która przewiduje wymianę energii zawsze tylko w określonych porcjach, a ponadto zakazuje nam ustalenia położenia cząstek z nieskończoną dokładnością. Greene sugeruje, że fizyka prowadzi nas do wizji „pikselowatej rzeczywistości": gdybyśmy przyjrzeli się światu z bardzo bliska, to zobaczylibyśmy, że nie możemy zmieniać rzeczywistości o dowolnie drobny ułamek, a tylko skokowo.

Wniosek? Jeżeli wszechświat jest „pikselowaty", to każdy jego region o ustalonym rozmiarze – np. jeden układ planetarny, jedna galaktyka, albo cały tzw. obserwowalny wszechświat (czyli skończona objętość kosmosu ograniczona przez „horyzont" najdalszych obiektów, jakie możemy zaobserwować) – można uporządkować na skończoną liczbę sposobów. Ponieważ w nieskończonym wszechświecie regionów takich jest nieskończenie wiele, w pewnym momencie siłą rzeczy zaczną się powtarzać. Greene każe nam wyobrazić sobie „kosmicznego projektanta", który próbuje „ubrać" kolejny fragment wszechświata na nowy sposób, jednak z czasem kończą mu się możliwości dopasowywania do siebie atomowych sukienek i butów. Mówimy tu, warto to podkreślić, nie o jakichś hipotetycznych innych wszechświatach, tylko o miejscach w naszym wszechświecie, które są po prostu zbyt daleko, żebyśmy mieli szansę je zaobserwować. Nie tylko istnieje gdzieś drugi Lamża, ale można wręcz oszacować odległość do niego.

Jak daleko do drugiego Lamży? Po kilku akapitach kluczenia i odwołaniu się, z trudnego do wyjaśnienia powodu, do entropii czarnych dziur, Greene stwierdza ostatecznie, że idealna kopia każdego z nas, wraz z otaczającym nas identycznym wszechświatem obserwowalnym, znajduje się w odległości ok. 10 do potęgi 10 do potęgi 122 metrów od nas. Czyli bardzo daleko, ale nie nieskończenie daleko. Greene dodaje, że w nieskończonym wszechświecie każda kombinacja powtórzy się nieskończenie wiele razy, a ponadto pojawią się kopie „niemal identyczne". Jeżeli istnieje gdzieś drugi Lamża piszący dokładnie taki sam artykuł, to istnieje też trzeci, który pisze artykuł bardzo podobny. „W pewnych [regionach kosmosu] spełnią się nasze najgorsze obawy dotyczące nas samych, rodziny i życia na Ziemi. W innych – zrealizują się nasze najskrytsze marzenia".

Na pierwszy rzut oka historyjka ma sens, a fizycy bardzo lubią ornamentować ją niepotrzebnym żargonem i cyferkami, aby tej nieszkodliwej zabawie intelektualnej dodać powagi. Nie dajmy się jednak zwieść. Sam fakt, że ktoś opowiada nam swoją historyjkę, odwołując się do entropii czarnych dziur, zasady nieoznaczoności Heisenberga i precyzyjnych obliczeń, nie oznacza jeszcze, że mamy tej historyjce z automatu wierzyć. Pobawmy się więc w dekonstrukcję tego mitu, zwłaszcza że wciągnie nas to w naprawdę ciekawe problemy intelektualne. Nie będziemy, nawiasem mówiąc, pierwsi – ot, w 2014 r. dwóch hiszpańskich fizyków, Francisco José Soler Gil i Manuel Alfonseca, opublikowało krótką krytykę dwóch modeli „nieskończenie powtarzającego się kosmosu", w tym modelu Ellisa-Brundrita. Ich wywód miał przede wszystkim charakter matematyczny. My spróbujemy pofilozofować.

Różne jak dwie cząsteczki wody

Zacznijmy od argumentu o skończonej liczbie sposobów, na jaki można uporządkować świat. Nie jestem chyba jedyną osobą, która poczuła ukłucie wątpliwości, gdy świat został porównany do klocków lego. Czy naprawdę rzeczywistość da się rozłożyć na wyraźnie od siebie oddzielone konfiguracje, które można wyliczyć jedna po drugiej? Sugestywny jest sam fakt, że wyjściowa metafora jest do kitu. Ktokolwiek miał przyjemność bawić się lego, ten wie, że możliwości nie wyczerpują się na równych, prostopadłych, matematycznie idealnych konfiguracjach, jakie można znaleźć w instrukcji danego zestawu: klocki można przecież sczepić krzywo albo wcisnąć w siebie prostopadle. Zawiasy można rozsuwać w dowolnym stopniu.

Ktoś pedantyczny mógłby odrzec, że możliwości swobodnego przesuwania klocków względem siebie kończą się w skali atomowej: nie przesuniemy względem siebie dwóch klocków o pół atomu. To wcale nie jest jednak oczywiste.

Fizycy-teoretycy, którzy siedzą na co dzień w wyżynach teorii kosmologicznych, lubią sobie czasem wyobrażać, że najprostsze układy atomowe, np. cząsteczki, rzeczywiście występują w skończonej liczbie odrębnych ↦

Hotel TWA na lotnisku Johna F. Kennedy'ego w Nowym Jorku, maj 2019 r.

TIMOTHY A. CLARY / AFP / EAST NEWS

↦ konfiguracji, ale doświadczalnicy, którzy naprawdę pracują z materią, mogą mieć wątpliwości. Szczególnie „ciągła" wydaje się geometria: pomyślmy o dowolnej prostej cząsteczce chemicznej, której wzór kojarzymy ze szkoły. Może być woda. Chociaż na kartce podręcznika cząsteczki takie rzeczywiście mogą przypominać klocki lego, w rzeczywistych badaniach okazuje się, że wystarczy nieco mocniej podgrzać albo ścisnąć próbkę, albo rozpuścić w wodzie trochę kwasu, a proporcje geometryczne cząstek zaczynają się nieznacznie zmieniać. Nie da się odpowiedzieć po prostu na pytanie, jaki kształt ma cząsteczka wody. W innej temperaturze i w innym roztworze będzie to nieco inna cząsteczka.

Ostateczny cios idei „pikselowatego wszechświata" zadaje geometria. Przestrzeń nie wydaje się podzielona na piksele – nie ma żadnej skończonej, zamkniętej listy miejsc, w których mogłyby być rozłożone cząstki, a próby opisania przestrzeni w ten sposób nie udają się matematycznie. Nie ma też w fizyce niczego, co by kazało cząstkom fruwać pod ściśle określonym kątem, wyrażającym się np. tylko w całkowitych wartościach minut i sekund kątowych. Idea, że świat można opisać poprzez skończoną liczbę kombinacji, jest w najlepszym razie podejrzana, a w najgorszym razie naiwna. Nic więc nie stoi na przeszkodzie temu, aby każdy spośród nieskończonej liczby regionów kosmicznych różnił się od wszystkich pozostałych.

Pelé między Wałęsą i Mazowieckim

Spróbujmy jednak dać szansę legendzie i pobawmy się z kolei w jej adwokata. Ani Greene, ani Ellis nie przewędrowali co prawda przez powyższą ścieżkę zdrowia – pierwszego usatysfakcjonowały statystyki stanów kwantowych, a drugiego, aż wstyd przyznać, skończona liczba możliwych sekwencji DNA, z której wynika istnienie gdzieś w kosmosie „genetycznie identycznych osób" (z tych zaś kilka akapitów dalej magicznie robią się po prostu „identyczne osoby", tak jakby środowisko życia – np. odżywianie – nie miało żadnego znaczenia). Nie oznacza to jednak, że nie możemy tego zrobić my, próbując trochę podratować teorię nieskończenie wielu Lamżów. Można by przecież powiedzieć tak: no dobrze, niech będzie, że nieskończenie wiele regionów we wszechświecie może różnić się od siebie nawzajem o nieskończenie drobne detale, ale przecież „ja czytający ten artykuł" to tak naprawdę nazwa na całą gigantyczną klasę struktur. Gdyby przesunąć nieznacznie jedną cząsteczkę wody gdzieś w mojej nerce, to wciąż byłbym „ja czytający ten artykuł".

Przypuśćmy więc, że nie liczymy już na znalezienie dwóch d o k ł a d n i e takich samych regionów kosmicznych – wystarczy nam, żeby w dwóch z nich człowiek nazywający się Łukasz Lamża napisał dokładnie taki sam artykuł do „Tygodnika Powszechnego", i łaskawie nie będziemy wnikać w to, jak rozmieszczone są cząsteczki kofeiny w jego krwiobiegu.

Z tej perspektywy przyjrzyjmy się może najpierw tezie, że nie tylko istnieje gdzieś t a k i s a m region kosmiczny, ale że istnieje również jego nieznacznie zmieniona wersja: taka, w której napisałem nieco inny tekst do „Tygodnika", albo w której realizują się moje „najskrytsze marzenia". W tym miejscu Greene'owski model rzeczywistości znów zaczyna nam doskwierać swoim ubóstwem. Świat jest dla niego tylko chwilową konfiguracją atomowych klocków – statyczną sceną, której elementy można dowolnie podmieniać. To jednak niemądra fikcja. Greene zapomniał o historii! Każdy kosmiczny region musi przecież rozwijać się na sposób wewnętrznie spójny. Świat nie losuje swojej konfiguracji z wielkiego wora z konfiguracjami, tylko rozwija się zgodnie choćby z prawami fizyki.

Proste pytanie: czy we wszechświecie Greene'a istnieje też taki region, w którym planeta Ziemia ma kształt sześcienny? Nie: jest to sprzeczne ze sposobem, w jaki działa grawitacja. Nawet jednak subtelniejsze modyfikacje budzą rozsądne wątpliwości. Czy istnieje taka wersja historii Ziemi, w której wszystko jest „po staremu", ale pośród uczestników Okrągłego Stołu między Wałęsą i Mazowieckim siedział Pelé? Albo świat bez Krakowa – zbudowany dokładnie tak samo jak nasz, ale różniący się od niego tylko i wyłącznie brakiem tego jednego jedynego miasta? Ewentualności takie nie łamią żadnego oczywistego prawa fizyki, a jednak wyczuwamy, że jest coś z nimi nie tak. Pytanie za sto punktów brzmi: czy są tylko bardzo mało prawdopodobne, czy też całkowicie niemożliwe?

Pytania tego typu uświadamiają nam, jak skomplikowane są więzi przyczynowe utrzymujące świat w całości i jak niewiele o nich wiemy. Pamiętajmy, że mówimy o izolowanej różnicy! Nie zawsze dałoby się taką wymusić. Pomyślmy o Krakowie – miasto to powstało, ponieważ ludzkie społeczeństwa osadzają się w pewien określony sposób. Gdybyśmy chcieli koniecznie wymusić na świecie, aby nie doszło w nim do powstania Krakowa, musielibyśmy pogmerać w ludzkiej psychologii albo w geografii – to zaś siłą rzeczy pociągnęłoby za sobą inne konsekwencje. Nie ma w świecie izolowanych faktów. Aby to dobitnie zilustrować, zejdźmy jeszcze głębiej: czy możliwe było, abym przed chwilą nie podrapał się po karku?

Jak uniknąć podrapania się w kark

Pytanie to prowadzi nas ku bardzo ciekawym problemom filozoficznym. Co właściwie decyduje o tym, co konkretnie wydarza się w świecie? Czy istnieje przypadek? Czy drobne detale historii świata mogą być zupełnie dowolne? Standardowa teoria głosi, że rzeczywistość cechuje się wielką czułością na drobne zaburzenia: jedno machnięcie motylich skrzydełek oddziela świat, w którym po drugiej stronie Ziemi doszło do huraganu, od takiego, w którym huraganu tego nie było. „Gdyby nos Kleopatry był odrobinę krótszy, inne byłyby losy świata", pisał Pascal. Opisem matematycznym tego typu świata „rozjeżdżających się trajektorii" zajmuje się teoria chaosu, w której pożyteczną wielkością jest tzw. wykładnik Łapunowa. Wyobrażamy sobie dwa identyczne światy, a następnie że w jednym z nich przemieszczamy nieznacznie jedną cząstkę. Porównujemy następnie trajektorię tej samej cząstki w obu światach. Jeżeli odległość między nimi będzie stale rosła, wykładnik Łapunowa jest dodatni: świat jest czuły na zaburzenia i wzmacnia je. Jeżeli odległość ta z czasem maleje, to świat niejako „leczy się" z zaburzeń, z czasem maskując je: wykładnik Łapunowa takiego układu jest ujemny. Wygląda na to, że „wykładnik Łapunowa rzeczywistego świata" nie tylko jest dodatni, ale wręcz gigantyczny. Powiązania przyczynowe świata tworzą zaś b a r d z o gęstą sieć, przez co najdrobniejsze detale historii świata nie tylko nabierają z czasem coraz

większego znaczenia, ale ponadto bardzo zręcznie wpływają na wszystko dookoła.

Gdybym więc zażyczył sobie istnienia regionu kosmicznego, w którym wszystko jest po staremu, ale Łukasz Lamża 1 marca o 14.13 nie podrapał się po karku, musiałbym prześledzić wszystkie drobne przyczyny, które wpłynęły ostatecznie na zachodzące w mojej skórze i w moim mózgu procesy myślowe, wprowadzając po drodze niekończące się mikroskopijne korekty, aby nie doszło do feralnego zaswędzenia. Podrapałem się, bo skórę musnął jakiś unoszący się w powietrzu pyłek. Okej, wpłyńmy więc na ruchy powietrza, a pyłek mnie ominie. Kluczowy prąd pojawił się wtedy, gdy odwróciłem głowę, bo za oknem zaszczekał pies. Kurczę, musimy więc sprawić, aby pies nie zaszczekał – winne zaś były gołębie, które zerwały się właśnie z dachu... W końcu okaże się, że w celu uniknięcia jednego tylko drapnięcia w kark jestem zmuszony przepisać całą historię kosmosu. Problem rozwiązałaby interwencja z zewnątrz – Bóg mógłby po prostu ręcznie wstrzymać sam tylko akt podrapania się. Dopóki jednak interesują nas rozwiązania naturalne, musimy ostatecznie zmusić do współpracy cały świat, nawet jeśli chcemy powstrzymać jedno tylko swędzenie.

No dobrze, można by pomyśleć: jeżeli chcemy, aby w jakimś kosmicznym regionie zrealizowała się historia typu „na sto procent taka sama, co w naszym regionie, minus podrapanie się Lamży po karku", to po prostu obliczamy odpowiednią korektę i ustawiamy wszystkie cząsteczki w odpowiednich, nieznacznie zmienionych położeniach, aż do zarania dziejów. Nie zapominajmy jednak o teorii chaosu. Zmiana rozprzestrzenia się po układzie bez ograniczeń, galopująco. Kto wie, co jeszcze spowodowała ta drobna korekta? Być może wywołaliśmy przy okazji jakieś samobójstwo w Paragwaju albo burzę na Wenus? Nie rozumiemy globalnej sieci przyczynowo-skutkowej na tyle dobrze, aby wyrokować jednoznaczn-

Zmień cokolwiek w młodziutkim wszechświecie, potrąć choćby **i tylko jedną cząstkę** – a zmienisz wszystko w jego stanie obecnym.

nie, ale sama idea „izolowanego faktu" jest fizycznie podejrzana. Hipoteza podstawowa brzmi, że wszystko wpływa na wszystko – nie ma więc żadnej gwarancji, że poprzez jakkolwiek delikatne manipulowanie stanem początkowym naszego regionu wszechświata dałoby się uzyskać świat tylko nieznacznie różniący się od naszego. Teoria chaosu mówi wręcz coś odwrotnego: niewykluczone, że nawet jeśli interesuje nas świat tylko z grubsza podobny do naszego (np. taki, w którym istnieje Łukasz Lamża), to nawet mikroskopijnie mała manipulacja warunkami początkowymi może nas z takiego świata wyprowadzić. To mało intuicyjna, ale dość dobrze potwierdzona właściwość świata, o której mówi teoria chaosu: bywa tak, że trzeba „nieskończenie dokładnego" sprecyzowania warunków początkowych, aby uzyskać pożądany rezultat.

Mogłoby więc być tak, że – mówiąc zawiłym żargonem matematycznym – nie istnieje tak małe zaburzenie naszego świata, że wywołane przez to zaburzenie efekty wciąż mieściłyby się w zadanych przez nas granicach podobieństwa. Mówiąc nieco prościej: zmień cokolwiek w młodziutkim wszechświecie, potrąć choćby i tylko jedną cząstkę – a zmienisz w s z y s t k o w jego stanie obecnym. Gdyby tak było rzeczywiście (chyba nigdy się nie dowiemy, czy nasz wszechświat cechuje się aż takim poziomem niestabilności, ale kto go tam wie), to nie możemy liczyć na to, że losując warunki początkowe do nowego regionu kosmicznego, znowu trafimy na wszechświat z Lamżą.

Matematycznie byłoby to tak samo, jak gdybym losując dwa razy dowolną liczbę rzeczywistą między 1 i 2, dwukrotnie trafił w tę samą. Liczby rzeczywiste, przypomnijmy, są niemal zawsze „nieskończenie szczegółowe": tylko z rzadka trafiają się przypadki „okrągłe", jak 2 albo 3,617. Niemal wszystkie, gdyby zapisać je w postaci rozwinięcia dziesiętnego, ciągną się ze swoimi cyframi w nieskończoność – jak np. pi. Gdybym więc chciał dwa razy trafić w tę samą liczbę rzeczywistą, musiałbym liczyć, że z każdą kolejną cyfrą znowu wylosuję tę samą ↦

ADOBE STOCK

– nieskończenie wiele razy. Gdyby nasz wszechświat należał do takich właśnie, wymagających „punktowego sprecyzowania warunków początkowych”, trafienie dwa razy w taki sam wszechświat mogłoby wymagać nieskończenie długiego szeregu szczęśliwych trafów. Greene, losując kolejne warunki początkowe do kolejnych regionów kosmicznych, mógłby nigdy się nie doczekać na wylosowanie drugiego Lamży.

Suma wszystkich przypadków

Nawet i to jednak nie koniec problemów! Ponieważ zbliżamy się szczęśliwie do końca tekstu, wspomnę tylko króciutko o dwóch dodatkowych powodach, dla których proste rozumowanie typu Greene’owskiego, w którym świat zostaje sprowadzony do losowania totolotka, kompletnie nie nadaje się na opis rzeczywistego kosmosu.

Po pierwsze, wszystko, co napisałem powyżej, ma rację bytu tylko w świecie deterministycznym – czyli takim, w którym łańcuchy przyczynowo-skutkowe całkowicie wyjaśniają wszystko, co się wydarza. Wiemy tymczasem, że w świecie cząstek zdarzają się prawdziwe przypadki, autentyczna losowość. Nie ma żadnego sposobu, aby zagwarantować sobie określony przebieg historii wszechświata. Możemy więc przygotować „identyczny wszechświat”, a i tak czysty przypadek pokieruje jego losami w nieprzewidywanym kierunku. Oczywiście, mogłoby być tak, że przypadki te znowu zsumują się w taką samą historię. Mogłoby jednak tak nie być – cała nasza pewność, że gdzieś tam siedzi drugi Lamża, przemienia się co najwyżej w nadzieję.

Po drugie, nie ma też żadnego powodu, dla którego w nieskończonym wszechświecie każdy jego region miałby być taki sam na poziomie głębszym niż położenia wszystkich cząstek. Owszem, dostępne nam okolice wydają się względnie jednorodne, ale jeśli dotychczasowe dzieje poznawania świata czegokolwiek nas nauczyły, to na pewno tego, że nie powinniśmy na wyrost oskarżać go o nudę i powtarzalność. Nic nie stoi na przeszkodzie (choć też i nic na to nie wskazuje), żeby w regionach kosmicznych kryjących się za horyzontem naszych obserwacji panowały odrobinkę inne prawa fizyki albo nieco inna krzywizna przestrzeni, albo materia miała nieco inny skład cząsteczkowy. Gdyby zaś tak było, to całe rozumowanie za jednym zamachem pada jak mucha, bez sięgania do teorii chaosu, matematycznych podstaw prawdopodobieństwa i kwantowego indeterminizmu: wszechświat byłby po prostu zbyt niejednorodny w skali globalnej, aby cokolwiek zdarzyło się w nim dwa razy.

W kosmosie, który jest chaotyczny, pomysłowy i choćby odrobinę złośliwy, nie ma dwóch takich samych galaktyk, dwóch takich samych planet, dwóch takich samych ludzi, dwóch tych samych spojrzeń w oczy, dwóch takich samych płatków śniegu i dwóch takich samych cząsteczek wody. O, tak, to by nawet było bardzo w stylu świata. Zresztą, komu wierzycie w sprawie świata – fizykom czy poetce?

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

REKLAMA

Wielka zbiórka pamiątek jenieckich

związanych z pobytem żołnierzy w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej.

Zbiórka organizowana jest przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, jedyną w Polsce, a nawet w Europie placówkę zajmującą się kompleksowo problematyką jeniecką. Muzeum czeka na przedmioty używane lub wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. Dary zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane, dzięki czemu zyskają długowieczność i będą stanowić świadectwo jenieckiej historii dostępne przyszłym pokoleniom.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiątek proszone są o kontakt telefoniczny, mailowy, listowny lub osobisty. Każda propozycja daru zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek wraz z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych,
ul. Muzealna 4, 48–316 Łambinowice,
tel./fax +48 77 434 34 75, e-mail: zbiorkapamiatek@cmjw.pl

CENTRALNE MUZEUM JEŃCÓW WOJENNYCH

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
SAMORZĄD Województwa Opolskiego
ZNAK DZIEDZICTWA EUROPEJSKIEGO

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych jest instytucją kultury Samorządu Województwa Opolskiego, współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Sąd Rejonowy dla Krakowa – Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 772/22/P z wniosku Elżbiety Michalik-Jankowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Jolancie Kulka z domu Bilatczak, córce Jerzego i Janiny, zmarłej 28 października 2022 r. w Limanowej, ostatnio stale zamieszkałej w Krakowie przy ul. W. Witosa 33/51.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa – Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 397/21 toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Szabat o stwierdzenie nabycia spadku po Karolu Giza (synu Jana i Stanisławy) zmarłym 29 maja 2021 w Lublinie, ostatnio stale zamieszkałym w Wierzchowiskach Górnych (gm. Bełżyce). W skład spadku wchodzą nieruchomości położone w gminie Borzechów w obrębie Łączki-Pawłówek o powierzchni 0,66 ha i w gminie Bełżyce w obrębie Wierzchowiska o pow. 10,79 ha i w obrębie Bełżyce Rolne o pow. 3,67 ha.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 407/21 toczy się postępowanie z wniosku Tomasza Szumery o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Skawinie, oznaczonej jako działka nr 4458, która powstała z dawnych parcel gruntowych nr 157/7 i 157/9.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Trzciance toczy się pod sygn. akt I Ns 303/22 postępowanie z wniosku Ryszarda i Czesławy Proszyk o zasiedzenie nieruchomości położonych w Folsztynie, gm. Wieleń, powiat czarnkowsko-trzcianecki:
– działka nr 131, o pow. 1,07 ha, dla której Sąd Rejonowy w Trzciance prowadził księgę wieczystą Matrykuła 29, Folsztyn Tom VII karta 205.
– działka nr 156, o pow. 1,82 ha, dla której Sąd Rejonowy w Trzciance prowadził księgę wieczystą Matrykuła 55, Folsztyn Tom VI karta 177.
– działka nr 404, o pow. 0,10 ha, oraz działka nr 406, o powierzchni 0,92 ha, dla których Sąd Rejonowy w Trzciance prowadził księgę wieczystą Matrykuła 36, Folsztyn Tom VI karta 166.
Ostatni znany właściciel Zuzanna Krauze.

Sąd wzywa zainteresowanych, aby w termine 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa do wyżej opisanych nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd może stwierdzić zasiedzenie własności nieruchomości.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 69/23 toczy się postępowanie z wniosku Krzysztofa Jacha i jego żony Teresy Jach o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości położonej w Gielniowie, powiat przysuski, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 1972 o pow. 0,3840 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego na nr. kancelaryjnym GK.I.6621.256.2023, niemającej ustalonego właściciela.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 494/22 toczy się postępowanie z wniosku małoletniej Oliwii Zaremby o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Saługa, s. Jana i Marianny, zm. 11 listopada 2018 r., ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ul. Siemieńskiego 13 w Warszawie. W skład spadku wchodzi udział w prawie własności mieszkania przy ul. Siemieńskiego 13/2 w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 1067/22 toczy się sprawa z wniosku Powiatu Mińskiego o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat przedmiotu świadczenia w postaci pieniędzy w kwocie 417 (czterysta siedemnaście) złotych z tytułu odszkodowania za nieruchomości zajęte pod drogę – działkę nr 7091/2 o pow. 0,0013 ha i działkę nr 7147/2 o pow. 0,0021 ha – położone w Mińsku Mazowieckim, których właścicielka Dorota Tryniszewska zmarła, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działek po przedstawieniu przez niego dowodu własności.

W Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygn. I Ns 202/22 postępowanie z wniosku Stefana Antoniego Leona Szudzińskiego o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości, stanowiącej działkę gruntu oznaczoną numerem 253, położonej w Kurzętniku, dla której Sąd Rejonowy w Nowym Mieście Lubawskim prowadzi księgę wieczystą numer EL1N/00013748/1 (objętej uprzednio księgą wieczystą dawną – Kurzętnik karta 132). W dziale II wskazanej księgi wieczystej ujawniono wpis własności na rzecz Franciszka Gęstwickiego i Józefiny Gęstwickiej na zasadach wspólności ustawowej majątkowej małżeńskiej.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim i wykazali prawo do przedmiotowej nieruchomości pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

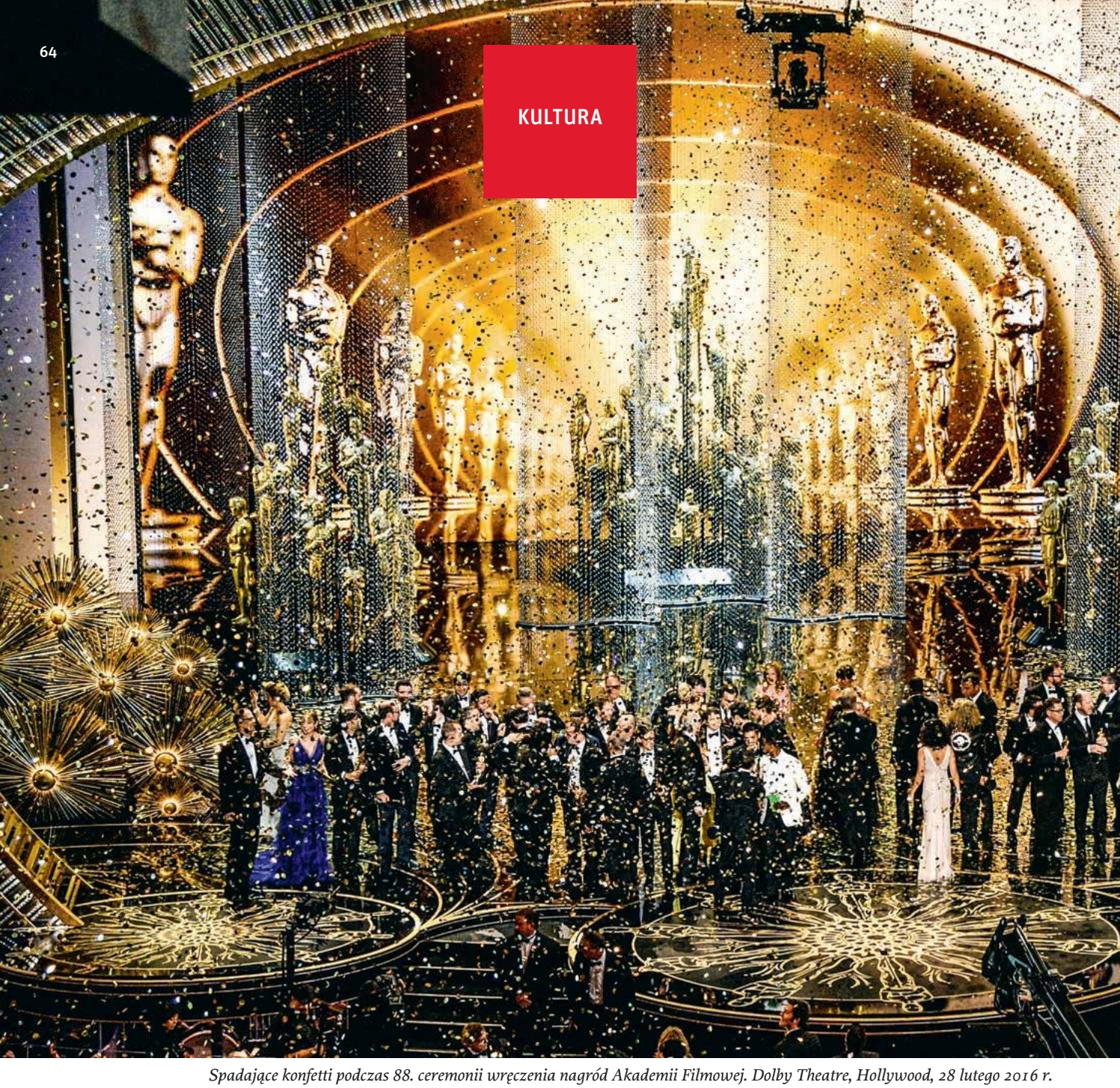

Spadające konfetti podczas 88. ceremonii wręczenia nagród Akademii Filmowej. Dolby Theatre, Hollywood, 28 lutego 2016 r.

NA OSIEDLU JEST IMPREZA

W poniedziałek dowiemy się, komu Akademia Filmowa przyznała Oscary. Na co właściwie czeka cały świat? O co toczy się gra? Kto wygra z kanapą?

MICHAŁ WALKIEWICZ

KEVIN WINTER / GETTY IMAGES

Na dole chłopak z amatorską kamerą i fotogeniczna katastrofa: wykolejony na stole pociąg-zabawka. Na górze myśliwce podpalające niebo, huk powietrznych rac i koncert na sto armat. Pomiędzy nominowanymi do tegorocznych Oscarów „Fabelmanami", o obsesjach młodego Stevena Spielberga, a „Top Gun: Maverick", o obsesjach starego Toma Cruise'a, jest całe Hollywood. Podnoszące się po pandemii, dotknięte ekonomicznym i wizerunkowym kryzysem, szukające nowej tożsamości.

O czyj tyłek chodzi?

Jakiś czas temu, w trakcie poprzedzającego oscarową ceremonię bankietu, Spielberg złapał Cruise'a pod ramię i szeptem podziękował mu za „uratowanie Hollywood tyłka". Gdyby ktoś nie sfilmował tej scenki po partyzancku, a Spielberg podziękował po prostu za „zarobienie wystarczającej ilości pieniędzy, by narracja o Fabryce Snów jako napędzie przemysłu kinematograficznego nie stała się pieśnią przeszłości", efekt byłby nieco inny. Scena nie przypominałaby finału przygód Jamesa Bonda, w którym dyrektor MI6 gratuluje agentowi do zadań specjalnych ocalenia świata. Nie byłaby „hollywoodzka" i pewnie niewiele mówiłaby o samym Hollywood. A już na pewno nie scementowałaby naszego wyobrażenia o systemie opierającym się tradycyjnym podziałom w kulturze na to, co „wysokie i „niskie", co tworzone dla pieniędzy i w imię sztuki, zarówno w samym środku bitwy o przyszłość kina, jak i na jej opłotkach.

Agent uścisnął dłoń, kiwnął głową w geście szacunku i ruszył na kolejną misję niemożliwą. Pozostało intrygujące pytanie: o czyj tyłek właściwie chodzi? Zbliżająca się ceremonia przyznania Oscarów raczej nie udzieli na nie odpowiedzi. Wśród filmów walczących o najważniejszą statuetkę jest nowa adaptacja „Na zachodzie bez zmian" Remarque'a, nagrodzona canneńską Złotą Palmą satyra na bogaczy („W trójkącie"), dwa filmy, w których świadkami cichych ludzkich dramatów są zwierzęta hodowlane („Duchy Inisherin" oraz „Women Talking"), a także nakręcony za prawie pół miliarda dolarów „Avatar: Istota wody". Są też – owszem – Spielberg i Cruise, ale przy tym stole nie mogło ich zabraknąć.

W normalnych okolicznościach napisałbym, że Akademia Filmowa i Hollywood otwierają się na nowe języki i wrażliwości, że obchodzi ich *zeitgeist*, albo coś w ten deseń. Zbyt wiele jednak wydarzyło się w ostatnich latach. Pandemia zepchnęła Fabrykę Snów w otchłań finansowego kryzysu, rewolucja streamingowa sprawiła, że już inaczej oglądamy filmy (raczej u siebie), zmiany obyczajowe zaś obnażyły Hollywood jako strukturę anachroniczną, nieodpowiadającą współczesnej wrażliwości. Fasada Fabryki Snów – ceremonia wręczenia Oscarów – jest wciąż tym, czym była: targowiskiem próżności, „miejscem, w którym za pocałunek płacą tysiąc dolarów, a za duszę – piątaka". Z tą różnicą, że dziś wymagamy od Hollywood znacznie więcej: transparentności struktur, odbudowy całego modelu dystrybucyjnego, zadośćuczynienia mniejszościom.

Ostatni gasi światło

O tym, że Hollywood istnieje naprawdę, a jednocześnie jest wielką symulacją, świadczy uprawiana w mediach apokaliptyczna retoryka. Następstwem pandemicznego kryzysu nie były bowiem pytania o strukturę naczyń połączonych w całym filmowym biznesie ani o faktyczne relacje Fabryki Snów z lokalnymi rynkami. Zakładając ↦

↦ centralizację władzy *a priori*, pytając o Hollywood pytaliśmy o przyszłość samego kina. Czy przetrwa jako społeczny rytuał? Czy ocaleje jako komunia wrażliwości? Czy dalej będzie pachnieć popcornem? Wreszcie: kto je uratuje?

Już przed trzema laty nie były to pytania retoryczne. Jeden z pierwszych raportów magazynu „The Hollywood Reporter" szacował potencjalne straty amerykańskiego przemysłu filmowego w nadchodzącym okresie pandemicznym na dwadzieścia miliardów dolarów – dość powiedzieć, że ich nie doszacował, gdyż ostatecznie wyniosły trzydzieści miliardów. Liczba może wydawać się nieco abstrakcyjna, więc inaczej: to tak, jakby przez dwa ostatnie lata w Ameryce nie nakręcono ani jednego filmu.

W okolicach końcówki marca 2020 r. sytuacja była opłakana. Spadki prognozowanych wpływów z kinowych kas sięgały osiemdziesięciu procent, większość potencjalnych kasowych hitów notowała jednocyfrowe (w milionach dolarów) wpływy z rynku lokalnego i niewiele większe z zagranicy. Wypłacalność amerykańskiej kinematografii, nawet uwzględniając inflację, była najsłabsza od ponad ćwierćwiecza.

Kolejne filmy lądowały w zamrażarce, premiery odkładano na wieczność, scenariusze zalegały w szufladach, sieci kinowe stanęły na krawędzi bankructwa, a festiwale – zwłaszcza te formatu Cannes, czyli związane z Hollywood niepisanymi umowami na wspólną promocję – praktycznie zniknęły z kulturalnej mapy. Sytuacja mniejszych europejskich kinematografii przypominała początki osadnictwa, o skali zaś zapaści hollywoodzkiego przemysłu najlepiej świadczył fakt, że po raz pierwszy w historii kina najbardziej kasowym filmem roku została produkcja spoza USA. Japoński „Demon Slayer: Mugen Train", grany w niektórych sieciach kin po sześćdziesiąt razy dziennie, był tylko rozszerzeniem popularnego serialu anime, lecz pozbawionym jakiejkolwiek konkurencji. Żeby nie było – obejrzałem, bo co miałem robić? Całkiem niezły.

Z kanapy widać lepiej?

W jednym uchu dźwięczał nam więc lament nad erozją biznesu filmowego, drugim nasłuchiwaliśmy opowieści o zmianie modelu dystrybucji. Ekspansja serwisów streamingowych oraz ich zderzenie z tradycyjnym kinem były oczywiście kwestią czasu, pandemia tylko przyspieszyła nieuniknione. Nie wydarzyło się nic, czego kilka lat wcześniej nie dało się wywróżyć z arkusza kalkulacyjnego. Jednak uznanie wyższości kanapy nad kinowym fotelem nie okazało się kwestią wyboru, tylko koniecznością. I z perspektywy czasu widać doskonale, że profity czerpane przez gigantów formatu Netfliksa czy Amazona były nie tylko wymierne (w postaci wpływów z subskrypcji), ale też symboliczne, dostrzegalne głównie przez tych, którzy narzekali na wysokobudżetową, hollywoodzką konfekcję.

To w końcu streaming stał się przestrzenią utożsamianą z jakiegoś rodzaju artystyczną wolnością; nie tylko z odważną, bezkompromisową kontynuacją rewolucji serialowej, ale też z tzw. totemami próżności, czyli drogimi autorskimi filmami uznanych reżyserów, od Martina Scorsesego („Irlandczyk"), przez Davida Finchera („Mank"), po braci Coen („Ballada o Busterze Scruggsie"), na które żaden hollywoodzki producent przy zdrowych zmysłach nie wydałby jednego dolara. Romantyczna narracja o wielkich artystach uwolnionych z kajdan jeszcze większych wytwórni miała tu kluczowe znaczenie. Nawet jeśli okazywało się, że owi artyści zanudzają nas kolejnymi świadectwami miłości własnej oraz remake'ami „Cinema Paradiso".

W kolejnych latach kina nie uratował nawet Christopher Nolan. Jego „Tenet" zarobił wprawdzie więcej niż kosztował, lecz, biorąc pod uwagę pandemiczne estymacje studia, i tak znalazł się pod kreską. Nie udało się to również asowi Jej Królewskiej Mości – „Nie czas umierać" zbliżyło się do magicznej granicy miliarda dolarów na odległość dwustu milionów, lecz przy nadmuchanym, trudnym do oszacowania budżecie wypadło blado w porównaniu z poprzednimi Bondami, „Spectre" i „Skyfall".

Polegli nawet King Kong i Godzilla razem wzięci, choć film, w którym skrzyżowali kły i pazury, był największym sukcesem tzw. hybrydowej dystrybucji, to jest jednoczesnej premiery w kinach i w streamingu. Ten właśnie model wydawał się jedyną słuszną drogą na czasy postpandemiczne, lecz szybko okazało się, że sieci kin nie są chętne do dzielenia się zyskami, a mniejsze hollywoodzkie studia, które nie mają swoich streamingowych dywizji, zostaną błyskawicznie wydrenowane ze środków przez zewnętrzne platformy.

Da się te wszystkie ponure anegdotki sprowadzić do jednego zasadniczego pytania. Skoro nowoczesne zestawy kina domowego oferują jakość porównywalną z tzw. kinowym doświadczeniem, a z równania odpadają osoby chrupiące nad uchem naczosy, to jak zagnać ludzi z powrotem do kin? Sam Mendes, twórca „American Beauty" i „Jarhead", ale też dwóch filmów o Bondzie, w rozmowie, którą przeprowadziłem w ubiegłym roku na festiwalu Camerimage, wyznał wprost: „Gdybym zaczynał kręcić swoje stare filmy dziś, większość z nich, i to bez żalu, kręciłbym z myślą o platformach streamingowych".

Lubię ten rodzaj antymodernistycznej refleksji, bo przypomina o tym, że w sztuce nie chodzi wcale o to, by spalać się do cna i że nie każdy seans musi być nabożeństwem. Jeśli więc nasz powrót do kin do pewnego stopnia się udał, to głównie dzięki temu, że słowo „film" zastąpiliśmy słowem „doświadczenie".

Takim „doświadczeniem" był wspomniany „Top Gun: Maverick". Podobnie „Avatar: Istota wody" Jamesa Camerona. Spektakle, które z perspektywy kanapy nie robiłyby większego wrażenia. I pewnie dlatego to właśnie one bez trudu przekroczyły magiczną granicę miliarda dolarów wpływów (w przypadku „Avatara" – nawet dwóch) z kinowych kas. Następstwem ich sukcesu jest nowy mit Hollywood: opowieść o ludziach, którym kino jest tak drogie, że postanowili wyciągnąć je za uszy z bagna. Nie układali się z platformami streamingowymi, wręcz dokładali do interesu, by dotrwać do czasów, kiedy znikną obostrzenia. Zaoferowali jakiś rodzaj „uczciwości" – tożsamej w tym przypadku z konkretnymi strategiami artystycznymi. Cruise wsadził prawdziwych ludzi do prawdziwych myśliwców, żeby dać odpór całej fali sztuczek z komputera, głównie – zjeżdżającym z disnejowskiego taśmociągu produkcjom superbohaterskim. Cameron odwrotnie – spędził dwie dekady pod wodą, by poświęcić znacznie ciekawsze projekty niż „Avatar" dla technologicznego postępu. Takie rzeczy tylko w kinie.

Kasyno zawsze wygrywa

Łatwość, z jaką Hollywood produkuje tego rodzaju heroiczne narracje, może

dziwić. Ale tylko do chwili, gdy uświadomimy sobie, że zarządzanie kryzysem to w Fabryce Snów leniwy poniedziałek. Wieńczący czasy Wielkiej Depresji przełom dźwiękowy w filmie doprowadził do bankructwa wielu wytwórni. Zaostrzone prawa antymonopolowe i telewizyjna ofensywa na przełomie lat 50. i 60. skończyły się kolejną recesją branży. Kiedy władzę w największych wytwórniach u progu lat 80. objęli bankierzy i finansiści, pożegnano się z płodnym artystycznie Nowym Hollywood, czyli formacją zrzeszającą talenty pokroju Johna Cassavetesa, Francisa Forda Coppoli czy Martina Scorsesego. I wreszcie, kryzys ekonomiczny z 2008 r. całkowicie wyrugował tzw. kino środka, realizowane za umiarkowany budżet ambitne filmy z komercyjnym potencjałem i gwiazdami w obsadzie.

Kronika tych porażek jest jednocześnie opowieścią o kolejnych sukcesach. O narodzinach nowych gatunków, wykorzystujących dobrodziejstwa dźwięku. O kinie tzw. wysokiego konceptu (producent Jerry Bruckheimer mawiał: jeśli nie jesteś w stanie streścić filmu w dwudziestu słowach, scenariusz powinien wylądować w koszu). O Nowej Przygodzie Spielberga i Lucasa, wypełniających pustkę po Nowym Hollywood. Wreszcie – o systemie rozpostartym na dwóch skrajnych biegunach, czyli potężnych superprodukcjach realizowanych przez wielkie studia oraz mniejszych, „niezależnych" filmach tworzonych najczęściej przez ich satelickie dywizje.

Na przykładzie systemu gwiazd widać doskonale, jak to dyskontowanie porażki działa w praktyce. Idea ludzi „większych niż kino" (to jest sprzedających filmy samym nazwiskiem) w zasadzie nie istniała w Hollywood przez ostatnie dwie dekady – unieważniły ją muskularne serie filmów o superbohaterach, w których liczył się raczej potencjał marketingowy samej marki. Dziś jednak powraca pod postacią wspomnianych zbawców i doprowadza do czegoś niepojętego. Oto komercyjny triumf staje się ni mniej, ni więcej tylko kryterium artystycznym. Zakładanie, że nie śpi Cameron, aby spać mógł Spielberg, to romantyzowanie zjawiska starego jak kino: filmy droższe zarabiają na filmy tańsze. Czy jednak naprawdę „Avatar 2" jest na tyle dobry, by rywalizować o Oscara z „Fabelmanami"?

Hollywood może się zmieniać tylko z powodów koniunkturalnych.
Jedyne, na co pozwolić sobie nie może, to funkcjonowanie w roli konserwatywnej przeciwwagi dla progresywnego streamingu.

Dzisiejsze Hollywood przypomina plac boju: megakorporacje pokroju Disneya, Comcastu czy Warner Bros Discovery tną koszty, jak mogą, gotowe filmy lądują na półkach, zwolnienia setek pracowników są na porządku dziennym, a serwisy streamingowe rozmnażają się przez fragmentację plechy. Podglądając ten harmider, chyba najłatwiej zrozumieć status Fabryki Snów jako centralnego węzła całej branży filmowej; mapę faktycznych i potencjalnych relacji, w które mogą ze sobą wchodzić najróżniejsze biznesowe i artystyczne podmioty. Celnie pisał o nich autor pulpowej szpiegowskiej literatury Kensington Roth: „Hollywood to drzwi prowadzące do tysiąca innych drzwi".

Wszystkie drogi prowadzą na Oscary

Jedyne, z czym Hollywood poradzić sobie nie może, to pokłosie nowej, obyczajowej rewolucji. Zapoczątkował ją ruch #metoo, później włączono w nią pytania o reprezentację mniejszości. To poważny problem, dotykający samej istoty wizerunku Hollywood jako mekki liberalnych środowisk artystycznych.

Lista przewin jest długa. Chodzi zarówno o niekonsekwencję w walce z plagą seksualnych nadużyć, jak i o opór przed profesjonalizacją zawodów filmowych (dotyczy to zwłaszcza koordynatorów intymności, którymi już szczycą się serwisy streamingowe) oraz skomplikowane biznesowe relacje z Chinami („być albo nie być" Hollywood zależy w dużej mierze od tamtejszego rynku). Zakładanie, że Hollywood miałoby się zmieniać z powodów innych niż koniunkturalne, byłoby naiwnością, lecz jedyne, na co system pozwolić sobie nie może, to funkcjonowanie w roli konserwatywnej przeciwwagi dla progresywnego streamingu.

Ceremonia wręczenia Oscarów nieodmiennie pozostaje fasadą hollywoodzkiego świata. Jej historia to w dużej mierze opowieść o – zazwyczaj spóźnionych – próbach odzwierciedlania społecznych nastrojów i oczekiwań. Czasem w formie nagród dla konkretnych filmów. Częściej – w postaci nieuchwytnej „atmosfery", na którą składa się w zasadzie wszystko: od żartów prowadzących i deklaracji politycznych, po wystrój sali.

Emblematyczna była ceremonia sprzed trzech lat, która wyglądała jak spotkanie klubu książki. Na pustawej scenie każdy zachowywał się tak, jakby bał się własnego cienia. Ktoś milczał przez kilkanaście sekund, ktoś inny cytował Wernera Herzoga, nagrodzono film „Nomadland" o współczesnych amerykańskich prekariuszach. Kiedy jednak opadł kurz po pandemii, cyrk się wybudził w najlepsze: Will Smith spoliczkował Chrisa Rocka (a później zanosił się szlochem, odbierając statuetkę dla najlepszego aktora), Regina Hall stroiła sobie żarty z covidu, a wyrazy wsparcia dla Ukrainy brzmiały, jakby wygłaszano je z pistoletem przy skroni. Daję sobie rękę uciąć, że w tym roku będzie mowa o „samolotach zwycięstwa" Toma Cruise'a, które kilka miesięcy temu latały nad Cannes przy akompaniamencie fajerwerków, czemu z ulicy przyglądali się z trwogą ukraińscy filmowcy.

„Najsłynniejszym symbolem Hollywood jest sam napis Hollywood, górujący nad wzgórzami Los Angeles. Jego historia – od reklamy osiedla mieszkaniowego Hollywoodland, do symbolu całego przemysłu filmowego; od nowości zwiastującej lepsze jutro, przez kolejne procesy erozji, po odnowę za pośrednictwem środków Izby Handlowej – jest idealną metaforą całej branży. Podobnie jak filmy oraz przemysł, który owe filmy sprzedaje, znak Hollywood jest jedną wielką autoreklamą" – pisał krytyk filmowy Christopher Ames. I trudno o lepszą definicję tego *perpetuum mobile*.

Ilekroć naiwnie pomyślimy, że Hollywood próbuje wsłuchać się w jakiś „puls rzeczywistości", producenci Oscarów brutalnie ściągają nas na ziemię. Jasne, istnieje coś takiego jak rzeczywistość. To miejsce, w którym podaż zawsze odpowiada popytowi. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Autor jest redaktorem naczelnym portalu filmweb.pl.

Lament po stracie

DOROTA KOZIŃSKA

Evelyn Waugh miał poczucie, że zniszczenia wojenne tylko dopełniły obraz zmierzchu i upadku brytyjskiego dziedzictwa. Jako snob i konserwatysta utożsamiał je z duchowym i materialnym dorobkiem arystokracji.

Pierwszy odcinek serialu „Znowu w Brideshead" wyemitowano w Polsce 6 stycznia 1990 roku – w sobotę, w wieczornym paśmie Programu 2, nieco ponad dziewięć lat po premierze brytyjskiej. Kraj trząsł się w posadach, kończył się dawny ustrój, wielkie nadzieje mieszały się z lękiem i niepewnością. Na szarych ulicach i w szarych mieszkaniach niewiele się jeszcze zmieniło. Obrazy schyłkowego PRL-u tak skutecznie wymieszały mi się w pamięci z narodzinami III Rzeczpospolitej, że gdyby nie pomoc znajomego filmoznawcy, który wygrzebał datę emisji z dawnej ramówki Telewizji Polskiej, cofnęłabym premierę serialu co najmniej o trzy lata.

Zapomniałam, że nagły wysyp zachodnich programów telewizyjnych był jednym z pierwszych objawów świeżo odzyskanej wolności. A przy tym dawał okazję do cotygodniowych spotkań towarzyskich. Warszawscy inteligenci, którzy na znak protestu pozbyli się odbiorników na początku stanu wojennego, zacieśnili więzi z nielicznymi posiadaczami własnego kąta i dostępu do dwóch kanałów TVP. Nasze notowania wzrosły: byliśmy młodym małżeństwem na dorobku, obdarowanym przez krewnych przenośnym, czarno-białym telewizorem z antenką.

Wieczorami, kiedy syn już spał, kilkunastometrowa kawalerka na Muranowie zapełniała się tłumem gości. „Znowu w Brideshead" – w towarzystwie dwóch zaprzyjaźnionych malarzy. Serial według nieznanej powieści Evelyna Waugha (przekład Ireny Doleżal-Nowickiej ukazał się dwadzieścia lat wcześniej i przeszedł w Polsce bez echa) stał się dla wielu naszych rówieśników przeżyciem pokoleniowym. A przy tym doświadczeniem ulotnym, wymagającym maksymalnego skupienia, niedającym nadziei powrotu. Odcinki emitowano raz w tygodniu, zawsze o tej samej porze. Nasi goście już nigdy potem nie byli tak punktualni. Rozmowy przeciągały się czasem do białego rana. Wszyscy trwaliśmy w zachwycie, każdy z odrobinę innego powodu.

Łączyło nas przeświadczenie, że obcujemy z arcydziełem: bliską ideału adaptacją prozy (przez dwa i pół miesiąca emisji wielu zdążyło zapoznać się z pierwowzorem), niezrównanym popisem sztuki aktorskiej (w połączeniu ze zjawiskową urodą odtwórców głównych ról: w Dianie Quick, Jeremym Ironsie i Anthonym Andrewsie kochaliśmy się jak podlotki), przykładem doskonałej roboty filmowej (nie wspominając o stylowej, zapadającej w pamięć na całe życie muzyce Geoffreya Burgona).

Dzieliły nas opinie, co w tej historii jest najważniejsze – pięknie zawoalowany, a jednak czytelny podtekst erotyczny męskiej przyjaźni? zabarwione sarkazmem sceny międzywojennej dekadencji? przejmujący obraz upadku starej Anglii? A może – jak chciał sam Waugh – umoralniająca przypowieść o mocy grzechu, skruchy i pojednania?

Oni to nie oni

Wydawnictwo Czarne wznowiło właśnie książkę Evelyna Waugha w tym samym przekładzie, ale pod bałamutnym, zmienionym już jakiś czas temu tytułem „Powrót do Brideshead" – zapewne ze względów marketingowych, tak bowiem polscy dystrybutorzy nazwali film pełnometrażowy z 2008 roku i tak anonsuje się kolejną brytyjską adaptację w odcinkach, która miała trafić na platformy serialowe już w roku ubiegłym. Kto przeczyta całość, ten doceni celność tłumaczenia „Brideshead Revisited" na „Znowu w Brideshead". To nie jest nostalgiczna historia powrotu do arystokratycznej rezydencji w hrabstwie Wiltshire. To historia nieustannej i wielowątkowej „rewizji" myślenia o tym miejscu i związanych z nim bohaterach – redefinicji zastanego porządku świata, który zdawał się wieczny, a zaczął się kruszyć jeszcze przed tragedią Wielkiej Wojny, by ostatecznie, jak się wówczas zdawało, popaść w ruinę w następstwie II wojny światowej.

Waugh pisał „Znowu w Brideshead" w pierwszej połowie 1944 roku, odstawiony od czynnej służby po kontuzji spadochronowej. Jak wyjaśnia we wstępie do kolejnego wydania z 1959 roku, kierował się wtedy „głodną tęsknotą (...) za splendorami minionej przeszłości". Nie spodziewał się powojennego nawrotu fascynacji dziedzictwem angielskiej arystokracji. I właśnie dlatego – tłumaczy dalej – „duża część tej książki jest panegirykiem wygłoszonym nad pustą trumną".

Czy jednak rzeczywiście? Czy w finale powieści Waugh zdołał przekonać czytelników, że łaska Boża wszystko przemienia w dobro? Czy nie nazbyt pochopnie założył, że Charles Ryder, „bezdomny, bezdzietny, w średnim wieku, po-

ITV / MATERIAŁ PRASOWY

Anthony Andrews, Diana Quick i Jeremy Irons w filmie „Znowu w Brideshead" z 1981 r.

zbawiony miłości", pod koniec obchodu zarekwirowanej i zdewastowanej przez armię rezydencji rozpromieni się na widok nietkniętej kaplicy, gdzie płomień lampy „na nowo pali się wśród starych kamieni"?

Nie umiem odpowiedzieć na te pytania. Tekst „Znowu w Brideshead" pod pewnymi względami przypomina Apokalipsę, która zdaniem św. Hieronima zawiera tyle tajemnic, ile słów – począwszy od archaizującego motta, przywodzącego na myśl inskrypcję na nieistniejącej rzeźbie: „I am not I; thou art not he or she; they are not they" („Jam nie jest mną. Tyś nie on ani ona. Oni to nie oni" – ten fragment podaję we własnym przekładzie, żeby uwypuklić sens oryginału). Enigma, a zarazem wskazówka: wszystko tu ma swój pierwowzór, zostało jednak przefiltrowane przez wrażliwość i wyobraźnię pisarza.

Biada więc temu, kto spróbuje zinterpretować „Brideshead Revisited" jako powieść autobiograficzną, choć pisząc ją, Waugh czerpał pełnymi garściami zarówno z doświadczeń własnych, jak i z przypadków ludzi, z którymi przyszło mu się zetknąć przez pierwsze czterdzieści lat życia. Syn cenionego pisarza, krytyka literackiego i wydawcy Arthura Waugha zawsze czuł bliższą więź z matką, lekceważony przez ojca, który faworyzował pierworodnego Aleca, starszego od Evelyna o przeszło pięć lat. Być może dlatego Waugh uśmiercił matkę Charlesa Rydera, głównego protagonisty i narratora książki, wychowanego samotnie przez wdowca.

Właściwa akcja „Znowu w Brideshead" rozpoczyna się w roku 1923 – od spotkania Rydera z ekscentrycznym Lordem Sebastianem Flyte, „w bezchmurny czerwcowy dzień, kiedy rowy kipiały kremowobiałą tawułą". Wszystkie szczegóły wskazują, że ta brzemienna w skutki znajomość zawiązała się w Hertford College w Oksfordzie – tym samym kolegium, gdzie Waugh rok wcześniej podjął studia w dziedzinie historii nowożytnej.

Barakuda

Evelyn Waugh, podobnie jak Robert Byron, którego sylwetkę kreśliłam na tych łamach przy okazji polskiego wydania „Europy w zwierciadle", był członkiem nieformalnego Klubu Hipokrytów, w teorii zrzeszającego miłośników filozofii, w praktyce zaś – wielbicieli kuchni suto podlanej oksfordzkim piwem oraz siewców wszelakiej rozpusty.

Niektórzy z bohaterów powieści noszą wyraźne rysy jego uniwersyteckich kolegów, część przedstawionych w książce epizodów wydarzyła się naprawdę. Otwarcie homoseksualny Anthony Blanche („przeestetyzowany dupek", jak podsumował tę postać sam Waugh) łączy cechy rozkapryszonego arystokraty Briana Howarda oraz słynnego z upodobania do meloników, jedwabnych pończoch i workowatych spodni Harolda Actona, jednej z najbarwniejszych figur życia studenckiego w Oksfordzie. To właśnie Actona przyłapano kiedyś w oknie Christ Church na recytowaniu poezji przez megafon: niewykluczone, że były to „całe ustępy z »Ziemi jałowej«", które powieściowy Blanche wykrzykuje przez głośnik „opatulonym w swetry tłumom studentów zdążających w stronę rzeki".

W serwowanych przez Sebastiana jajkach siewki, które matka przysyłała mu z Brideshead, Evelyn Waugh rozsmakował się za sprawą Johna Sutro, założyciela Klubu Kolejowego, którego członkowie regularnie biesiadowali w pociągu do Penzance. Sutro był Żydem. Acton – potomkiem rodu baronetów o amerykańsko-włosko-angielskich korzeniach. W Blanche'u było „coś amerykańskiego, częściowo galijskiego, nawet żydowskiego – słowem, całość egzotyczna".

Opis życia uniwersyteckiego u Waugha jest tak celny i żywy, że docenił go nawet Cecil Maurice Bowra – wybitny starożytnik i legendarny dziekan Wadham College. Bowra siał istny postrach w Oksfordzie. Słynął nie tylko z erudycji, lecz także wyjątkowej złośliwości oraz szczególnego poczucia humoru. Jest bohaterem jednej z moich ulubionych anegdot o uczonych: otóż pewnego razu wykładowcy kolegium umówili się, że przed kolejnym spotkaniem przy obiedzie przestudiują dokładnie artykuł poświęcony barakudzie w Encyklopedii Britannica – żeby w stosownej chwili wdać się w ożywioną dyskusję na temat morfologii i biologii rozrodu tej drapieżnej ryby tropikalnej i wreszcie czymś zaimponować znienawidzonemu koledze. Z początku wszystko wskazywało, że spisek się powiódł. Bowra dłubał w jagnięcej pieczeni ↦

↦ i nie włączał się do rozmowy. Wreszcie któryś z wykładowców nie wytrzymał i spytał go, czemu nie zabiera głosu w tak interesującej kwestii. Bowra odparł, że wszystko, co miał do powiedzenia o barakudzie, zawarł w artykule do Encyklopedii Britannica.

Waugh obszedł się z Bowrą bezlitośnie, wyposażając w najgorsze jego cechy Sammy'ego Samgrassa, „nadwornego akademika" Lady Marchmain. Tym razem nie owijał w bawełnę, jakież więc było jego zdumienie, kiedy pierwsi czytelnicy „Znowu w Brideshead" nie rozpoznali kąśliwej aluzji. W przeciwieństwie do Bowry, który z miejsca odnalazł się w opisie Samgrassa, pogratulował Evelynowi celnej karykatury i dodał kilka uwag na temat kwiecistego stylu pisarza, który skojarzył mu się z „bezą na torcie weselnym" – oczywiście poza znakomitymi fragmentami dotyczącymi jego samego.

Posiadłości

Wielu moich przyjaciół wraca do lektury powieści Evelyna Waugh właśnie ze względu na epizody oksfordzkie i z upodobaniem odkrywa w nich coraz to nowe warstwy znaczeń. Inni podkreślają ze wzruszeniem, że swój autentyczny pierwowzór ma nawet Aloysius, ukochany pluszowy miś Sebastiana. Podobnego miał kiedyś poeta John Betjeman, uczeń C.S. Lewisa, protegowany i przyjaciel Bowry, po wojnie żarliwy obrońca dziedzictwa brytyjskiej architektury i urbanistyki. Betjeman miał dwóch wypchanych trocinami ulubieńców: misia Archiego i słonia Jumbo. Zmarł w 1984 roku, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, trzymając obie zabawki w objęciach.

Wszystkie te „echa odległej przeszłości" nie mogą się jednak równać z mistrzowskim, wręcz zmysłowym opisem tytułowej rezydencji. Lecz powieściowe Brideshead nie istnieje. Zdradza tylko szereg podobieństw z Madresfield Court w hrabstwie Worcestershire, po dziś dzień – od prawie sześciuset lat – należącym do rodziny Lygonów i dziedziczonym nieprzerwanie, w linii prostej lub bocznej, od XII wieku. Waugh bywał częstym gościem w tym dworze, choć dopiero w latach 30. – korzystając z zaproszenia sióstr Hugh Lygona, przyjaciela, a zdaniem niektórych kochanka pisarza z czasów oksfordzkich, w którym nie-

BETTMANN / CONTRIBUTOR / GETTY IMAGES

Evelyn Waugh, ok. 1930 r.

trudno dopatrzyć się pierwowzoru postaci Sebastiana.

W swoich instrukcjach dla niedoszłych hollywoodzkich ekranizatorów „Znowu w Brideshead" Waugh sugerował jednak zmianę scenerii na coś znacznie okazalszego, reprezentującego nie tylko ciągłość tradycji, lecz i dwoistość losów brytyjskiej arystokracji, rozdartej między pamięcią o najdawniejszych przodkach a potrzebą podkreślenia swej pozycji barokowym przepychem nowszych założeń architektonicznych. Zapewne dlatego wybór realizatorów serialu z 1981 roku padł na Castle Howard w North Yorkshire, jedną z największych i najokazalszych rezydencji w Wielkiej Brytanii, wzniesionej na przełomie XVII i XVIII wieku z polecenia Charlesa Howarda, 3. Hrabiego Nottingham, według projektu Johna Vanbrugha – który był nie tylko wyśmienitym architektem, lecz i uzdolnionym dramatopisarzem, autorem znakomitych komedii obyczajowych epoki Restauracji.

Zapierający dech w piersiach rozmach tej posiadłości i dosłownie teatralny wymiar całego założenia musiał zrobić piorunujące wrażenie na Waughu, który odwiedził pałac niedługo przed wybuchem II wojny światowej. W roku 1940 południowo-zachodnie skrzydło rezydencji zostało niemal doszczętnie strawione przez pożar.

Waugh miał jednak poczucie, że zniszczenia wojenne tylko dopełniły obraz zmierzchu i upadku brytyjskiego dziedzictwa kulturowego, które jako snob i konserwatysta utożsamiał przede wszystkim z duchowym i materialnym dorobkiem arystokracji. Proces degradacji rozpoczął się w latach 70. XIX wieku, za sprawą wzrostu podatków i postępującego kryzysu w rolnictwie. Krach nadszedł po Wielkiej Wojnie, kiedy do opustoszałych dworów często nie miał kto wracać.

Ostateczny cios w tradycję wiejskich posiadłości wymierzyła II wojna światowa. Zarekwirowane przez wojsko rezydencje przekazywano właścicielom w opłakanym stanie. Zdziesiątkowanych przez obydwa konflikty rodzin nie było stać na prowizoryczne choćby remonty. Domy rozbierano, sprzęty, obrazy, pamiątki – rozprzedawano na aukcjach za bezcen.

Umierała nie tylko substancja, ale i duch tych niezwykłych miejsc. W niebyt odchodziły całe społeczności, ukonstytuowane wokół wiejskich „*big houses*", których dziedzice zapewniali mieszkańcom nie tylko zatrudnienie i dach nad głową, ale też roztaczali patronat nad „swoimi" szkołami, kościołami i szpitalami. Pisząc „Znowu w Brideshead", Waugh nie mógł jeszcze przewidzieć, że właściciele ocalałych rezydencji dokonają z czasem ich gruntownej przebudowy i uczynią z nich jedną z największych atrakcji turystycznych Wielkiej Brytanii. Z pewnością jednak – i słusznie – przeczuwał, że „w ogóle będzie inaczej niż dawniej".

Dlatego „Brideshead Revisited" odbieram przede wszystkim jako dojmujący lament po utracie. Doskonale uchwycony już w pierwszym odcinku telewizyjnej adaptacji z 1981 roku, w której narrator oznajmia zmęczonym głosem Jeremy'ego Ironsa, że „tutaj, mając lat trzydzieści dziewięć, zacząłem się starzeć. (...) Tutaj umarła moja ostatnia miłość. (...) Zdałem sobie sprawę, że coś we mnie, od dawna wątłego, spokojnie umarło".

Waugh odszedł w 1966 roku. Jeśli w poczuciu łaski i piękna, zabrał swą tajemnicę do grobu, bo swą ziemską egzystencję podsumował stwierdzeniem, że wszystko było gorsze niż śmierć.

© DOROTA KOZIŃSKA

Evelyn Waugh
ZNOWU W BRIDESHEAD
przekład Irena Doleżal-Nowicka.
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

Przelotna garderoba

DOROTA KOTAS, PISARKA:

Mam teraz poczucie winy, że kiedyś miałam poczucie winy. Pewnie mogłabym mieć lżejsze życie, bez zadręczania się, gdybym tylko urodziła się w większym mieście, w innej rodzinie i trochę później.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Skąd się wzięło słowo „czułość", widniejące na ścianie śmietnika w głębi Twojego podwórka?

DOROTA KOTAS: Wcześniej było tam graffiti z wąsatą gębą. Taki mam widok z okna. Nie podobał mi się, więc pomalowałam błękitną farbą całą ścianę, a żeby nie była nudna, napisałam na niej „czułość", ale to było dawno. Potem na dole ktoś dopisał „seks", co mi się spodobało, ale niestety później ktoś to słowo zamalował i na razie tak zostało.

Widać ślady bitwy na słowa.

Spójrz w prawo: na ścianie jest inne graffiti – różowe UFO. Lubię je, bo jest odleciane, podobnie jak „lipcowa lesba" na podwórku obok, chociaż nie mam pojęcia, czy to jest afirmacja, czy może ktoś miał na myśli co innego. W dodatku „lesba" jest napisana na różowo i pod skosem – ten brak pionu jest ujmujący, bo wykracza z porządku, łamie dyscyplinę. A zwróciłaś uwagę na hasło w przejściu: „strefa wolna od nienawiści"? Nikt nie wierzy, kiedy mówię, że to nie ja pisałam.

Słowo, które zrobiło na Tobie szczególne wrażenie w powieści „Orlando" Virginii Woolf? Właśnie napisałaś wstęp do tej książki.

Samo imię – Orlando. Jest dla kogoś, kto może być kimkolwiek zechce. Podoba mi się, jakie jest pojemne i nie narzuca żadnej konkretnej formy. Lubię to w języku, kiedy jest na wolności, a nie lubię, kiedy słowa są zbyt jednoznaczne. Ja też wolę nazywać siebie Kotas niż Dorota.

Virginii Woolf spodobałoby się w Warszawie?

To miasto nie jest jednoznacznie piękne. Z okna mam widok na śmietnik, więc kiepsko, ale często znajduję w nim piękne meble, więc dobrze. Jest też sporo darmowego jedzenia po terminie przydatności. Żywiłam się w taki sposób długo, kiedy oszczędzałam. Nie tylko z biedy. Podobało mi się, że mogłam upolować niespodziewane produkty. Jednego dnia – zwiędłe marchewki, a innego – dziesiątki opakowań kinder czekolady. Czasami przez kilka dni z rzędu jadłam tylko i wyłącznie guacamole. Pod tym względem miasto jest wygodne i pożywne.

I dalej ubierasz się w second handach? Jest taki wątek w Twoich „Pustostanach" i „Cukrach".

Mocno wierzę w to, że jeśli ktoś lubi historie, to na pewno lubi i docenia również garderobę z drugiej ręki. Może poczuć się kimś innym. Ubranie zamyka ciała w formie – dlatego tak kusi, by mieć je wszystkie. Kocham ubrania, ale najbardziej te brzydkie i stare. Zależy mi, by były miękkie i ciepłe, stąd słabość do polarów. Kiedyś miałam fazę na kombinezony robotnicze. Wszystkie były za duże, ale mam maszynę do szycia, więc to nie problem. Orlando też się przebiera, bo konwencja płci wymaga, aby stosować się do pewnych reguł. Na szczęście można je przekraczać. Dostrzega się wtedy, jak niewygodna jest damska garderoba.

Przecież zupełnie inaczej żyje się z ciałem ubranym w sukienkę, a inaczej w polarze z kapturem i dużą ilością kieszeni, do których mieszczą się ręce.

Twój pies jest rasowy. Nie bardzo wiem czemu, ale jednak mnie to zaskakuje.

Nie planowałam nigdy posiadania rasowego psa. Jednak sam się zjawił, ktoś w wakacje zostawił go w lesie. Teraz Ruta ma 10 lat, ale najczęściej zachowuje się jak szczeniak, tyle że o siwym pysku i z atakami padaczki, które zdarzają się, gdy ma zbyt wiele emocji. Gdy była młodsza, skończyła kurs na dogoterapeutkę. Odwiedzałyśmy razem pacjentów m.in. w Centrum Alzheimera. Wizyty prawie zawsze zaczynałyśmy u pani Basi, która nie mówiła, w ogóle się nie poruszała, drgały jej tylko powieki. Całymi dniami leżała w łóżku przed włączonym telewizorem. Niektórzy mówili, że kiedy do pokoju wchodzą psy, to ona leciutko się uśmiecha, tak jakby kiedyś miała psa i dobre wspomnienia.

Rutka nadal sypia na Twojej głowie, o czym piszesz w „Cukrach"?

Moja dziewczyna na to nie pozwala. Kiedyś było tak, zawsze byłam z psem, a jeśli gdzieś nie mogłam z nim być, to obrażałam się strasznie i postanawiałam nigdy więcej tam nie wracać. Nie chciałam w ogóle przebywać w miejscach, gdzie dla zwierząt obowiązywał zakaz wstępu, bo to wydawało mi się zbyt niesprawiedliwe.

Pozwalali?

Udawałam, że to mój pies terapeutyczny, który musi mi towarzyszyć, bo rzeczywiście mam autyzm, choć wtedy nie miałam na to żadnych dokumentów. Jednak to działało, więc studiowałam razem z Rutką socjologię i antropologię płci. Pies chodził ze mną na wykłady, czasami siedział na krześle przy stole, ale głównie spał w nogach i nikomu nie przeszkadzał. Z czasem powiększyła się moja rodzina, weszłam w związek, przygarnęłam dwa koty – i teraz wszystkie zwierzęta śpią razem w kuchni. W moim domu muszą być zwierzęta.

Coś jeszcze?

Mam słabość do przedmiotów z przeszłością. Tę szafeczkę, co wisi nad twoją głową, kupiłyśmy od pana, który powiedział, że stanowiła wyposażenie gabinetu pielęgniarki. I rzeczywiście wewnątrz znalazłyśmy stare leki, gazy, bandaże, nieklejące się już plastry. Matka Boska, ta na górnej półeczce, ma trochę obdrapaną twarz, bo jest z targu staroci we Wrocławiu, kosztowała 10 zł. Kiedy wyjeżdżamy gdzieś z moją dziewczyną, najpierw sprawdzamy, co jest w okolicy i nie są to nigdy muzea, tylko raczej miejsca, w których można szperać, najlepiej z ogromem rzeczy ustawionych w kartonach na podłodze. Mamy mapę z pinezkami – targi staroci i lumpeksy zaznaczone są ↦

↦ sercem. Kupujemy to, co nas jakoś woła – na przykład w Bytomiu złotą skrzynkę za 30 zł. Pani, która ją nam sprzedawała, powiedziała, że to „markowa skrzynka po kawie Jacobs". Potem zapytała, na co tę skrzynkę chcemy przeznaczyć. My na to, że na kapliczkę na działce ROD. I wtedy zapaliły się jej oczy: widać było, jak nam zazdrości, że sama na to nie wpadła.

Mówisz o tej działce, którą kupiłaś za Nagrody – Gdynię i Conrada – dla „Pustostanów"?

Kupiłam ją właściwie za Gdynię, bo pieniądze z Conrada zostawiłam sobie na życie, by nie pracować, tylko mieć więcej czasu na pisanie. Działka to moje sanatorium. Ekscytuje mnie wszystko, co nadaje się do zasadzenia. Zbieram różne dziwne nasiona i sprawdzam, czy coś z nich wyrośnie. Mamy szklarnię – zbudowałyśmy ją same ze starych okien. Jest też wanna, w której urządzamy kąpiele – w upalne dni wanna w ogrodzie ratuje nam życie. Rosną stare drzewa – najważniejszy powód, dla którego wybrałam tę, a nie inną działkę. Podobno te drzewa mają już ponad 80 lat, krzewy tyle samo. Przez całą zimę jem naleśniki z dżemem z wiśni albo agrestoporzeczki, które zbieram na swojej działce, i snuję fantazje o przyszłym sezonie: czy zaowocuje świdośliwa? na jaki kolor pomalować wannę w tym roku? – i tym podobne.

GRAŻYNA MAKARA

Nie daje mi spokoju ta kapliczka.

W gimnazjum byłam oazówką. Kiedy mnie to znudziło, cała rodzina przemieniła się akurat w katolików-radykałów. W tym wydaniu religia służyła głównie do tego, by osądzać i oceniać innych. W domu, z którego pochodzę, religia często przybierała formy groteskowe: mieliśmy obraz z Jezusem w wersji 3D – prezent od babci. Obwieściła, że Jezus będzie u nas wisiał, dopóki grzech nie zniknie z tego domu. Trójwymiarowy Jezus kiwał się na krzyżu w przód i w tył, mrugał okiem, krew się leje, a w tle są fioletowe chmury. Wszystko wydrukowane na licznych warstwach plastiku.

Twoja religijność?

Mieszkaliśmy w Garwolinie, na obrzeżach miasta, przy obwodnicy, którą wtedy budowano. Podświetlane kapliczki i stare kobiety, które w maju śpiewały pod posążkiem na skrzyżowaniach dróg, to było coś wyjątkowego. Brałam w tym udział, bo miło było siedzieć na skrzyżowaniu i śpiewać piosenki. Ciepły wieczór, pani mieszkająca w domu na rogu rozdaje teksty na kartkach, a reszta przepisuje je sobie do zeszytu. Mam sentyment do tych pieśni.

DOROTA KOTAS:

Kocham ubrania, ale najbardziej te brzydkie i stare. Zależy mi, by były miękkie i ciepłe, stąd słabość do polarów. Kiedyś miałam fazę na kombinezony robotnicze.

I do ich śpiewania?

To raczej folklor i sposób na spędzanie razem czasu. Szczególnie podobają mi się kolędy – im starsze i im smutniejsze, tym podobają mi się bardziej. Lubię też pieśni, w których mieszają się słowa z różnych języków, trochę po polsku, trochę łemkowszczyzny. Jest w nich coś transowego, kiedy śpiewa się je zimą, przy stole, po nocach, a za oknem jest mróz – czas się w pewnym sensie zatrzymuje. To też element spotykania się z ludźmi i robienia razem czegoś niecodziennego.

A bycie w oazie?

W Garwolinie nie było rozrywek. Jedyną alternatywę stanowiło harcerstwo. Oaza była okazją do poznawania innych osób. Mogłam brać udział w wyjazdach, stosunkowo tanich, moich rodziców było na to stać. Rekolekcje trwały 15 dni, każdy dzień miał mieć symbolikę innej tajemnicy różańca. Chodziłam też na

DOROTA KOTAS (1994) jest poetką. Za swoją pierwszą książkę „Pustostany" (2019) otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii proza, Nagrodę Conrada i nominację do Nagrody im. W. Gombrowicza za najlepszy debiut. W Wydawnictwie Literackim ukazała się właśnie powieść Virginii Woolf „Orlando" w tłumaczeniu Tomasza Bieronia i ze wstępem Doroty Kotas.

pielgrzymki do Częstochowy, gdyż pociągał mnie ich survivalowy klimat: spanie w namiotach, gotowanie na butlach z gazem i mycie się po domach u obcych ludzi.

Towarzystwo?

Całkiem sporo lesbijek, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Byłam w grupie dziewczyn, wszystkie mniej więcej w moim wieku, a opiekowała się nami animatorka starsza o sześć lat, studentka. To wszystko miało aurę romantyczności: siedziało się przy zapalonej świecy i prowadziło głębokie rozmowy. Na spotkaniach jadłyśmy żelki kupowane na sztuki w sklepie naprzeciwko kościoła, czytałyśmy ezoteryczne opowiadania o „ciepłym i puchatym" oraz modliłyśmy się o dobrych mężów. Po modlitwach była gra w mafię. Podobało mi się też wchodzenie do niedostępnych miejsc, np. czuwania z leżeniem na podłodze przy samym ołtarzu – panowała tam taka intymna atmosfera, dziewczyny płakały ze wzruszenia. Oraz ogniska przy plebaniach: młodzi księża grający na gitarach, czasem opowiadali o swoich tragicznych miłościach. Pisałyśmy modlitwy wiernych, które odczytywałyśmy w trakcie mszy i wszyscy nas słuchali, my mówiłyśmy: „Ciebie prosimy", a ludzie odpowiadali: „wysłuchaj nas Panie" – było super. Czułam się lepsza od wszystkich, którzy kończyli te refreny, ponieważ mogłam je zapodawać i wymyślić sama, za kogo modli się cały kościół.

Długo tak było?

Im byłam starsza, tym wyraźniej widziałam hipokryzję i rzeczy, które już mi nie odpowiadały. Kłopotliwa była dla mnie zwłaszcza moda maryjna – od dziewcząt wymagało się chodzenia w rękawach do łokcia i spódnicy za kolana. Klęczałyśmy przed księdzem, który kontrolował, czy nasze spódnice dotykają do podłogi. Na obozach chłopcy zgłaszali się do dziewczyn per „aniołki" – wykonywałyśmy im na czołach znak krzyża i całowałyśmy w czoło. Bardzo nie chciało mi się tego robić, ale raczej nie było przestrzeni na odmowę i oczywiście księża też zgłaszali się po „aniołki" na dobranoc. Na pierwszym wyjeździe wiele dzieci płakało z tęsknoty, a klerycy je pocieszali. Apostazji dokonałam mieszkając już w Warszawie. Nie chciałam być przypisana do struktury, której poglądów nie podzielam.

Jak to wyglądało?

Formalność. Powiedziałam: jeśli Kościół uważa, że ja „jestem chora na homoseksualizm", albo że jestem „zarazą", to nie chcę być w jego statystykach. Ksiądz, na którego trafiłam, nie był tym zdziwiony i nie dyskutował.

Kiedy uświadomiłaś sobie, że jesteś lesbijką?

Na studiach. Nie miałam na to języka, gdy byłam nastolatką. Oczywiście wiedziałam, że istnieją geje i lesbijki, ale głównie teoretycznie, i myślałam, że to jakieś złe osoby. Mężczyźni homoseksualni są bardziej obecni w świadomości społecznej. Równocześnie wiele osób uważa, że geje mają trudniej niż lesbijki, muszą się ukrywać, istnieje wobec nich silniejszy ostracyzm. Tymczasem lesbijki traktowane są jako obiekt fantazji erotycznych mężczyzn, nakłada się na nie kategorię porno, tak jakby cała ich tożsamość sprowadzała się do jednego wątku. Jak się kogoś seksualizuje, to także unieważnia – lesbijki traktowane są jak przyjaciółki, a ich tożsamość jako coś tymczasowego, chwilowy kaprys.

Próbowałaś to zrozumieć?

Gdy byłam nastolatką, czytałam blogi lesbijek, próbowałam rozkminić, kim one właściwie są i jak żyją. Wydawały się całkowicie zwyczajne. Ale Kościół przed nimi ostrzegał, a ja nie miałam nikogo, z kim mogłabym to przegadać, nie myślałam też, że to może być coś o mnie. Odkrywanie siebie jako lesbijki to był więc długotrwały proces sprawdzania, oczywiście z wielkim poczuciem winy, że pójdę za to do piekła.

A teraz?

Teraz mam poczucie winy, że kiedyś miałam takie poczucie winy. Pewnie mogłabym mieć lżejsze życie, bez zadręczania się, gdybym tylko urodziła się w większym mieście, w innej rodzinie i trochę później.

I o tym też myślałaś, czytając powieść Woolf?

Zaskakuje, że powieść z 1928 r. jest napisana tak swobodnie. To, kto jest jakiej płci, nie jest głównym tematem, a rodzajem żartu. Czy Orlando jest mężczyzną czy kobietą – nie zmienia zupełnie tego, kim właściwie jest. Zmieniają się tylko atrybuty, stroje, zachowanie ludzi wokół. Wynika z tego, że płeć jest rodzajem kostiumu, który można zmienić.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Nowy portret Sisi

ANITA PIOTROWSKA

W filmie austriackiej reżyserki Elżbieta Bawarska wymyka się obrazowi anarchizującej trzpiotki, znudzonej dworską etykietą. A najsłynniejsze zdrobnienie w ogóle nie pada.

M2 FILMS

W XX wieku, na długo przed księżną Dianą, stała się własnością popkultury, eksploatowaną przez kino, telewizję, scenę, modę i przemysł pamiątkarski. Chciałoby się zapytać, ile z Elżbiety Bawarskiej ostało się w tych przedstawieniach. Jedno jest pewne: austriacka cesarzowa nie miała klawego życia.

Teraz, równolegle z banalnym miniserialem na Netfliksie, jej obraz dekonstruuje film „W gorsecie". Historycy zgrzytają zębami, ale reżyserce i scenarzystce Marie Kreutzer w ogóle nie chodziło o biografię, fresk z epoki Habsburgów ani – wbrew tytułowi – o film kostiumowy.

Tylko z takim nastawieniem można w pełni docenić nowy portret Sisi, choć owo zdrobnienie w ogóle z ekranu nie pada. Czterdziestoletnia monarchini odrywa się od wizerunku ślicznej i chimerycznej *die Kaiserin*, idealnie upostaciowionej ongiś przez Romy Schneider. Ponadto film przemilcza bądź przeinacza wiele faktów i w finale nawet uśmierca bohaterkę po swojemu. Zakłada bowiem, że najistotniejsze rzeczy już o niej wiemy, po co więc raz jeszcze bawić się w kino historyczne czy buduarowe. Może lepiej w imię twórczej wolności i lepszej sprawy poluzować zbyt ciasno sznurowany gorset i zobaczyć w Elżbiecie po prostu „nagą" kobietę – zmęczoną, wyobcowaną i wielce skomplikowaną. Kreutzer czerpie z tego prawa garściami, podobnie jak luksemburska aktorka Vicky Krieps, grająca Sisi z właściwym sobie subtelnym rozwibrowaniem. To rola, która nie oczekuje naszych polubień dla odtwarzanej postaci i bezustannie zwodzi zamiast uwodzić.

„Tygrysa bengalskiego albo powiększenia domu wariatów" – odpowiada, kiedy Franciszek Józef (gra go Florian Teichtmeister) pyta żonę, czy miałaby jakieś specjalne życzenie. W słowach tych, umiarkowanie żartobliwych, zawiera się niepochwytność filmowej Elżbiety, kapryśnej i nadwrażliwej, nieznośnej i cierpiącej jednocześnie. Podczas odwiedzin w szpitalu psychiatrycznym na oddziale kobiecym widzi siebie i swój wewnętrzny gorset. Złożyło się nań wiele: nieutulony smutek po stracie pierwszego dziecka, nieudane małżeństwo, pogłębiające się osamotnienie, lęk przed starzeniem się (czterdziestka w II połowie XIX wieku była wiekiem podeszłym) tudzież utrata słynnej urody i smukłej kibici, komentowana z zawiścią godną dzisiejszych forów internetowych. Aż się proszą porównania do współczesności.

Kreutzer, podobnie jak Sofia Coppola w „Marii Antoninie" (2006), co chwila podkreśla umowność kostiumu, chociażby muzyką (powracający utwór „She Was" w wykonaniu Camille pięknie komentuje psychiczny rozpad Elżbiety) czy detalem, który w innym filmie wyglądałby na karygodne zaniedbanie ze strony scenografa (Martin Reiter). Na tym jednak podobieństwa się kończą. U austriackiej reżyserki monarchiczny sztafaż pozbawiony został splendoru; pałace, meble, przedmioty noszą ślady zużycia, skąpe naturalne oświetlenie raczej przytłacza, niż robi klimat, główna bohaterka zaś raz po raz wymyka się obrazowi anarchizującej trzpiotki, znudzonej dworską etykietą. Zarówno wtedy, kiedy imponuje oczytaniem, jak i kiedy opuszczając kolację pokazuje współbiesiadnikom środkowy palec. W jednej z fikcyjnych scen cesarzowa spotyka pioniera kinematografu i pozwala się sfilmować. Z jej ust wydobywa się krzyk – tyle że ówczesna niemota kina nie pozwala się dowiedzieć, co takiego bohaterka zapragnęła wreszcie z siebie wyrzucić.

„W gorsecie", niczym „Spencer" (2021) Pabla Larraína, wyobrażony dramat innej „królowej ludzkich serc", spogląda przez szkło powiększająco-zniekształcające. Ukazuje w ten sposób przypadłości (depresję, nieuleczalną melancholię, zaburzenia odżywiania), w które tak trudno nam uwierzyć, gdy dotyczą osób ze świecznika. Zmieniają się pory roku i rozsiane po Europie rezydencje, widzimy Elżbietę idolkę tłumów i rzeczniczkę sprawy węgierskiej, zapaloną amazonkę i gimnastyczkę, Elżbietę żonę, kochankę i matkę, ale te wszystkie aktywności wydają się

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

W GORSECIE
(Corsage)
– reż. Marie Kreutzer.
Prod. Austria/
/Luksemburg/Niemcy/
/Francja 2022.
Dystryb. M2 Films.
W kinach od 10 marca.

Marie Kreutzer to austriacka reżyserka znana z filmów „Bez ojca" (2011) czy „Ziemia pod nogami" (2019). Jej najnowszy tytuł, „W gorsecie", był kandydatem Austrii do Oscara, a wcześniej doceniony został za główną rolę Vicky Krieps („Nić widmo", „Wyspa Bergmana"), uhonorowaną m.in. Europejską Nagrodą Filmową i na festiwalu w Cannes.

przygniecione jakimś większym, nigdy niewypowiedzianym ciężarem.

W owych czasach leczono takie dolegliwości (w najlepszym razie) za pomocą długich kąpieli. Bohaterka szuka pocieszenia w pisaniu wierszy, lecz nie potrafi się rozsmakować w żadnej ze swych pasji czy życiowych ról. Jeśli Sisi jest tutaj ofiarą, to przede wszystkim niepoważnego traktowania przez współczesnych i przez kolejne pokolenia własnych „fanów". Właśnie tę infantylizację próbuje zrekompensować jej film Kreutzer.

Stawiając na grube licencje poetyckie, ostentacyjną zgrzebność, fragmentaryczną anegdotę, reżyserka ocala coś bardzo ulotnego. Nazwijmy to „duchem inności", co w tym przypadku oznacza spojrzenie na powszechnie znaną postać kobiecą z perspektywy prywatnej, wyzwoloną z fiszbinów nałożonych najpierw przez historię, a potem przez legendę. Wymaga to wyjścia z ram konwencjonalnej anegdoty i wizualnej retoryki, stąd tu i ówdzie słychać głosy, że podczas seansu „W gorsecie" z trudem się oddycha, a bohaterce brakuje charyzmy, czyli typowej dla wizerunku Sisi estetyzacji czy seksualizacji. I wszystko się zgadza, zgodnie z autorskim zamierzeniem.

Kilkakrotnie widzimy Elżbietę w gęstej czarnej woalce – w taki sposób, przez koronkowy filtr, kino zwykło patrzeć na koronowane głowy niewieście. Austriacka reżyserka gwałtownie ściąga tę zasłonę ze swojej Elżbiety i z jej dotychczasowych reprezentacji, próbując odzyskać ją jako istotę z krwi i kości, bliższą dzisiejszym kobietom. Równocześnie robi widzowi test na współodczuwanie, ani na chwilę nie ułatwiając mu zadania.

Pech sprawił, że film zrealizowany głównie przez kobiety, z wyraźnie feministycznym przesłaniem, wszedł na ekrany w aurze dwóch skandali obyczajowych z udziałem aktorów. Pierwszy dotyczy posiadania pedofilskiej pornografii (Teichtmeister), drugi – molestowania seksualnego (nazwiska domniemanego sprawcy nie ujawniono), o czym reżyserka miała wiedzieć podczas zdjęć. „Gorsetowi" to z pewnością nie pomogło, nad czym można jedynie ubolewać, bo to film zrodzony z wyjątkowej wrażliwości. Nie tylko dokonuje własnego rozrachunku z oficjalną historią, lecz potrafi też znaleźć dlań język, który brzmi zarazem intymnie i przekornie. ©

Lektor: *Noblista i bezimienna niania*

▪ *Andrzej Mencwel*
POWIEŚĆ Z ŻYCIA. STRONA OJCA
Wydawnictwo Nisza,
Warszawa 2022,
ss. 430.

Matka zmarła podczas jego narodzin, w roku 1940, został po niej portret trumienny. Relacje z ojcem wcześnie się popsuły. Minęło wiele lat, ojciec już nie żyje i nagle jego zwid powraca w deszczowy wiosenny poranek. Naukowy pobyt w Paryżu wypełniony ślęczeniem w bibliotekach zmienia się w inny rodzaj wyprawy w przeszłość, w odtwarzanie własnych pradziejów, subiektywnie niemal równie odległych jak paleolit, kiedy powstawały fascynujące narratora malowidła jaskiniowe. Kim byli ci, którym je zawdzięczamy? Kim byłem kiedyś ja i moi bliscy? Co nas łączy ze „śmiertelnie zatroskanym" szkielecikiem magdaleńczyka z Les-Eyzies-de-Tayac i czemu pokazujemy ten szkielecik w muzeum, zamiast go pochować?

Andrzej Mencwel, uczony historyk kultury, dał nam książkę najbardziej w swoim dorobku osobistą. Rodzinną archeologię zdecydował się rozpisać na trzy tomy. Tom pierwszy, „Strona ojca", stanowi wielowarstwową opowieść o rodzinie, której po śmierci matki nigdy już nie udało się skleić. Także o mechanizmach wyparcia, symbolizowanych przez okładkową fotografię – z pierwszokomunijnego zdjęcia autora wycięto jego macochę. O poczuciu krzywdy i poczuciu winy.

Rodzinna psychodrama jest zarazem fascynującą relacją o życiu codziennym pierwszych polskich osadników na tzw. ziemiach odzyskanych. Mistrz krawiecki Antoni Mencwel po wysiedleniu przez Niemców z wielkopolskiego Rawicza i kilkuletnim pobycie w Tarnobrzegu trafił do Jeleniej Góry właśnie wtedy, gdy w sąsiednim Agnetendorf, czyli Jagniątkowie (jak nie bez racji chce autor – Agnieszkowie), dożywał swoich dni noblista Gerhart Hauptmann. Staremu pisarzowi i jego niejednoznacznej postawie pod rządami Hitlera poświęcona została sporych rozmiarów dygresja, choć ważniejszą bodaj postacią okazuje się bezimienna niemiecka niania, dająca chłopcu emocjonalne oparcie i zmuszona rychło, wraz z innymi rodakami, do wyjazdu.

Podróż we własnej pamięci, wspierana fotografiami i dokumentami, daje też okazję do refleksji nad podziałami społecznymi i klasowymi uwarunkowaniami w zaborze pruskim i w II Rzeczypospolitej, a także nad nazizmem i w ogóle ludobójstwem. Najważniejszy pozostaje jednak wątek tytułowy, zwieńczony rozdziałem przedostatnim – „Listem do ojca". ©℗

OLGA

Drenda:
Uprzejma awanturka

W świecie literatury felietony to dobra szybko zbywalne. Potrzebne od ręki, odpowiadające na bieżącą potrzebę, często dające wiele satysfakcji, lekkostrawne i pożywne zarazem, ale bywa, że z ograniczoną datą ważności i – tak samo jak kabanosy – często zapominane wkrótce po spożyciu. Te same cechy jednak świadczą o ich dokumentalnej przydatności na dłuższą metę, bo czasem jedynie ciekawski felietonista napomknie, a zarazem udowodni potomnym, jak przezywano obmierzłego polityka, jakie pogłoski budziły powszechną nerwowość, a na co narzekano w kolejce do dentysty. Innymi słowy, sprawdzi zbieżność prawdy czasu z prawdą ekranu (a może po prostu miło jest sobie schlebić i poczuć się pożyteczną).

Są tacy, którzy potrafią prowadzić umiejętny nasłuch i bez brzydkiego gapienia się uszami, bez nadmiernego relacjonowania i wścibstwa, potrafią wychwycić czyjś udany komentarz, taką poezję powszedniego dnia. Ponieważ kiepsko wyłapuję dźwięk z szumu, nigdy nie będę tą osobą i raczej skupię się na muzyce w słuchawkach. Ostatnio jednak zdarzyło mi się coś zasłyszeć. Nieznajomi mówili do siebie głośno, ponieważ była to kłótnia. Kłótnia uprzejma, dodajmy. Nie wiem, co było jej przyczyną, ale usłyszałam, że jeden naprawdę mocno poirytowany uczestnik pozwolił sobie podniesionym głosem zaapelować: „Trochę empatii!".

Sposoby, na jakie się kłócimy czy nie zgadzamy ze sobą, to fascynujący temat. To, co wolno, a czego zabrania prawo lub obyczaj, zmienia się wraz z kulturą. Bywają zatem społeczności w jakimś momencie bardziej krewkie albo skłonne do negocjacji. Historyczka Jaśmina Korczak-Siedlecka napisała fascynującą książkę „Przemoc i honor w życiu społecznym wsi na Mierzei Wiślanej w XVI-XVII wieku", z której wynika, że w tamtym czasie i miejscu przemoc była domyślnym sposobem radzenia sobie z wszelkimi nieporozumieniami. A ponieważ urazę zadaną słownie traktowano wówczas jako rodzaj agresji równoważny z pobiciem, przemoc – by zacytować Kazika Staszewskiego – płynęła rzeką poprzez świat. Popularne wyobrażenia PRL zawierają często element przepychanki słownej lub fizycznej – w kolejce, w „mordowni", w tłoku komunikacji miejskiej, choć być może to obraz stronniczy, wpływ reportażu i archiwalnych materiałów Polskiej Kroniki Filmowej. Zapamiętałam śmieszno-straszny materiał z magazynu „Na Przełaj" o zaniku bójek jako czynnika rozrywkowego na wsi. Rozróby traktowano jako rodzaj sportu, środek dostarczania mocnych wrażeń w dość jednostajnym i ciężkim przecież życiu, „Nie było winnych i niewinnych, co najwyżej chętni i niechętni", odpowiadał jeden z bohaterów reportażu, wspominając bardziej emocjonujące czasy.

No właśnie – emocjonujące. Pan, który pozwolił sobie na chwilę porywczości, odwołał się do argumentu z empatii, choć zrobił to niecierpiącym sprzeciwu tonem, jakby chciał oznajmić „empatia albo nie ręczę za siebie!". Wiele energii włożył jednak w powściągnięcie emocji i wezwanie nie do kindersztuby (np. „pan jesteś zwykłe bydło"), nie do przytomności umysłu (np. „chyba pan na głowę upadł"), lecz do podstawowego człowieczeństwa, czyli cechy właściwej obu stronom nieporozumienia. Nie powiem, żeby mnie to troszkę nie wzruszyło, mimo nieco sztywnej formuły, jakby wyniesionej z warsztatów komunikacji bez przemocy.

Pierwszy raz wydało mi się, że konfliktowość nieco wyszła z mody, już przed laty, gdy przynajmniej wtedy, gdy przed laty na poczcie zaobserwowałam ciekawą scenę. W kolejce (kolejka – środowisko konfliktogenne) znalazł się klasyczny pieniacz, który rozpoczął monolog o tym, że z trzech okienek dostępne są tylko dwa i, oczywiście, na co idą nasze pieniądze. Nikt nie był zainteresowany podjęciem tematu i pieniacz, rad nierad, został ze swoją bolączką sam. Coś się zmieniło, pomyślałam, już nie da się powiedzieć „jak z Barei". Widocznie potrzebę konfliktu zaspokajało już wyżywanie się w internecie (to dla cywilów), ewentualnie, dla względnie wąskiej i żyjącej w swoim równoległym świecie grupy – ustawki. Na pewno zmieniła się powszechna percepcja awantury: z powszedniego zła koniecznego, z którym trzeba jakoś żyć, po jawnie szokujący ewenement. Z ciekawości zaczęłam szukać doniesień o awanturach w kolejkach. Nie było tego wiele, poza – być może zaaranżowanymi uprzednio – przepychankami na wyprzedaży oraz, co akurat nie dziwi, kłótniach o papier toaletowy i ryż w początkach pandemii. Wydarzenia te stały się na tyle egzotyczne, że szybko trafiały do działu wiadomości lokalnych. W tym roku małą sensację wywołał incydent w kolejce po pączki, najbardziej chyba z powodu przegapionej szansy na przebój mediów społecznościowych. „Taki content i nikt nie nagrywał", skomentował to marnotrawstwo praktyczny człowiek. ©

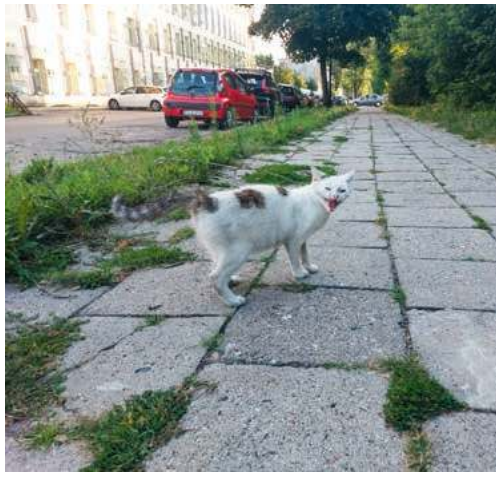

Przykład pyskówki w miejscu publicznym

OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo:
Prezydent na widelcu

Dwadzieścia cztery dolary wystarczą, by się poczuć jak prezydent. I to nie jakiś pierwszy lepszy z małego państwa na skraju świata – tacy muszą mieć złote nocniki, żeby skompensować sobie brak znaczenia. Za te niewielkie pieniądze zjemy kolację jak sam przywódca USA, który to urząd narzuca starannie skalibrowany egalitaryzm w obyczajach i konsumpcji, o czym już tu nieraz pisaliśmy. Choć – to dygresja na szczęście w czasie przeszłym – Donald Trump zapraszający do Białego Domu na ćwierćfunciaka z serem i skrzydełka w panierce wydawał się zupełnie spontaniczny.

Ale tym razem Joego Bidena nikt nie rozliczał z tego, do jakiego stopnia jest szczery w manifestowaniu prostoty gustów. Nie o tym rozprawiały tęgie głowy w redakcji, która jeszcze pół wieku temu szczyciła się, że obala prezydentów, a nie tylko ich podszczypuje. Jest to być może bezsilna zemsta mediów za to, że dały się wyprowadzić w pole, gdy Biden po kryjomu udał się w podróż do Kijowa z przesiadką w Przemyślu, gdzie akurat „Washington Post" nie utrzymuje stałej placówki. Badając uważnie, jak przebiegała cała ta *maskirowka*, reporterzy ustalili, iż prezydent z żoną poszli przed wyjazdem na kolację do mniej więcej włoskiej restauracji Red Hen, czyli Pod Czerwoną Kurą w prestiżowej dzielnicy Bloomingdale. (Pod Czerwonym Kurem – to byłaby jeszcze lepsza nazwa dla knajpy w tych łatwopalnych czasach, ale Red Cock kojarzyłoby się obscenicznie i żaden polityk nie odważyłby się tam pokazać). Oboje zamówili po talerzu miejscowej specjalności – rigatoni z sosem z kiełbasy z nasionami kopru włoskiego i pomidorów.

Gdzie leży potencjalny kamień obrazy, o czym w ogóle tu gadać? Wszak tylko po włosku słowo odpowiadające znaczeniowo naszemu fenkułowi jest wulgarnym określeniem geja. Może chodzi o to, że w daniu było mięso? Cóż, raczej mięsne odpadki, bo takie mocno aromatyzowane kiełbasy (obok toskańskiej *finocchiona* z koprem jest jeszcze sławniejsza kalabryjska paprykowa *'nduja*) służą rzeźnikom do łatwego pozbycia się tłustych ścinków, podrobów, chrząstek i innych nieeleganckich tkanek.

Otóż medialna zawierucha rozkręciła się nie o to, dokąd poszli ani co zamówili, tylko że oboje zamówili to samo. Zgroza. Zachowali się jak w zakładowej stołówce, gdzie wszyscy z kolejki biorą pomidorową, gdy drugą opcją jest szczawiowa. Czy to nie jest przeciwko niepisanym regułom restauracyjnej etykiety? Trochę się pośmiałem, przeszyty zazdrością w stosunku do ludzi, którzy nie mają już większych kłopotów ze swoim prezydentem, lecz po namyśle i rozmowach z bliźnimi doceniłem ciężar sprawy: Biden niechcący dotknął jednego z najważniejszych zagadnień jedzenia jako czynności społecznej. Pytanie „dlaczego jest głupio, gdy para zamówi to samo?" dotyka prawd i potrzeb, które przez sam fakt, że raczej się ich nie werbalizuje, nie są wcale płytsze czy mniej istotne dla nas jako gatunku zwierzęcego, który właśnie przy stole, z racji tego, w jaki sposób się odżywia, przestaje być całkiem zwierzęcy.

Zachowanie prezydenckiej pary dostarczyło gawędziarzom z gazet i Twittera pretekstu, by tworzyć klasyfikacje strategii stosowanych przy zamawianiu potraw i różnych możliwych kompromisów (ile razy rezygnowaliście z czegoś upatrzonego, gdy partnerka lub partner „kradł" wam wybór?). A także postaw związanych z tym, co jest niezbędnym dopełnieniem tych łamańców mentalnych nad menu: czy tylko częstujecie starannie odkrojonym kąskiem swojej potrawy, który towarzysz pobiera swoim widelcem? Czy może podajecie mu kawałek na swoim widelcu? A może w połowie posiłku następuje wymiana talerzy? Takie niuanse opowiadają o naszym otwarciu na fizyczne i fizjologiczne zetknięcie z Innym, o naszych fobiach związanych z cielesnością i o komunikowaniu bliskości wyrażanych gestami: stwórz listę osób, od których bez problemu weźmiesz nadgryzioną kanapkę, a będziesz wiedział, kogo twoje małpie Ja zalicza do stada.

Ktoś w trakcie tych dyskusji przytomnie zauważył, że może Bidenowie znają już całą kartę Czerwonej Kury (makaron z kalmarami posypują tam pecorino, trzeba mieć stalowe nerwy) i dawno doszli do wniosku, że rigatoni są *the best*. Oboje zaś stanowią na tyle otrzaskaną parę, że w pewnym wieku mogą sobie darować kontredanse i po prostu iść za instynktem, głodem i ochotą. Podoba mi się ten trop. Już ponad pół stulecia udowadniam, że jestem człowiekiem, i czuję, że to się może wreszcie znudzić. ©℗

Skoro już mowa o arcypikantnej kiełbasie 'nduja, którą Kalabryjczycy nazwali na cześć podobnej andouillette, przywiezionej przez francuskich najeźdźców, to wykorzystajmy ją do przepisu przenoszącego na wyższy stopień ostrości „gniewny" sos arrabbiata. Oto penne all'incazzata – nie będę tu tłumaczył tej nazwy, ale na pewno prezydentowi nie wypadałoby tego zamówić. Czerwoną cebulę kroimy w cienkie piórka, dusimy pomału na 3 łyżkach oliwy. Dodajemy dwie łyżki 'ndui (ma konsystencję naszej metki), czekamy, aż się całkiem rozpłynie, dodajemy 3-4 pomidory z puszki (ale bez sosu), rozdrabniamy, dusimy ok. kwadransa, aż się sos dobrze zagęści. Łączymy z ugotowanymi rurkami na ciepło, posypujemy serem pecorino.

MISSES JONES / ADOBE STOCK

WŁASNE NIEBO

Skończył italianistykę i muzykologię, napisał książkę o Chopinie. Mało spotkałem w życiu takich bystrzaków jak on. Kariera naukowa stała otworem, ale wybrał wino. I jeszcze coś: wino.

MAREK BIEŃCZYK

RAFAŁ MAŚŁOW / FERMENT X2

Kiedy na początku lat 90. zanurzyłem się w lekturę winiarskich periodyków, uwagę moją przyciągały tajemnicze litery MW, które dostawiane były – w rzadkich przypadkach – do nazwisk autorów. Żaden piszący o winie profesor czy doktor nie miał przy nazwisku skrótu naukowego stopnia, co najwyżej dowiadywaliśmy się o jego wykształceniu z biogramu pod tekstem. MW wyglądało tajemniczo, jakby oznaczało przybyszów z innego świata, jakichś ET od wina na Marsie. I poniekąd tak było: winem zajmują się i o winie piszą na świecie setki tysięcy ludzi, lecz prawem do przedłużenia swojej godności o te dwie spółgłoski-majuskuły cieszy się dziś zaledwie czterysta szesnaście osób. A od roku 1953 literki otrzymało w sumie pięćset osób.

Bo też być MW to zwieńczyć tryumfalnie winiarską pasję. Zapisać ją dwoma złotymi inicjałami. Gdyby przełożyć prestiż tego tytułu na język sportowy, należałoby mówić o występie w pierwszym składzie Realu Madryt czy Barcelony; gdyby sięgnąć po porównania muzyczne, na myśl przychodzi aria zaśpiewana w La Scali. Ci, którzy obcują z winem na co dzień, czują się w obowiązku, patrząc na MW, zadzierać wysoko głowy; ujrzą wtedy podeszwy ich (na ogół nader eleganckich) trzewików.

Najwięcej – ponad połowę – wśród MW jest Anglików, wiadomo od czasów Samuela Pepysa, że to Anglicy robią najwięcej dla wiedzy o winie i najlepiej wino znają; pozostali MW pochodzą z trzydziestu jeden krajów. Z Polski nikogo. Do 24 lutego 2023. Tego dnia pierwszym polskim MW został, po ponad sześciu latach ciężkich przygotowań, Wojciech Bońkowski.

Nasz pierwszy

MW oznacza po prostu Master of Wine – tytuł, który przysługuje tym, co ukończyli odpowiednie kursy i zdali wszystkie egzaminy. Z pozoru brzmi to normalnie, jedna szkoła więcej, zatem, spieszę dodać, że na przykład pierwsze podejście do jednego z egzaminów, czyli do degustacji w ciemno, statystycznie kończy się sukcesem dla 5 proc. uczestników. Nominalnie kursy przygotowawcze trwają trzy lata, lecz na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy przez kilkadziesiąt lat ich istnienia ukończyli je w terminie. Natomiast trzeba lasu dłoni, chcąc zrachować tych, którzy w ogóle odpadli. Znany grecki winiarz Lazaridis podchodził do egzaminów piętnaście razy, zanim wreszcie przebił się przez mur. W tej chwili organizatorzy ograniczyli ilość prób do symbolicznej liczby trzech, szkoda muru.

Kim są srodzy sędziowie? Osobliwym kościołem winiarskiej wiary, sektą, wolnomularskim kręgiem? Po trosze każdym, lecz najlepiej powiedzieć: klubem angielskim. To potomkowie Pickwicka, którzy stworzyli w samolubnej tautologii ostre kryteria wstępu do swojej zastrzeżonej przestrzeni. Jesteśmy, kim jesteśmy, chcecie zasiąść w naszych fotelach? Pokażcie, że na to zasługujecie, i zapłaćcie przy okazji 20 tysięcy złotych (w przeliczeniu) rocznie za wstęp na nasze nauki. I 8 tysięcy za egzamin, skoro zdarza się, że wśród serwowanych w ciemno win nalejemy wam Petrusa.

Wojciech Bońkowski 24 lutego 2023 r. został Master of Wine

Institute of Masters of Wine powstał ponad 70 lat temu. W jego założeniach pojawiają się słowa typu „leadership", „forefront", „excellence", „expertise". Na pewno byłoby gdzie włożyć szpilę, podważyć pewne metody postępowania, niektóre sztywne obyczaje, faktem jednak pozostaje, że nikomu innemu nie udało się przez tych kilka dekad stworzyć miejsca bardziej prestiżowego, wiarygodnego, elitarnego, otwierającego wszystkie drzwi.

Wszelkie inne kursy winoznawcze, nawet te najbardziej ambitne jak – popularny już u nas – WSET, są tylko wstępem do wspinaczki, przygotowaniem do ataku na winiarskie K2. Właściwie trzeba być przygotowanym na wszystko, od wszelkich detali praktycznych, w tym po prostu rolniczych, przez wiedzę o biznesie po konteksty historyczne i filozoficzne, znać się na chemii i na budowaniu portfolio, na geologii i na dystrybucji, na bednarstwie i na komunikacji, na finansach i na ideach. Umieć uczyć innych każdej materii z winem związanej, wiedzieć, co dobre, a co złe, i gwarantować swoje działania najwyższą etyką zawodową.

Oczywiście, jak w każdej domenie, również w naszej winiarskiej toczy się ostra walka o pieniądze. Co się da ugrać? Kilka co świetniejszych dziennikarskich nazwisk – lecz nie ma ich wiele – sprzedaje dostęp do swoich stron, na których wystawia noty degustowanym winom. Uświetnia swoją obecnością niektóre wydarzenia i degustacje. Organizuje się mnóstwo konkursów winiarskich; konkurencja jest ostra, gdyż winiarz, który przysyła na konkurs próbki, płaci za jedno ocenione wino od 150 do 200 euro. W zamian gwarantuje mu się, że co najmniej 30 proc. zgłoszonych win (na ogół o wiele więcej) otrzyma medal; szanse wydają się poważne, gorzej z powagą zdecydowanej większości konkursów. Jeśli jury przyzna mniej medali niż zapowiadano, wyciąga się za uszy wina odrzucone.

W tej perspektywie Institute of Masters of Wine odpłaca uczciwie wysokie koszty. Jego piękny i przyciągający chętnych paradoks polega na tym, że gwarantuje porażkę. Ze skromnym wyjątkiem dla *happy few*.

Korona po ćwierćwieczu

W naszej winomańskiej socjecie anegdota jest świetnie znana, lecz tu opowiem ją raz jeszcze. Sylwester w moim mieszkaniu, rok 2003, wybija dwunasta, otwieramy szampana (Deutz Brut), życzymy sobie pomyślności w nadchodzącym. Wszyscy, z wyjątkiem Bońkowskiego. Który, miast wpadać w ramiona i ściskać zebranych, w godzinie zero, łyknąwszy kieliszek, robi dla szampana notkę degustacyjną. Tak być może zaczyna się droga do MW. Krew, pot i garbniki – w święta też tyramy.

Muszę na chwilę ocieplić się nie swoim światłem. Wojtka Bońkowskiego (ur. 1976) poznałem bodaj w roku 1999, gdy jeszcze studiował i miał już sporą winiarską wiedzę; zaczęliśmy razem w środowisku szpanować, degustować, pisać, współzakładaliśmy z paroma innymi osobami (doktorem matematyki, arabistą, dziennikarzem) nieistniejący już „Magazyn Wino". W tym czasie Młody (jak go do dzisiaj nazywamy w kręgach) skończył italianistykę i muzykologię, zrobił doktorat, napisał książkę o Chopinie. Mało spotkałem w życiu takich bystrzaków i takich nieprzejednanych ↦

↦ walczaków jak on. I mało tak pancernych, trudnych do rozszyfrowania osobowości. Mówił biegle czterema językami, trzema innymi dosyć biegle, kariera naukowa w obu dziedzinach stała otworem, wybrał wino. I jeszcze coś: wino. Dziś jest założycielem i szefem „Fermentu", najistotniejszego winiarskiego magazynu w Polsce i związanej z nim strony winicjatywa.pl, a w winiarskim świecie polskim oraz międzynarodowym osobą wszechobecną i powszechnie znaną.

Pytam Wojtka, co go skłoniło do podjęcia tak gigantycznego wysiłku, jakim było przygotowanie się do egzaminów na MW? Wielu kandydatów jest pracownikami firm, które sponsorują ich edukację – dobrze jest mieć w składzie kogoś, kto swoim tytułem MW będzie firmę uwiarygodniał, wzmacniał jej znaczenie na rynku. Wielu innych liczy na szybką karierę, współpracę z najlepszymi restauracjami, prowadzenie sowicie opłacanych degustacji, konsultowanie, pisanie tekstów do najlepszych gazet itd., itp. Tylko garsteczka robi to dla sportu. W Polsce Bońkowski siedzi na szczycie od dawna i właściwie tytuł jest tu mu po nic.

Oczywiście – przyznaje Wojtek – powodów do przebijania muru było wiele, choćby zdobycie pełnej wiedzy praktycznej i teoretycznej. Liczą się także powody życiowe: przyfrunie sporo możliwości, ofert z zagranicy, zaproszeń (kongresy i zjazdy MW to iście winiarski mundial; otwiera się tam butelki, o jakich filozofom – i polskim romanistom – się nie śniło). Ale jest też istotny powód duchowy. Po tylu latach degustacji miał poczucie, że nic nowego już się nie dzieje, że wyczerpał mu się język rozmowy o winie, że obraca się w zamkniętym pokoju. Kurs na MW, przynosząc w niektórych kwestiach – na przykład w samej degustacji – inne spojrzenie, pozwolił mu się odblokować, odnaleźć estetyczną głębię swojego winiarskiego doświadczenia. Co mogę bardzo dobrze zrozumieć. Jak w każdej innej domenie, wpadamy, mówiąc o winie, w schematy własnego języka i ostatecznie sprowadzamy nasz dyskurs do kilku jaskrawych przeciwstawień. Jest ich więcej niż w polityce, no ale jednak.

Pytam też Wojtka, czy gdyby wiedział, ile znoju będzie to kosztowało, stanąłby do boju.

Nie – twiedzi. W najgorszych przypuszczeniach nie spodziewał się takiego stopnia trudności. Już sama degustacja w ciemno jest zabójcza, choć nie chodzi bynajmniej o odgadnięcie, z jakiego konkretnie stoku i od jakiego producenta są wina. Na egzaminie podaje się kandydatom kilka zestawów po cztery wina z tych samych odmian; poza ich odgadnięciem, co powinno być dla zdających przedszkolem (dla nikogo, kogo znam z degustacji, łącznie ze mną, nie jest), trzeba wskazać na region pochodzenia, na sposób winifikacji i starzenia, na wiek win, na ich typowość lub wyjątkowość. Złośliwych zmyłek jest dużo; oto podaje się mocno beczkowe wino z apelacji, w której użycie beczki jest marginalne, albo wino o łagodnych garbnikach z regionu, w którym haratają one podniebienie. Nie wystarczy przy tym notka degustacyjna, trzeba napisać całe wypracowanie.

Reszta egzaminu, trwającego cztery dni, to pisanie na czas. Jest pięć głównych działów: uprawa, praktyka (winifikacje itd.), „zarządzanie butelką" (to znaczy wszystko, co wiąże się z butelkowaniem wina i jego drogą aż do sklepu), rynek wina, i *contemporary issues*, czyli kwestie filozoficzne, społeczne, medyczne itp. Z każdego działu losuje się trzy pytania, na każde trzeba napisać odrębny, wyczerpujący tekst czy esej, wszystko w dwie godziny i kwadrans.

Kiedy przebrnie się przez egzaminy, czyli kiedy minie średnio pięć-siedem lat wytężonej samonauki (kursy to w istocie wczesna imitacja nadchodzących egzaminów), pisania różnych prac rocznych, przychodzi kolej na opatrzoną ostrymi retorycznymi i formalnymi rygorami pięćdziesięciostronicową rozprawę do napisania w domu.

Temat pracy Bońkowskiego brzmiał „Towards a Tokaj classification. Applying the Austrian Erste Lagen approach to Hungary". W skrócie: chodziło o możliwość zastosowania wypracowanego niedawno przez Austriaków systemu klasyfikacji najlepszych winnic do rzeczywistości tokajskiej. Trzeba wiedzieć, że w wyniku światowego kryzysu win słodkich, których pije się coraz mniej, Tokaj przestawia się w części na wytwarzanie białych win wytrawnych i klasyfikacja winnic pozwoliłaby zbudować ich hierarchię. Sześćdziesięciu winiarzy tokajskich uznało propozycje Bońkowskiego, zawarte w rozprawie, za godne refleksji i możliwe do realizacji.

Stara gwardia i influenserzy

Za pierwszym polskim tytułem MW kryje się też cała krótka, bo ledwie ćwierćwieczna historia polskiego winomaństwa. Zaczynało się od zera pod koniec zeszłego stulecia: o winie pisały wówczas może cztery osoby, istniała praktycznie jedna winnica Romana Myśliwca koło Jasła, sklepów winiarskich było tyle, co kot nalał z butelki. Świrusów jak niżej podpisany hasało jeszcze niewielu. Mówiąc symbolicznie: przyjaciel filozof na moją cześć nazwał swojego kota Kot-du-Rhone, ale na tym jego zainteresowanie winem tymczasowo się kończyło. Reszta to żmudne zdobywanie terenu, metr po metrze, i pierwszy nasz tytuł MW symbolicznie koronuje drogę, którą przeszliśmy.

Nawet jeśli rodacy nie piją o wiele więcej wina niż przed laty, nawet jeśli piwo i mocne alkohole leją się coraz mocniejszym strumieniem w polskie gardła, pejzaż winiarski, także pejzaż dosłowny, przez tych ponad dwadzieścia parę lat zmienił się gruntownie. W tej chwili mamy w Polsce kilkaset winnic, niezliczoną ilość degustacji i sklepów, kilku światowej klasy sommelierów (jak Adam Pawłowski i Piotr Pietras, obaj MS, czyli noszący również prestiżowy w swojej domenie tytuł Master of Sommelier, czy Norbert Dudziński, niegdyś sommelier w legendarnej duńskiej restauracji Geranium), setki, jeśli nie tysiące osób uczących się na różnych kursach, nieco kolekcjonerów, wielu koneserów, mnóstwo importerów. Całkiem nowa rzeczywistość, ale co z pisaniem o winie?

Nie bez przyczyny wspomniałem przed chwilą o wykształceniu polskich winopisarzy. Ich stara i średniostara gwardia, do dzisiaj czynna i w dużej mierze wciąż trzymająca ster, wywodzi się na ogół – podobnie jak stara gwardia angielska czy francuska – z uniwersytetów (niemało filologów i filozofów). Zawsze stawała ona przed dylematem, próbując połączyć dwie sprzeczności: „pisać swoje" i „pisać dla ludzi", komplikować czy upraszczać, rozważać czy uczyć od podstaw.

W „Fermencie" Bońkowski wykreował z sukcesem syntezę obu; to rzadka wartość w pisanym *mondovino*. Kiedy jed-

nak czytam teksty kolegów i widzę, jak – choćby pod względem stylu – jest to świetnie napisane, to myślę sobie, że w żadnym piśmie zagranicznym nie mogłyby się one w większości ukazać: „my nie jesteśmy intelektualistami – powiedziano by po angielsku czy francusku – my to do rzeczy i prosto". Na Zachodzie mają, oczywiście, lepszy dostęp do źródeł, do win i winiarzy, do tajników profesji, ale też do banałów i zdań krągłych jak księżyc w pełni. Tylko gdzie, do licha, przyjemność lektury i komplikowanie problematyki? Przekornie mówię Bońkowskiemu, że aspirowanie do nakładów pism zachodnich (nie tak znowu wielkich) to pójście na kompromis z własnym niebem.

Jednak powyższe dylematy pisarskie i tak zaczęły dekadę temu mocno blaknąć wobec rzeczywistości internetowej. Autorytety typu Robert Parker, Serena Sutcliff MW, Jancis Robinson MW wycofują się powoli w cień, przestają się liczyć, inni jak Steve Spurrier, organizator słynnego „Judgment of Paris", który wywrócił winną hierarchię, umierają. Producenci i importerzy win w pewnym momencie dziejowym dobrze to zrozumieli. I zrozumieli, że w czasie nadchodzącym liczyć się będzie *vox populi*, jeśli tylko ten *vox populi* będzie umiał wykreować swoją pozycję w cesarstwie internetu. Stąd przed dziesięciu laty decyzje o doinwestowaniu marketingowym i butelkowym rodzących się obficie blogów. Głos blogerów, ich oceny zaczynały zyskiwać coraz większe znaczenie, choć – trzeba powiedzieć – niektórzy oceniający mieli dwa miesiące degustowania za sobą i jedną wyprawę do winnic na Morawach. Można wszak odnieść wrażenie, że siła blogów, których namnożyło się tyle, że przestawało się śledzić jakiekolwiek, bardzo osłabła i że dzisiaj pies z kulawą nogą nie interesuje się już głoszonymi tam opiniami, ilościami punktów czy gwiazdek przyznanych winu.

Co sprytniejsi blogerzy, a także inni przytomni internetowcy rzucili się w Instagram. Czas leci szybko, dzisiaj porządny blog winiarski, w którym trzeba jednak parenaście choć zdań pomieścić i sprawdzić ortografię, wygląda przy Instagramie niczym dziadek w krawacie przy wnuczce w bikini. Nowi influenserzy fotografują się z butelkami i to mniej więcej tyle, czasem jeszcze rzuconych parę skąpych zdań; reszta zależy od liczby followersów, czyli owiec nadążających. Według obliczeń instytucji badającej rynek winiarski we Francji, spośród Francuzów kupujących wino co najmniej raz w tygodniu 36 proc. uczyniło to pod wpływem mediów społecznych, zwłaszcza Instagrama. 110 tysięcy obserwujących ma pani Georgia Panagopoulou z Aten, 31 lat. Nie jest to może zawrotna liczba, ledwie dwa razy pojemność Stadionu Narodowego, lecz w świecie winiarskiego Instagrama to niemało; WineGini należy do najbardziej wpływowych w naszej domenie instagramistek. Gini przyznaje, że częściowo utrzymuje się z Instagrama, podobnie jak wielu innych. Choćby Simona Geri z Toskanii, 41 tysięcy followersów; stała się zresztą dzięki Instagramowi na tyle popularna, że jej podobizny na plakatach cztery metry na trzy reklamujących wino pojawiły się już na włoskich ulicach. Są tacy instagramerzy, którzy zapewniają, że nie polecają butelek, których nie lubią, lecz dobrze wiemy, że w świecie brzęczącym mamoną jest coraz łatwiej kochać.

WOJTEK BOŃKOWSKI:

Po tylu latach degustacji miałem poczucie, że nic nowego już się nie dzieje, że wyczerpał mi się język rozmowy o winie. Kurs na MW pozwolił się odblokować, odnaleźć estetyczną głębię winiarskiego doświadczenia.

Kiedy spojrzeć na to wszystko, nieco staroświecki MW wydaje się opoką wiedzy o winie, kimś, kto zapędza rozhulane towarzystwo z powrotem do ławek. I jestem przekonany, że Instagram reklamujący wina przeminie, a pismo na ekranie oraz druk, wybitne, jak w przypadku Bońkowskiego, czarno na białym, pozostanie i będzie przyciągało żądnych prawdziwej wiedzy.

Nowi młodzi

U nas winiarski Instagram nie ma takiego znaczenia jak na Zachodzie. Tym niemniej nowa gwardia piszących o winie przychodzi już z nieco innego niż naszego starego świata. To są kobiety (bardzo dużo) i mężczyźni po kursach, po mniej lub bardziej systematycznej edukacji winiarskiej, a nie, jak stare wygi, samouki. Ich doświadczenie wina jest już nieco inne, mocniej sprofilowane i odpowiada duchowi czasów. To znaczy malejącemu zainteresowaniu winami okrzyczanymi, pierwszoplanowymi regionami, ocenami ekspertów. A w zamian narastającej miłości do tak zwanych win naturalnych, nierzadko bezsiarkowych, obywających się na winnicy i w piwnicy bez jakiejkolwiek interwencji chemicznej. Ten trend będzie tylko narastał; tak będzie pił świat i tak kiedyś będzie piła Polska. Wystarczy spojrzeć na otwierające się u nas bary winiarskie, niemal wszystkie na takie wina stawiają.

Zmienia się smak, jesteśmy w chwili dla wina przełomowej. Bardzo ciężko będzie wmówić młodym wilkom, że tamto klasyczne bordeaux czy tamto słynne barolo jest świetne i że burgund dwudziestoletni jest fajniejszy od bezsiarkowej świeżynki. Oni mają już inny raj i to my w ten raj musimy wkroczyć.

A jak na razie, Wojtkowi Bońkowskiemu MW w imieniu całej naszej społeczności winiarskiej i „Tygodnika" składam serdeczne gratulacje. Buźka, szampan, buźka.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz:
W tunelach

Zaiste, rzec trzeba, że zawsze nam przykro, gdy nie możemy być na przyjęciu organizowanym przez ludzi władzy. Szczególnie, gdy nie ma nas na balandze w typie tej ostatniej, w Operze Wrocławskiej. Bawiono się tam w obecności ministra, władz lokalnych oraz – co szczególnie nas ucieszyło – karnie przybyłych rektorów szkół wyższych Wrocławia.

Choć minister ogłosił, że to *wsjo* nieprawda, że n i c podobnego się nie wydarzyło, to jednak można na stronie pisma „Fakt" obejrzeć i posłuchać relacji i nagrań. Gdy słuchamy, jak jeden z najważniejszych twórców kultury wysokiej obecnej doby gwarzy jakby po polsku i śpiewa po chińsku piosenkę o tym, że wszyscy Polacy to jedna rodzina, gdy patrzymy, jak imprezowicze spożywają ze smakiem tzw. katering wyłożony wprost na operowej scenie, rozmawiając sobie o wielkości ministra oświaty, to, zaiste, żal nam wszystko ściska. Taka jest prawda.

Tego typu wrażenia, opisy osobliwych wydarzeń ze świata kultury, sztuki i oświaty polskiej prawicy dają nam zawsze poczucie, że wszyscy, jak tu ponuro siedzimy, jesteśmy ludźmi małej wiary i wyobraźni. Że oto świat tradycyjnego a nudnego konwenansu – przynajmniej w polityce – umarł i nie zmartwychwstanie. Kto się z tym nie zgadza, niech, jak mawiał ongiś A. Lepper, pionier i patron tego stylu – przeprowadzi się do Wersalu. Można by. Byliśmy, więc możemy tu powiedzieć, że dla każdego człowieka ciekawego świata i ludzi Wersal to strata czasu. W Wersalu było i jest, od czasu podpisywania traktatu wersalskiego, bardzo nudno i tak samo. A tu? Na odwrót: nie jest nigdy tak samo, od dawna nie jest nudno, a ludzie mają bardzo interesujące pomysły.

Przywódca partii rządzącej powiedział ostatnio najzupełniej serio, że niezagłosowanie na niego i jego kolesi przyniesie obowiązek jedzenia pasikoników i larw, zakaz schaboszczaków, mus jeżdżenia na rowerze i zabieranie ludziom nadprogramowych spodni. I rzec trzeba, że wielu jego zwolenników ogarnęło uczucie autentycznego lęku, by nie rzec: rozpaczy. Oczywiście, wielkie nagromadzenie i gęstniejąca częstotliwość podobnych bodźców mogą wywoływać przesyt i poszukiwanie jeszcze mocniejszych wrażeń. Tak, to prawda, że obserwujemy taki – za przeproszeniem – trend. Ktoś prosi o przykłady? Otwieramy nasz kapownik, w którym mamy osobny rozdział zatytułowany wielkimi kulfonami „Bodźce". Cóż tam mamy? Chciałoby się wiedzieć, co? He, he. Ludziom się niestety wszystko ze wszystkim kojarzy, ale nie nam. Dość zatem żarcików. W dziale „Bodźce" ostatnio stworzyliśmy całkiem już rozrosły solidny poddział „Tunele". Otóż każdy to wie, że wraz z szalonymi sukcesami na wszelkich niwach, w tym w budowlance, powstaje w Polsce coraz więcej tuneli drogowych. Są one w kraju nie lada atrakcją, co jest troszkę dziwne, ale jakoś jeszcze zrozumiałe.

Kiedyś, dawno, jeździło się do Warszawy obejrzeć ruchome schody, dziś naród wjeżdża do tuneli, często nadkładając drogi, i jest to, każdy przyzna – ciekawe, piękne i godne odnotowania. Tunele są święcone i nadawane im są imiona bohaterów narodowych, co także uważamy za fajne, bo niezbyt typowe. Jedźmyż jednak dalej, bo się ściemnia. Otóż w tunelach są ograniczenia prędkości i mnóstwo urządzeń kontrolujących szybkość jadących, a jednak ludzie w Polsce, w tunelu, świadomie i specjalnie, dociskają – za przeproszeniem – pedał gazu i dostają mandaty. Niemałe. To już nieco ciekawsze zjawisko, bo przecież z pogranicza sado-maso. Ale to wciąż mało. Do tuneli ludzie wjeżdżają, tam się zatrzymują, wysiadają z aut, gimnastykują się i robią sobie fotki – co się staje coraz powszechniejsze. Dziwne, prawda? Ale jest coś jeszcze ciekawszego: oto trzeba wjechać do tunelu pod prąd, zawrócić, stanąć w poprzek, a wszystko to najlepiej z czterema promilami alkoholu we krwi. To już komplet idealny do użycia jako przenośnia, to jest – powiedzmy wprost – czysta literatura. Polska literatura. To Polacy i świat, Polska i wszechświat. My i tunele, Polak w tunelu to wielkie zjawisko na skalę Drogi Mlecznej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

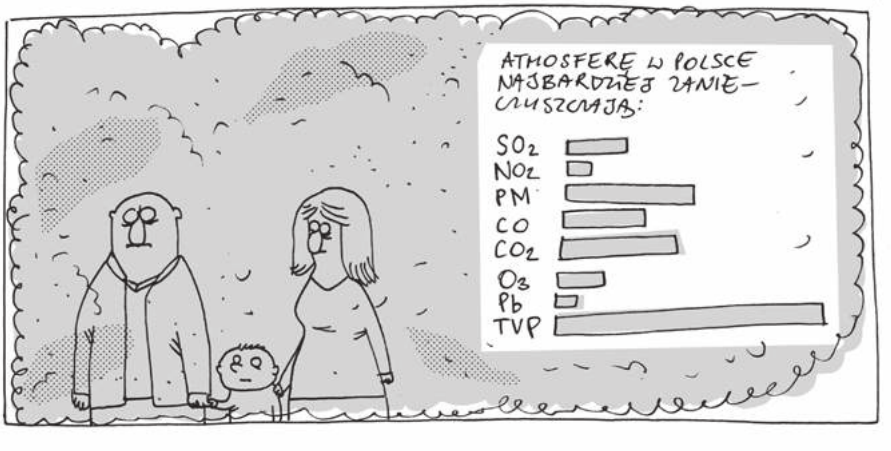

www.czerwonenoski.pl

1,5%

CZERWONE NOSKI
KLOWN W SZPITALU

Wspieramy dzieci
w trakcie leczenia w szpitalu.

KRS: 0000428469

Każdego roku setki tysięcy dzieci trafiają do szpitali w całej Polsce. Nagle muszą odnaleźć się w rzeczywistości, której nie rozumieją. Konieczność przechodzenia nieprzyjemnych badań, podłączenia do aparatury, nakłuwania, a w skrajnym przypadku czekająca operacja, wywołuje w dzieciach ogromny strach, napięcie, a czasem wręcz prowadzi do traumy.

Obecność klownów medycznych z Czerwonych Nosków pomaga dzieciom zmniejszyć stres wywołany pobytem w szpitalu. A śmiech, który u nich wywołujemy wspomaga ich proces zdrowienia. Potwierdzają to liczne badania naukowe. Zachęcamy, przekaż 1,5% na wsparcie małych pacjentów wyczekujących odwiedzin klowna.

REKLAMA

REKLAMA

Biuro Parlamentu Europejskiego w Polsce zaprasza do wysłuchania podcastu

Bieda ma twarz kobiety.
Wstydliwy problem współczesnych demokracji.

Spotify
Biuro Parlamentu
Europejskiego
w Polsce

YouTube
Biuro Parlamentu
Europejskiego
w Polsce

Facebook
Biuro Parlamentu
Europejskiego
w Polsce

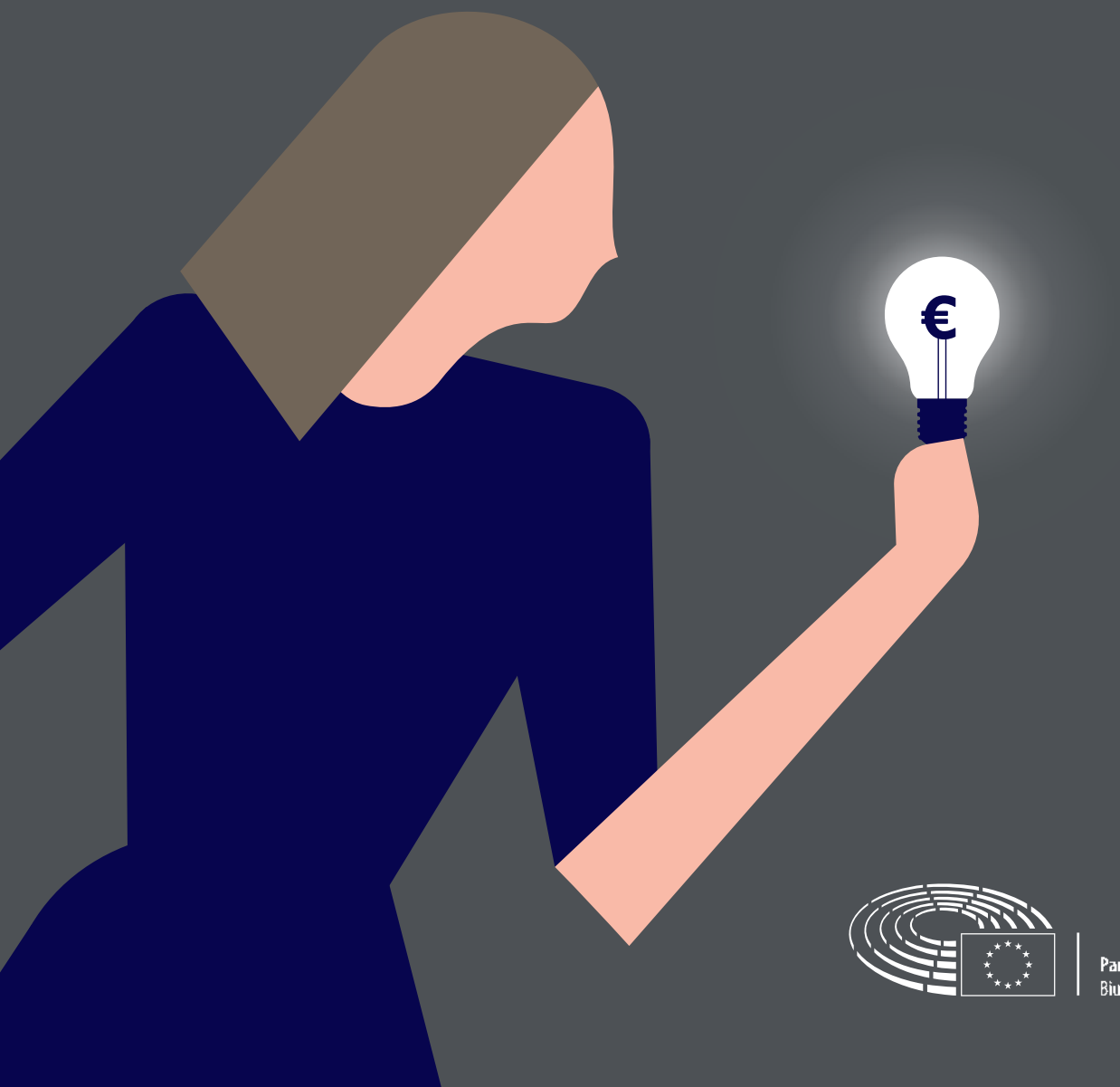

Parlament Europejski
Biuro w Polsce